

Na naszym CD: 15 piosenek + prezentacja gry komputerowej „Ja jestem”

17/2001  
**RUaH**

MAGAZYN  
MUZYCZNY

KWARTALNIK  12,90 zł  
[www.ruah.pl](http://www.ruah.pl) w tym VAT 0%

**Ewa  
Uryga**

**Marek  
Jackowski**

**Dziki**

**Maleo  
na Jamajce**



## CD 17



### Wy płyn na głębię

1. **40+30/70** - „Śpiewajcie Nową Pieśń”  
sł. i muz. Marcin Oleksy /2:59
2. **GOOD RELIGION** - „Obudź mnie”  
sł. i muz. zespół /4:17
3. **DOROTA MIELCAREK & HABARI NJEMA** - „Habari Njema”  
sł. i muz. Dorota Mielcarek /3:42
4. **NOWE JERUSALEM** - „E.T.”  
sł. i muz. Maciej Flank /5:56
5. **J.E.G.O. BAND**  
„Niespokojne jest serce człowieka”  
- sł. i muz. Dominik Sławiński /5:14
6. **SAL SOLO & GRZEGORZ KOPALA** - „Glorify the Lord”  
sł. i muz. Sal Solo /4:44
7. **NOVA GAUDIA** \* Leopold Twardowski & Julia Rosińska-Kopala - „Wy płyn na głębię”  
sł. Pismo Św., muz. Jacek Sykułski /3:56
8. **EWA URYGA & New Life Music**  
- „Miłością jest Jezus Pan” /4:12  
- sł. Beata Mencil, muz. Joachim Mencil
9. **AMENBEND** - „Psalm 100”  
- sł. Pismo Św., muz. Andrzej Cudzych /3:21
10. **DEUS MEUS** - „A Słowo Ciałem stało się”  
- sł. i muz. Robert Drężek /4:42
11. **ZUZIA IWAŃSKA**  
- „Znów nadchodzą Święta”  
- sł. i muz. Janusz Yanina Iwański /3:25
12. **MAGDA ANIOŁ**  
- „Aniele Boży, Stróże mój”  
- sł. i muz. Adam Szewczyk /3:08
13. **CHILI MY** - „Niedzielny przelot”  
- sł. i muz. Jacek Wąsowski /3:41
14. **HALLELUJA COUNTRY BAND** - „Siewca”  
- sł. i muz. Piotr Dziemidowicz /3:07
15. **BONUS: NA GÓRZE** - „Rre generacja”  
- sł. i muz. zespół /3:26
16. Prezentacja gry komputerowej „Ja jestem”  
z muzyką Roberta Friedricha w wykonaniu zespołu **ARKA NOEGO** /12:00

Wszystkim czytelnikom,  
sympatykom, twórcom pisma i artystom - życzymy  
Bożego Narodzenia w sercach,  
ale też w domach, rodzinach, warsztatach pracy, na  
scenach i w studiach nagraniowych!  
Trzymajcie się dzielnie - u boku Chrystusa -  
w Nowym Roku 2002



## W NUMERZE:

- 6 News
- 7 USA - koncerty w kościołach
- 8 Wspomnienie o biskupie Chrapku
- 10 Koncert w Teatrze Wielkim
- 12 Ewa Uryga - wywiad
- 14 Przemyski Chór Gospel
- 18 Festiwal Gospel w Kopenhadze
- 20 Drężek - wywiad
- 24 Yanina - muzyka, której słucha
- 25 Targi Muzyka Chrześcijan
- 26 Dziki umiera powoli
- 29 Muzyczne Dary
- 41 Średniowiecze jak świeże bułeczki
- 43 Festiwal w Jarosławiu
- 44 Marek Jackowski - wywiad
- 53 Ja jestem - gra komputerowa
- 54 Galeria RUaH
- 56 Na Górze - wydaje płytę
- 57 Maleo na Jamajce
- 58 Serce uwielbienia
- 60 O kantorstwie w liturgii
- 62 Halleluja Country Band

oraz stałe pozycje: recenzje, Zapiski Tołki Krzysztoń, Klub Pieśni Natchnionej, Archiwum Y

## RUaH 17

WYDAWCA / REDAKCJA:  
**paganini**

Małgorzata i Janusz Kotarba  
31-135 Kraków, ul. Batorego 25/11,  
tel./fax 012-623 71 81, tel. 012-623 71 82  
e-mail: [firma@paganini.com.pl](mailto:firma@paganini.com.pl)  
RUaH w internecie: [www.paganini.com.pl](http://www.paganini.com.pl),  
[www.nah.pl](http://www.nah.pl)

Druk: Drukarnia Kolejowa Kraków Sp. z o.o.  
Redakcja zastrzega sobie prawo skracania i  
opracowania redakcyjnego tekstów. Redakcja  
nie bierze odpowiedzialności za treść i formę  
reklam.

Na okładce: Ewa Uryga  
Fotografia na okładce: Marek A. Karewicz

### ZESPÓŁ:

Redaktor naczelny: Janusz Kotarba  
Redaktor programowy: Andrzej Bujnowski OP  
Opracowanie graficzne: Andrzej Bujnowski OP  
Grzegorz Kaczmarek

Sekretariat redakcji: Małgorzata Kotarba  
Skład i łamanie: G. K. i A. K. / fabryka bA!  
Korekta: Ewa Czyżowska

Stali współpracownicy: Tomasz i Natalia  
Budzyńscy, Jan Bujnowski, Andrzej Cudzych,  
Róża Chybowska, Andrzej Dziewit, Jan Gołaski,  
Piotr Iwicki, Marcin Jakimowicz, Jacek  
Kowalski, Antonina Krzysztoń, Michał Kulenty,  
Magda Kulpanowska, Beata Mencil, Marcin  
Perfuński, Barbara Pycel, Cezary Sekalski,  
ks. Tomasz Tobolski, Leszek Tokarski,  
ks. Grzegorz Ulamek, Monika Zytke.

## Większe zainteresowanie muzyką chrześcijańską

Christian Music Trade Association donosi, iż po tragicznych wydarzeniach 11 września Amerykanie poszukujący wiary i nadziei powracają do chrześcijaństwa. Potwierdza to fakt, że w okresie tym sprzedane zostały znaczne ilości płyt z muzyką chrześcijańską. Jest to 23% wzrost w porównaniu z analogicznym okresem roku ubiegłego. Na potrzeby swoich klientów bardzo szybko zareagowały także największe sieci marketów, poszerzając w swoich sklepach działki z muzyką chrześcijańską. Najlepiej sprzedającymi się płytami od początku roku do października są:

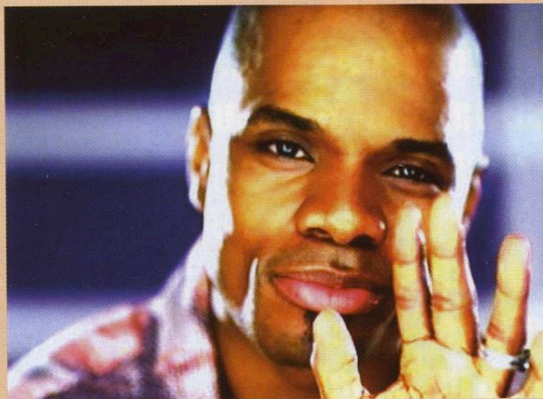
1. SONGS 4 WORSHIP: SHOUT TO THE LORD /Various Artists/ Integrity
2. LIVE IN LONDON AND MORE /Donnie McClurkin/ Verity
3. WOW 2001 /Various Artists/ EMI CMG, Word, Provident
4. SATELLITE /P.O.D./ Atlantic
5. WOW WORSHIP GREEN /Various/ Integrity Music
6. FREE TO FLY /Point Of Grace/ Word
7. WOW GOSPEL 2001 /Various/ EMI CMG, Word Provident
8. THANKFUL /Mary Mary/ Word, Columbia
9. PROMISE /Plus One/ Atlantic
10. OFFERINGS: A WORSHIP ALBUM /Third Day/ Essential



## dc Talk grają razem

Pomimo nagrania solowych albumów przez członków dc Talk, koncertują oni ciągle razem. Chociaż ostatnio doszło do pewnego zamieszania, kiedy anulowano trasę koncertową i przełożono ją na początek 2002 roku. „Przepraszam wszystkich fanów i organizatorów koncertów”, mówi Kevin Max, „ale relacja z Jezusem – moją pierwszą miłością i moim Zbawicielem – oraz relacja z moją żoną są ważniejsze dla mnie niż kariera. Dlatego potrzebuję trochę czasu na wyciszenie i przedłożenia tych relacji ponad wszystko”. Michael Tait jako pierwszy z trójki wydał swój album „Empty”, do nagrania którego założył zespół Taitband. Następny był Kevin Max z projektem „Stereotype Be”, a w listopadzie ukazała się płyta „Momentum”, której autorem jest Toby McKeenan (na płycie jako Toby Mac). Toby określa swoją muzykę jako „fusion hip-hop”. Na jego płycie pojawia się także wszechobecny Kirk Franklin.

## Muzyka chrześcijańska w filmie

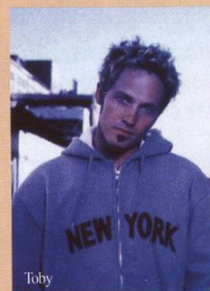


Po wcześniejszej kinowej premierze w sklepach pojawił się film „Kingdom come”. Jest to komedia, w której występują między innymi: LL Cool J, Whoopi Goldberg i Toni Braxton. Muzykę do filmu napisał Kirk Franklin, a piosenki wykonują: Az Yet, Tamar Braxton, Jill Scott, Trin-tee 5:7, M.C. Hammer, Carl Thomas, Natalie Wilson, Mary Mary oraz oczywiście Kirk Franklin.

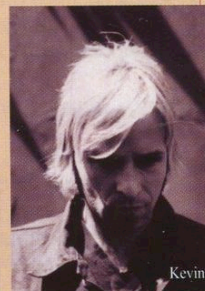


## Muzyka chrześcijańska po raz pierwszy kategorią American Music Awards

Uznając skalę i zasługi muzyki chrześcijańskiej w Stanach, American Music Awards ogłasza utworzenie nowej kategorii – Contemporary Inspirational, czyli współczesnej muzyki inspirującej, w której to kategorii będą mieścić się wszelkie gatunki obecnie tworzonej muzyki chrześcijańskiej wraz z gospel. Wręczenie nagród będzie miało miejsce 9 stycznia 2002 roku w Los Angeles.



Toby



Kevin

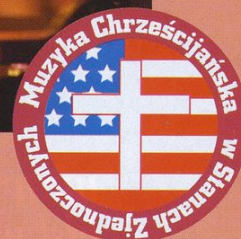
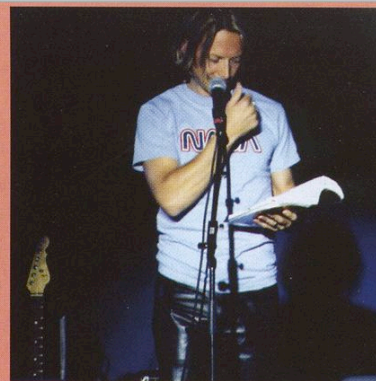
## Platynowe P.O.D.

11 września miała miejsce premiera płyty „Satellite” grupy P.O.D. Pomimo tego, że z wiadomych powodów odwołano promującą ten album trasę koncertową, w pierwszym tygodniu sprzedano 300.000 płyt. Krążek „Satellite” od razu znalazł się w pierwszej dziesiątce Billboardu. Po miesiącu była to już platynowa płyta (ponad 1 mln sprzedanych egzemplarzy). Singlowy numer „Alive” był najczęściej grany videoklipem w MTV i bardzo szybko zawędrował na 1 miejsce list przebojów MTV i MTV2.



newsy przygotował: Tomasz Wienke

Ilość chrześcijańskich koncertów, które odbywają się każdego dnia w Stanach, jest imponująca. Większość z nich jednak to lokalne imprezy gromadzące maksymalnie do 500 osób. Skąd w Stanach tylu koncertujących chrześcijan? Dlaczego ludzie przychodzą na te koncerty i jeszcze chcą płacić za słuchanie Dobrej Nowiny? Właśnie o jednym z takich koncertów, który odbył się w kościele w niewielkim miasteczku na przedmieściach Filadelfii, chciałbym napisać parę słów.



## Dlaczego kościoły w Stanach organizują koncerty chrześcijańskie?

Tomasz Wienke

Tego wieczoru występowała grupa SONICFLOOD. W październiku ukazał się ich trzeci album zatytułowany „Resonate”. Jest to grupa tworząca w nurcie muzyki uwielbienia – bardzo popularnym w ostatnim okresie w Stanach. Zespół oprócz własnych kompozycji ma w swoim repertuarze wiele znanych pieśni kościelnych zaaranżowanych bardzo współcześnie. W ostatnich dwóch latach był wyróżniany między innymi nagrodami DOVE.

Nie ukrywam, że w czasie przygotowań do koncertu zostałem zaskoczony widokiem grupy młodych ludzi odkrywających pierwsze rzędy ławek od posadzki, po to, aby zbudować... scenę. Przed kościołem stał zaparkowany wielki samochód ciężarowy, z którego zaczęto wyładowywać ogrom sprzętu. Po paru godzinach intensywnej pracy wszystko było gotowe: bardzo dobre nagłośnienie (niezwykle ważne w kościołach, gdzie wysokie sklepienia sprawiają, że jest nie lada wyzwaniem dla akustyka, aby dźwięk, a w szczególności wokół, był wyraźny); na scenie stały najnowszej generacji estradowe światła, a na chórze ulokowano reflektor punktowy. W tym czasie zespół spożywał posiłek w domu proboszcza i przygotowywał się do koncertu.

Wieczorem przed kościołem kłębiły się tłumy ludzi (szczególnie młodzieży), którzy później szczerze wypełnili kościół. Pomimo paruset miejsc w ławkach, wielu siedziało na posadzce lub stało. Warte podkreślenia jest to, że koncert był biletowany. W dniu koncertu bilety kosztowały drożej niż w przedsprzedaży. Cena wejścia to 15 \$, co jest mniej więcej równoważne cenie płyty CD.

Jak to możliwe, aby biletowany koncert chrześcijańskiego zespołu w kościele zgromadził tylu ludzi ???

Zanim zabrzmiała muzyka, na scenie pojawił się Rick - wokalista grupy z Biblią w ręce, cytując jej fragmenty i mówiąc, dlaczego oraz dla Kogo grają: „...nie chodzi tutaj tylko o występy, ale o wspólnotę w Bogu, o wspólne radowanie się i wspieranie oraz o to, aby Ci, którzy nie doświadczyli jeszcze tego, że Bóg jest Dobry, mieli tego wieczoru okazję przekonać się o tym”.



Rozpoczął się koncert i w krótkim czasie przy dźwiękach muzyki oraz imponującej grze świateł i dymów kościół wypełnił się Obecnością Bożą. Żywiolowo reagująca publiczność śpiewająca wraz zespołem stała się piątym członkiem grupy. Było to solidne półtoragodzinne świętowanie, budowanie, pokrzepienie, świadczenie, a przede wszystkim uwielbienie. Rick w trakcie koncertu dał także świadectwo swojej drogi do Boga, ciężkiej choroby i uzdrowienia. Na zakończenie miała miejsce modlitwa za tych, którzy jej potrzebowali.

Czy ustawienie sceny w kościele zamieniło go w salę koncertową i pozbawiło zebranych tam poczucia powagi i szacunku dla Świątyni Bożej? Nie, nic takiego nie miało miejsca. Niesamowite było choćby ustawienie wspomnianych już świateł. Część z nich oświetlało i podkreślało elementy ołtarza, stanowiące piękny i spójny element scenografii. Podczas koncertu nie można było mówić o scenie, widowni i kościele jako o czymś rozłącznym. Wszystko służyło temu, aby uwielbić Boga Jedynego Wszechmogącego. Czy można sobie wyobrazić lepsze miejsce?

/ciąg dalszy w następnym numerze RUaH/



*nie wykasowałem telefonu  
biskupa Jana*

fot. Jan Walczewski

Festiwal SOS 1999

## Biskup Chrapek nie żyje

Podziwiałem biskupa Jana Chrapka. Czytałem jego książki o telewizji i środkach komunikacji. Był dla mnie jakimś znakiem, autorytetem i wzorem w podążaniu za Chrystusem we współczesnym świecie. Miałem okazję otrzeć się o wielkość człowieka.

A zaczęło się od tego, że na spotkaniu redakcyjnym na Wicherówce padła propozycja: zrobimy do RUaH wywiad z biskupem Chrapkiem. Zależało nam, żeby jakiś hierarcha ocenił to, co dzieje się w Kościele za sprawą muzyki. No to kto - padło pytanie. To może ja. Mam najbliżej do Radomia. Już wtedy czułem, że to będzie ważna rozmowa. Długo się umawiałem z kapelanem biskupa, aż w końcu udało się wymyślić dobry termin. I właśnie w dniu planowanej od miesiąca, kilkakrotnie potwierdzonej rozmowy miałem awarię samochodu. Stoję u mechanika. Jest późno. Miałem być o 15.00. Jest 15.30, a ja jeszcze nie wyjechałem. Dzwonię do biskupa, tłumaczę się... niech ksiądz przyjedzie. Zjechałem do Radomia około 18.00. Pierwsze pytanie ze strony biskupa: czy pił ksiądz kawę? Chętnie się napiję. Poczuję się jak w domu.

Zaczęliśmy rozmawiać. Trwało to 4 godziny z przerwą na kolację. Kolacja też była niesamowita. Zaplanowana na 19.30, żeby zobaczyć wiadomości – żywo komentowane przez biskupa Jana. Po wiadomościach ogólnopolskich oglądaliśmy informacje z Chicago, a potem z Radomia. Szybkie przemieszczanie to cecha biskupa Chrapka. Już wtedy wiedziałem, po tym pierwszym pytaniu, że prostota i wielkość biskupa idą w parze. Wiedziałem, że mam do czynienia z Mężem Bożym i jakimś zwyczajnie niezwykłym człowiekiem. W czasie przerwy podczas wywiadu biskup oprowadzał mnie po całym swoim domu. Pięknym, według jego pomysłu. Wszędzie dużo dzieł sztuki i książek. Na biurku włączony komputer. Czułem się jak młodszy kolega, który przyjechał do swojego zaprzyjaźnionego proboszcza. Taka normalna, rodzinna, życiwa atmosfera. Pokazał mi wszystko. Gdzie się modli, gdzie pracuje, gdzie odpoczywa. Nic nie miał do ukrycia. Taki był na co dzień. Swoją otwartością paraliżował największych oponentów Chrystusa. Chcę potwierdzić to, co mówiło wielu. Kiedy człowiek spotykał się z nim pierwszy raz, czuł się jakby się znali całe lata. Ogromna i nietuzinkowa zdolność empatii. Wczuwanie się w konkretną sytuację drugiego człowieka. Osobiste podpowiedzi, które

były zawsze trafione. Wyjaśnienia, które pozwalały inaczej spojrzeć na daną sprawę. Do biskupa można było się dodzwonić na komórkę i spytać: a jak ksiądz biskup to widzi? Taki telefon sprawiał, że biskup Jan natychmiast był dostępny i służył swoimi informacjami. Pamiętam zawirowania związane z telewizją Niepokalanów i słowa biskupa Jana: spokojnie, wszystko jest na dobrej drodze, poczekaj chwilę, sprawa jest w toku. Biskup wiedział, a inni już mówili, że to jest tak albo tak...

W dniu rozmowy z biskupem miałem z Radomia do Częstochowy zabrać Józsko Brodę. Mówię: przyjdź około 22.00 do domu biskupiego (zwanego popularnie w Radomiu – Chrapczany) – i jak skończę, to pojedziemy. Biskup bardzo chciał z nim zamienić kilka słów. Te słowa przerodziły się w prywatny koncert w domu biskupa Jana. Była 23.00. Józsko grał. A na drogę dostaliśmy kanapki i owoce. To wszystko razem było niesamowite...

Zarzucono mu, że za bardzo wchodzi w pewne środowiska. „Pojawienie się prawdziwego geniuszu na świecie łatwo poznać po tym, że wszyscy głupcy zawierają przeciwko niemu porozumienie”. On chciał tylko głosić Chrystusa. Wchodził tam, gdzie go prosili. Rozmawiał. Nie obrażał się. Nie oceniał. Podpowiadał. I czekał. Wiedział, że każdy musi odpowiedzieć osobiście.

O śmierci biskupa Jana dowiedziałem się telefonicznie od Marcina Pospieszalskiego. Zamarłem na moment. Nie mogłem uwierzyć. Odszedł człowiek, któremu bardzo zależało na ludziach kultury, artystach, dziennikarzach. Nawróconego muzyka nazywał „nowym Pawłem”. Dziennikarz był jego bratem (sam w końcu był dziennikarzem!). Mówił o tym, że żadne środowisko nie jest „be” i że trzeba ewangelizować przez kulturę i pomoc ubogim.

Do tej pory nie wykasowałem telefonu biskupa Jana z mojej komórki. Jakby wciąż jest obecny. Myślę, że będę się mógł do niego dodzwonić (DO NIEBA!) i zapytać jak On widzi to czy tamto... Nie zapomnijmy tego, czego nas nauczył, a Pan niech będzie Jego nagrodą!

ks. Grzegorz Ułamek

/przyp. red.: wywiadu z biskupem Chrapkiem szukaj w numerze 14 RUaH/

**W Lublinie Duszpasterstwo Akademickie i Fundacja Godne Życie zorganizowały po raz pierwszy Zaduszki Muzyczne. Koncert odbył się po Mszy świętej 6 listopada w Bazylice oo. Dominikanów. Obok znanego nie tylko w Lublinie zespołu Gospel Rain wystąpili wykonawcy amatorzy. Organizatorzy lubelskich Zaduszek zapowiadają powtórkę koncertu w przyszłym roku.**



4 listopada w Częstochowie w kościele św. Józefa odbyły się „Zaduszki Artystyczne”. Spotkanie to było modlitwą za zmarłych częstochowskich twórców kultury. Po Mszy św. odbył się koncert poświęcony pamięci zmarłych artystów. Wystąpili w nim: Jasnogórski Kwartet Wokalny Cantus, chór Subito z Liceum Muzycznego, Kapela Yanina. Wokalistami byli Lidia Pospieszalska, Marżena Lamch i Robert Amirian. Wśród instrumentalistów mogliśmy usłyszeć saksofonistę Mateusza Pospieszalskiego, Janusza Frąćka (instrumenty klawiszowe) i Jurka Sojkę na flecie. Wiele dźwięków wniósł Meksykanin Thomas Sanchez grający na instrumentach perkusyjnych. Teksty biblijne recytowali aktorzy Teatru im. Adama Mickiewicza w Częstochowie – Czesława Monczka, Elżbieta Jablonka, Agata i Adam Hutyra, Marek Słosarski. Kierownictwem muzycznym, przygotowaniem i prowadzeniem chórów zajęł się Marcin Pospieszalski. Jak pisze nasz korespondent ks. Grzegorz Ulamek: „Wszyscy artyści biorący udział w tym wydarzeniu występowali gratisowo. Jak zauważyła dyrektor Ośrodka Promocji Kultury Gaudē Mater Małgorzata Nowak – rzadko się udaje z artystami impreza bez umów. A jednak Pan Bóg czuwał. I nikt nie zawałił. Wielu doszło nawet w ostatniej chwili. Zaduszki były ciekawym przedsięwzięciem integrującym artystyczne środowisko Częstochowy – muzyków, plastyków, aktorów, fotografików, dziennikarzy, osób zajmujących się promocją i obsługą imprez kulturalnych. Na Mszy długo poszerzaliśmy listę osób, za które modliliśmy się. W czasie koncertu doszło do niezwykłych fuzji muzycznych – chorału gregoriańskiego w wykonaniu zespołu Jasnogórskiego Cantus z saksofonami Mateusza Pospieszalskiego, czytanych fragmentów Apokalipsy z dźwiękami Kapeli Yanina. Absolutną rewelacją było prawykonanie hymnu „Pieśń o Miłości”, napisanego przez Jana i Mateusza Pospieszalskich na „zamówienie” śp. biskupa Jana Chrapka. Po raz pierwszy wykonano ją w Teatrze Narodowym w Warszawie podczas koncertu z okazji Dnia Papieskiego (patrz: artykuł na następnych stronach). Zaduszki artystyczne miały też premierową piosenkę! Lidia Pospieszalska śpiewała swoją kompozycję do słów ojca Andrzeja Bujnowskiego pt. „Jahwe”. Piosenka jest powalająca. Już wkrótce usłyszymy ten utwór na najnowszej płycie Deus Meus. Wracając do częstochowskich Zaduszek, rozdziły się w gigantycznym tempie. Były tylko dwie próby! Wspaniała i twórcza atmosfera po spotkaniu. Za rok powtórka!”

**Ustalonym (w obecności szefów rozgłośni) terminem pierwszej wspólnej emisji LISTY PRZEBOJÓW - MUZYCZNE DARY - RuAH trzech stacji radiowych (Fiat - 94, 7 FM, Niepokalanów - 102, 7 FM, Podlasie - 101, 7 FM) jest dzień 3 grudnia 2001, czasem emisji godz. 22:00-23:00 i tak ma pozostać w tygodniu. Jest to równocześnie oferta dla innych rozgłośni, które już wykazują duże zainteresowanie nadawaniem audycji. Piosenki na LISTE pochodzą z płyt dodawanych do Magazynu Muzycznego RuAH. Audycję prowadzą Darek Ciszewski i Janusz Yanina Iwański.**

W Nowym Jorku i Chorzowie płacemy tak samo – „Whether NYC or Chorzów we're all mourning”. Słowa te znajdują się na autorskiej płycie Witka Wolnego „Freeland”. Jakże inaczej słucha się ich po tragedii, która dotknęła Amerykę... Dlaczego znalazły się na krążku pracującego w Hiszpanii śląskiego kapłana? Ks. Witek prosił, aby ich autorka Ingrid Howell rapowała coś, co podpowiada jej serce. Bardzo chciał, by w tekście znalazło się słowo „Chorzów”. Zaśpiewała o bólu... Po kiludziesięciu miesiącach jej słowa stały się rzeczywistością...

**EMAUS CAFE w Częstochowie to miejsce, o którym pisaliśmy w RuAH nr 15 (str. 56), artykuł dostępny również w Internecie. To nie tylko kawa, herbata i pierogi (12 rodzajów!), ale również ciekawy program i przede wszystkim atmosfera. Chcielibyśmy, żeby takich miejsc w naszym kraju było więcej. Zachęcamy do ich tworzenia. Wszystkich odwiedzających Częstochowę i mających wolną chwilę zapraszamy na ul. Wolności 4 (blisko dworca) od poniedziałku do soboty w godz. 10.00-20.00, tel. 0503 17 93 26. Kolejny EMAUS powstał w Bielsku-Białej Aleksandrowicach przy ul. Św. Maksymiliana 3. Prowadzi go Asia Sosińska, tel. 0606 45 24 23**

Trwają prace nad płytą zespołu Between. Będzie to płyta R&B, Hip Hop. Aranżerem i producentem jest Mirek Stępień (na co dzień basista zespołu Sela, Mate. O, Reni Jusis). Trzy główne wokalistki to: Patrycja Gola (Amenbend, chórki u Mietka Szcześniaka), Patrycja Maczkanowa (chórki u Kasi Cerekwickiej) i Julita, która jest autorką większości tekstów i kompozytorką większości utworów (we współpracy z Jarkiem Zawadzkiem, na co dzień właścicielem studia muzycznego w Piasecznie i muzykiem sesyjnym – saksofon tenorowy, sopranowy, klawisze). Usłyszeć będzie można również męskie głosy Mirka Stępnia, Damiana Szczygóły, Romana Roczenia oraz gościnnie Mietka Szcześniaka. Będzie to płyta z nowoczesnym brzmieniem, oparta na loopach bębnowych, a także na hammondzie, fenderze, ciepło brzmiącym basie i skrzypcach z altówką. Początek nagrania planowany jest na koniec grudnia.

**Munek Staszczuk: „Zawsze byłem człowiekiem wierzącym, ale miałem okres zupełnego odejścia od tych spraw. Kiedyś wszystkiego było za dużo - jeden zespół, potem drugi zespół. Odpłynąłem mentalnie i zaczęło mi być z tym źle. Któregoś dnia zadzwonił do mnie ksiądz dominikanin i poprosił o przyjęcie na spotkanie z młodzieżą. Na początku chciałem odmówić. Jednak poszedłem. Przychodzę, a tam ludzie różni, skiheadzi, punkowcy, hiphopowcy. Zaczęli mnie zwyczajnie wypytywać o różne rzeczy, o tektę, o stosunek do dragów, do seksu. Byłem zaskoczony, że interesują się tym, co robię. Dominikanin, teraz mój przyjaciel, dał mi książkę o Mszy świętej, którą napisał. Wziąłem książkę, zacząłem czytać i po roku naszej znajomości na własne życzenie poszedłem do spowiedzi. Nie była to typowa spowiedź, bardziej rozmowa, ale ja nie spowiadałem się od 15. lat. Zaczęłem chodzić na Msze do dominikanów. Włęc nie był to ani dylemat, ani przymus. Cała ta droga jest nietatwa. Miałem taki okres pychy – „taki jesteś teraz dobry, Zygmuś, tak zbliżyłeś się do Boga”. I to był błąd. To trudne i nigdy nie wymądrzam się w tej kwestii. Cała ta historia z wiarą, która była przypadkiem, okazała się zaproszeniem. Później nawet zagraliśmy jeden koncert w kościele. Zero światła, kaplica i zespół, bez tego całego blichtru, kompletny odłot, mocna sprawa”. [PRZEKRÓJ nr 46/2943 z dn. 18.11.01]**



Ruszyła Oficjalna Strona Internetowa MIETKA SZCZESŃNIKA, a w niej: biografia i autobiografia (ta druga oczywiście ciekawsza), trochę wywiadów, dyskografia, kontakty ze sklepem internetowym włącznie, galeria zdjęć od czasów najdawniejszych. Oczywiście „coś do posłuchania”, jak również informacje o koncertach. Mietek opowiada trochę o sobie i dzieli się tym, co dla niego ważne. Wszystko to czeka pod adresem <http://www.szczesniak.art.pl> (alias <http://www.szczesniak.internetia.pl>). Stroną zajmuje się zespół webmasterów Internetii. Oficjalna premiera – 5. listopada – związana była z premierą trzeciego singla z płyty „Spoza nas”, na którym znalazły się dwa duety – „Nie płoszcie miłości” z Kayah (Z Pieśni na Pieśniach) i Beatlesowskie „Can't Buy Me Love” z Mirką Urbaniak.

news/ GU, IF, AB, JK

# koncert wielu muzycznych bajek

Marcin i Jan Pospieszalscy

**Gigantyczne przedsięwzięcie multimedialne, ponad 140 osób na jednej scenie, muzyka od ciężkiego rocka po chorał gregoriański, połączenia na żywo z Watykanem – taki był finałowy koncert Dnia Papieskiego. 14 października na scenie Teatru Wielkiego wystąpili najwięksi polscy artyści. Dochód z imprezy przeznaczony był na stypendia naukowe dla utalentowanych dzieci z najuboższych rodzin.**

Organizatorom udało się zgromadzić artystów wykonujących miejscami bardzo różniące się od siebie style muzyczne. Najbardziej odpowiednią do miejsca muzykę wykonał światowej sławy tenor Ryszard Karczykowski. Chyba po raz pierwszy w Teatrze Wielkim zabrzmiał rock, który wprowadził zespół 2Tm2,3. Radosny klimat to zastuga dzieci z Arki Noego, które zaśpiewały również w pieśni z Taizé „Surrexit Christus”. W tej ostatniej wystąpiła także Anna Maria Jopek, muzyk greckiego pochodzenia - Jorgos Skolias, Angelika Górny z 2Tm2,3, Natalia Niemen i Robert Amirian. Ci sami artyści oraz Mietek Szcześniak pojawili się w piosence „8 błogostawieństw”, napisanej specjalnie na ostatnią pielgrzymkę Papieża do Polski.

Nie zabrakło tradycyjnych śpiewów. Chóry Synthagma oraz Namysto zaśpiewały z Jorgosem Skoliasem. Bracia dominikanie z klasztoru na warszawskim Służewie wykonali napisaną specjalnie na ten dzień przez braci Pospieszalskich „piosenkę o miłości”, która wykorzystuje elementy chorału gregoriańskiego, a nawet rapu. Wspomagał ich szczeciński chór Deus Meus oraz schola z parafii św. Tomasza Apostoła na warszawskim Ursynowie. Dwa ostatnie zespoły śpiewały prawie we wszystkich pieśniach podczas koncertu.

Nie zabrakło ulubionych przez Papieża „Abba, Ojcze” i „Barki” („Pan kiedyś stanął nad brzegiem”). Całość była przeplatana różnymi filmami, m.in. przypominającymi pontyfikat Jana Pawła II. Koncert poprowadziła Grażyna Torbicka i Jan Pospieszalski.

Gdy w Teatrze Wielkim występowali artyści, na ulicach całej

Polski wolontariusze zbierali pieniądze na stypendia naukowe dla utalentowanych dzieci z najuboższych rodzin. Zebrano ponad 2 miliony zł. Umożliwi to rozszerzenie programu stypendialnego realizowanego przez Fundację „Dzieło Nowego Tysiąclecia” - organizatora Dnia Papieskiego. Dotychczas Fundacja wypłacała 500 stypendiów gimnazjalistom z pięciu polskich diecezji, uznanych za najuboższe: koszalińsko-kotobrzeskiej, ełckiej, drohiczyńskiej, radomskiej i przemyskiej.

„Dzieło Nowego Tysiąclecia” powołał Episkopat Polski po pielgrzymce Jana Pawła II do Polski w 1999 r. Fundacja ma propagować nauczanie Ojca Świętego, wspierać edukację najzdolniejszej młodzieży z terenów upośledzonych cywilizacyjnie, wspierać media katolickie, a także pomagać Polakom ze Wschodu. Co roku Fundacja wręcza nagrody „Totus”, nazywane również katolickimi noblami.

Ze współorganizatorem koncertu

## Janem Pospieszalskim

rozmawia Marcin Perfuński:

**Jak wspominasz koncert, który rozpoczął się od... braku dźwięku?**  
Bardzo dobrze się stało, że podczas transmisji modlitwy Anioł Pański z Watykanu nie było dźwięku. Gdyby był, to patrzylibyśmy tylko jak Ojciec Święty się modli. W tej sytuacji postawieni zostaliśmy przed koniecznością realnej modlitwy, która była „nasza”. Przekaz z telewizji nie był dla nas punktem odniesienia. To było o wiele bardziej autentyczne. Na szczęście mieliśmy za sceną dominikanów, którzy poprowadzili tę modlitwę.

Za tym koncertem w dużej mierze stoi postać zmarłego tragicznie biskupa radomskiego Jana Chrapka.

Nie mogę uciec od świadomości, że była to inicjatywa biskupa Chrapka i że cztery dni po koncercie on już nie żył. Dlatego patrzę na to z innej perspektywy, bardziej eschatologicznej. Bp Chrapek był ojcem duchowym całego przedsięwzięcia. Pewne elementy zostały podrzucone przez niego. To jego pomysłem było zaproszenie chóru cerkiewnego – dzięki temu w pieśni wykonywanej przez Jorgosa Skoliasa uzyskaliśmy nową jakość. To bp Chrapek zainspirował nas, żeby posłużyć się teledykiem. Jego pomysły stworzyły niepowtarzalną jakość tego koncertu. Cieszę się, że udało nam się to wszystko zrobić i że był w tym jakiś element duchowości.

**Jak doszło do zorganizowania tak gigantycznego przedsięwzięcia?**

Gdy organizatorzy zdecydowali, że ja mam przygotować koncert, zwróciliśmy się o pomoc do moich braci. Nie chodzi tylko o to, że to jest moja rodzina, ale przede wszystkim dlatego, że mają oni duże doświadczenie w takich imprezach. Mateusz od kilku lat jest kierownikiem muzycznym dużych galowych koncertów na festiwalu piosenki aktorskiej we Wrocławiu, a Marcin świetnie zna aranżację. Ściągnąłem jeszcze reżysera z Wrocławia, Jerzego Bielunasa, o którym wiem, że stać go na pracę w ekstremalnie trudnych warunkach. Ci ludzie, mimo napiętych terminów, weszli w organizację koncertu z wielkimi emocjami. Ciężar pracy rozłożyliśmy na wszystkich, dzięki temu mogłem zająć się przygotowaniem piosenki, która zaistniała na tym koncercie.

**No właśnie – uczestnicy koncertu mogli po raz pierwszy usłyszeć utworów napisanych z myślą o Dniu Papieskim.**

To „piosenka o miłości”. Ona właściwie nie ma jeszcze tytułu. Co ciekawe, jest o miłości, chociaż wcale nie pada w niej to słowo. Tekst pomógł mi napisać o. Andrzej Bujnowski z Deus Meus. Powiedziałem mu, że tematem ma być dzielenie się miłością. I on zaproponował mi tekst z Izajasza: „Jeśli podasz chleb głodnemu i nakarmisz jego duszę, światło twe zabłyśnie w mroku, ciemność stanie się południem”. Połączyłem to wszystko w utwór, który zawierał zarówno chorał, zwykłą piosenkę, jak i fragment rapowany.

Zawarte są w niej dwie przestrzenie narracyjne. Jedna, wykonywana przez Roberta Amiriana, jest postulatami. Druga, śpiewana przez braci dominikanów, jest puentą. Pomimo tego rozłożenia obie przestrzenie nic z siebie nie straciły, a nawet wzajemnie wzbogaciły się.

**Ten koncert to nie tylko piosenki, ale także filmy pokazywane w tle na teledykiem. Co na nich można było zobaczyć?**

Po raz pierwszy publicznie pokazane były unikalne zdjęcia z okresu młodzieńczego Ojca Świętego. Zdobyliśmy je od przyjaciół Papieża z Krakowa. Bardzo chciałem, żebyśmy zaśpiewali „Barwę”, pieśń o powołaniu. Wiem, że Ojciec Święty bardzo lubi ten utwór. I tutaj znalazły się te zdjęcia. Zależało mi, żeby obrazami komentować i puentować te rzeczy, które dzieją się w muzyce. Pokazaliśmy zdjęcia z wizyty Papieża w Grecji, Izraelu czy na Ukrainie, a także ze Światowych Dni Młodzieży. Te ostatnie prezentowane były podczas wykonywania pieśni „Abba, Ojczko”. Efekt był piorunujący. Widziałem, że ludzie byli wzruszeni. Moja żona, która była na widowni z rodziną, poryczała się.

**Postawiliście na jednej scenie artystów z różnych „bajek muzycznych”. To był chyba trochę ryzykowny pomysł...**

To zarazem jedna z rzeczy, która się udała. Odstający od siebie artystycznie oraz estetycznie Arka Noego i tenor Ryszard Karczykowski, New Life M. i chór cerkiewny, 2TM2,3 i orkiestra symfoniczna... Jak się słyszy takie zestawienia, to brzmi rzeczywiście szokująco. Jednak wydaje mi się, że to razem „zagadało”. Do tego doszły jeszcze zdjęcia z tytułu sklejające całość. Wiesz, jeśli rzecz jest robiona z duchem i podporządkowana innej koncepcji, niekoniecznie stylistycznej, ale duchowej – nagle okazuje się, że to spoiwo jest o wiele silniejsze niż różnice estetyczne. W takim momencie docieramy do pewnej refleksji na temat samej sztuki. Okazuje się, że to nie ilość nut, skomplikowane partytury i wyrafinowane solówki, ale wartość umieszczona gdzieś pomiędzy tekstem, nutami, talentem autora i interpretacją wykonawcy jest tym elementem najistotniejszym.

**Na scenie, obok tych profesjonalistów, stanęli także zwykli amatorzy. Nie bałeś się, że to nie wypali?**

To jest kwestia znalezienia miejsca dla wykonawców. I tu dochodzimy do tego, co zawsze mnie interesowało: nie lata profesjonalnych działających



i starań, ale intencja i pewna pokora są prawdziwą wartością. To również sprawa tego, czego można oczekiwać od wykonawcy. Wydaje mi się, że schola ze św. Tomasza Apostoła, bo o niej mowa, idealnie wtopiła się w koncert. Dala mu radość, werwę, ruch, wdzięk i poruszyła całość. Ich „powerem” jest to, że śpiewają ze sobą od lat. Mają ten atrybut, którego nie mają np. panie z Przemysła: one o wiele piękniej śpiewały klasyczne rzeczy, których schola by nie wyciągnęła, ale za to schola dała im pewien spontan, świeżość i młodość.

**Jak w takim razie wypadły próby tego artystycznego i stylistycznego przekładańca?**

Tam było ze 140 osób. Przy tak skromnych środkach i zaangażowaniu ludzi stworzyliśmy niezwykłą jakość. Mieliśmy poczucie, że robimy coś naprawdę ważnego. Podpieraliśmy się nosami, niektórzy musieli długo czekać na swoją kolej, Marcin w ostatniej chwili dopisywał jakieś nuty... To była ciężka praca. Kiedy akustycznie, bez mikrofonów, w przestrzeni sali prób całość „zagadała” ze sobą, to było niezwykle. Widziałem jak ludzie, którzy przed chwilą śpiewali, w pewnym momencie stawali się słuchaczami tych, którzy właśnie ćwiczyli. Sami dla siebie byliśmy publicznością. Potem składaliśmy te elementy do kupy i okazało się, że działają ze sobą. To dla twórcy jest wielką radością i ogromnym przeżyciem. Bariera wyznaniowa czy narodowościowa przestawała nagle istnieć. Spotykaliśmy się na zupełnie innej płaszczyźnie. Przecież wiele nas dzieliło. Choćby z tymi ludźmi z Przemysła: wiek, urodzenie, naród, język, wyznanie. Nagle okazuje się, że w Bożej ekonomii te podziały nie mają żadnego znaczenia.

**Co dalej? Będzie z tego jakaś płyta?**

Śmierć biskupa Chrapka, rozpędzone różne dzieła, do których on nas zaangażował – to spowodowało, że chcemy wydać płytę. Być może uda się zgromadzić na to fundusze i album ukaze się w marcu z okazji 10-lecia nominacji biskupiej księdza Chrapka. Byłaby poświęcona jego pamięci. Na razie potrzebni są sponsorzy, produkcja, nie wiemy czy artyści się zgodzą... Przed nami cały szereg działań.

Robert Amirian

fol. AB



**Z EWA  
URYGA**

o białej i czarnej muzyce rozmawia  
MONIKA ZYTKE

# DUSZA NIE MA KOŁORU

Spotykamy się na Festiwalu Gospel w Kopenhadze. Za godzinę masz koncert z Przemyskim Chórem Gospel i czarnoskórą wokalistką Ruth Lynch. Jak doszło do tego spotkania? – Jak to w życiu – wypadkowa wielu zdarzeń (bo twierdzę, że w chrześcijaństwie nie ma tzw. zbiegów okoliczności). Jakiś rok temu śpiewałam w Przemyślu i tam poznałam o. Lecha, który zaproponował mi współpracę ze swoim chórem. W czerwcu mieliśmy pierwszy wspólny koncert. Wtedy zasugerowałam im przyjazd do Osieka na warsztaty gospel, a kiedy z kolei w Osieku zaproszono mnie do Danii, to ja oczywiście: „no to z chórem”...

foto: Grzegorz Kaczmarek

Główną cechą muzyki gospel jest dialog: solista – chór (zasada „call & response” – zawołanie i odpowiedź). A z chórami zawsze był problem. Zespół przemyski zaskoczył mnie stylowością – to amatorzy, ale mają przekaz i to jest najważniejsze. Bo u nas często wykonawcy przykładają się najpierw do rzemiosła – i dobrze, tylko że czasem na tym poprzestają... Znam to choćby z kilkuletniego jurorowania na festiwalu gospel w Osieku... A bywa tak, że wychodzi wokalista i ludzie się dziwią: niby nie ma takiego głosu, a jego śpiewanie działa jak magnes. I to jest artysta. Do artyzmu na pewno trzeba mieć materiał, ale jest bardzo śliska granica pomiędzy nim a przekazem, który jest szalenie istotny.

#### A jak się zaczęła Twoja przygoda z muzyką gospel?

Najpierw to w ogóle z czarną muzyką... Pierwszą wykonawczynią, jaką w życiu słyszałam, była Mahalia Jackson. Wtedy mówiłam na nią: Mahalina (śmiech) – pamiętam jej analogową płytę w bułgarskim wydaniu... Zapodałam tę płytę na gramofonie Bambino 4 i po pierwszych dźwiękach pomyślałam: „Boże, jakie to piękne! To jest moja muzyka!” Do tamtej pory nie cierpiałam jazzu. Jak w radiu śpiewał czy grał Armstrong, to zmieniałam kanał. Teraz zaś coś mnie odmieniło w ciągu dosłownie pięciu sekund. Poszłam do sklepu i wykupiłam wszystkie jazzowe płyty, jakie tam były.

#### Śpiewałaś już wtedy?

To była połowa technikum i śpiewałam w takim zespole rozrywkowe piosenki. Zupełnie inny klimat.

#### Artystyczna dusza w technikum?

I to elektrycznym! Ale wiesz, to paradoks – gdyby nie ta szkoła, prawdopodobnie bym nie śpiewała. Tam był zespół prowadzony przez p. Elżbietę Sochacką, ona mnie zaraziła tym bakcylem. W I klasie dostałam się do telewizyjnego studia debiutów, potem Zielona Góra, Opole itd. – te wszystkie festiwale poprzehodziłam i to mnie już wciągało.

#### A gdyby nie muzyka?

To oczywiście sport! Miałam ciągły dylemat, co wybrać. Stańmo na muzyce, ale ze sportem nigdy nie zerwałam. 8 lat grałam w koszykówkę, a do tej pory pływam – dzień bez basenu to dzień stracony...

#### Nawet tu, w Kopenhadze?

Dzisiaj nie było jak, ale wczoraj byłam... A w Polsce mam trenera. Kiedyś w Chodzieży w tym samym czasie, co warsztaty jazzowe, były zawody pływackie – wystartowałam i zdobyłam II miejsce (1,5 km przez jezioro). Obroniłam honor muzyków (śmiech). Trzeba mieć odskocznię od zawodu.

#### Wróćmy więc do muzyki...

Tak więc zafascynowałam się jazzem. A to, że śpiewam gospel, wiąże się z moją wiarą, bo nie wyobrażam sobie śpiewać czegoś, do czego nie jestem przekonana. I ludzie to znakomicie wyczuwają – czy ktoś jest na koncercie prawdziwy. A ja nie znoszę oszustwa, tak w życiu, jak i na scenie. Pierwsze, co mnie ujęło w czarnej muzyce, to autentyzm wykonawców. Wyczuwałam go, nie znając jeszcze języka. Teraz sama mam takie sytuacje, że przychodzi ktoś po koncercie i mówi, że nie rozumie angielskiego, ale czuje, że to jest prawdziwe i piękne i wychodzi podbudowany. Dla mnie to największa zapłata.

#### Zajmujesz się różnymi stylami – jazz, musical, blues. Jednak muzyka gospel ma chyba u Ciebie miejsce szczególne?

„Gospel” znaczy przecież „Ewangelia”. Nie mogę śpiewać o Bogu nie wierząc w Niego. Jakoś nigdy w to nie zwątpiłam, nawet jak miałam zakręty w życiu, a miałam... Każdy ma... Jak nie daję sobie rady, to też Mu to mówię...

Z drugiej strony wiem, że śpiewanie gospel to odpowiedzialność. To jest dar, ale nie wolno go zmanować albo źle wykorzystać.

A wiara wiąże się z czymś pięknym, z miłością, z czymś, czego człowiek poszukuje całe życie. I jeżeli zaczyna już odczuwać ten pokój w sercu, to będzie dalej szukał i taka muzyka do niego przemówi, obojętnie czy po angielsku, czy po hebrajsku, wiesz... To zawsze dociera, jeżeli ten, kto ją przekazuje, jest autentyczny.



[Kontynuujemy rozmowę następnego dnia.]

#### **Jaki był dla Ciebie wczorajszy koncert?**

Bardzo dobrze mi się śpiewało - zagranicą zresztą zwykle dobrze mi się śpiewa. Poza tym jest wtedy podwójna odpowiedzialność, bo oprócz mnie samej oceniają i mój kraj. Mam tę świadomość i jakoś więcej energii. Zwykle wtedy nie mam tremy, łatwiej się otwieram. Wczoraj doszła do tego jeszcze ekumeniczna wymowa koncertu. Miałam wielki pokój w sercu. Bardzo odczuwałam Boże prowadzenie. To, co śpiewałam, było właściwie spoza mnie. I z relacji wiem, że ludzie też tak czuli. Do tego Ruth bardzo mnie inspirowała. W pewnym momencie poczułam, jakby była moją siostrą. Dla mnie był to jakiś znak pojednania.



**Wróćmy na chwilę do Polski. Pamiętam naszą rozmowę sprzed dobrych kilku lat, na festiwalu muzyki chrześcijańskiej w Żywcu. Zaczynało być widać, że powstają nowe, porządne zespoły, że muzyka ta może przestać już być utożsamiana z tandetą. Powiedziałaś wtedy: NARESZCIE! Minęło sporo czasu, zespołów przybyło, jest naprawdę z czego wybierać. Jak patrzysz teraz na to środowisko?**

Cieszę się bardzo, że się rozwija. Brakuje mi jednak tej muzyki w środkach masowego przekazu – one naprawdę mają wielką moc oddziaływania.

**Wiele osób pamięta Cię z wykonania „Abba, Ojciec” na Światowym Dniu Młodzieży w Częstochowie...**

To długa historia... Przeczytałam informację w gazecie, a na koniec znalazłam się na Jasnej Górze. Przy ustalaniu programu i podziale „ról” nie znałam tych propozycji, ale jak usłyszałam, że po angielsku, to się zgłosiłam, bo bardzo lubię ten język (śmiech). A całe spotkanie było niesamowitym doświadczeniem. Chyba z tydzień zajęło mi wracanie do normalności (śmiech), wiesz – ulica, telewizor, plotki, hałas, całe codzienne zamieszanie.

**Jak popatrzeć na Twoją dyskografię – to właściwie co roku coś się dzieje...**

Staram się mieć oczy otwarte i odczytywać to, co mi się zdarza. Ludzie, spotkania, to wszystko ma jakiś cel. Takim przykładem jest moja menedżerka działająca ze mną od półtora roku – wcześniej nie miałam kogoś takiego i jednak wiele się zmieniło. Takim przykładem jest każde wejście do studia.

**A jak to było z krążkiem „Ballads for Ella”?**

Ella Fitzgerald była pierwszą z wokalistek jazzowych, której bardzo, bardzo dużo słuchałam. O niej pisałam też pracę, jak kończyłam Akademię Muzyczną. Śpiewałam już wtedy jej standardy, bardzo mnie inspirowała. A parę lat temu, siedząc w pociągu i czytając jej autobiografię, stwierdziłam, że jestem jej winna płytę. Po prostu. A to, że nagrałam ją za oceanem, to już zupełnie osobna historia...

**A jaka będzie następna produkcja?**

Po raz drugi już w Stanach, z samymi Amerykanami, blues i gospel. Mark Soskin (fortepian), Jay Anderson (bass), Matt Willson (perkusja) oraz gościnnie Vic

Juris na gitarze. Wszystko jest właściwie dograne i jeżeli nic nieprzewidzianego się nie stanie, to 5 grudnia zaczynamy.

**Są tacy, którzy twierdzą, że czarną muzyką mogą śpiewać tylko Czarni...**

Niektórzy Biali ją czują... Nikt zresztą nikomu nie może zabronić wykonywania takich czy innych dźwięków. Muzyka to międzynarodowy język. Wszyscy w niej mogą się odnaleźć. Chociaż jest prawdą, że czasem Czarni muzycy próbują się odgrodzić (może mniej w gospel, ale w innych gatunkach tak), ponieważ Biali im tak zaleźli za skórę, że pada pytanie: to jeszcze muzykę chcecie nam zabrać? Ale z drugiej strony właśnie muzyka może być miejscem pojednania. Dla mnie Czarni są wielką inspiracją – myślę, że są jakoś nakreśleni przez Opatrzność. Dlatego ja z tego czerpię, bo to jest autentyczne i dla mnie też staje się modlitwą.

Miałam w życiu kilka takich potwierdzeń od Czarnych wykonawców. Kiedyś na festiwalu w Iławie Carlos zachepił mnie po koncercie: „dobrze śpiewasz”, a kiedy powiedziałam mu, że kocham bluesa, dodał: „Tak. Ty możesz tak powiedzieć”. Kiedy indziej usłyszałam za plecami zdziwione „Hej, ona umie śpiewać!”. Takie sformułowania ze strony Czarnych muzyków potwierdzają moje poszukiwania. Ta muzyka jest mi bardzo bliska, nie wiem dlaczego. Kiedyś czytałam o pewnej Polce, która tańczy flamenco – a podobno robi to świetnie. Ona też powiedziała, że nie wie dlaczego, ale kiedy zobaczyła pierwszy raz ten taniec, to wiedziała, że to jest jej. Tak się zdarza.

Z drugiej strony we wszystkim trzeba mieć własną drogę. Starać się czerpać, ale nie biernie powtarzać. W muzyce wszystko zaczyna się od rytmu. I też widzę, że im bardziej w tym się rozwijam – a od kilku lat gram trochę na instrumentach perkusyjnych – to tym bardziej te rytmy stają się moje. I na przykład utwór gospel, który śpiewałam już dwa lata temu, teraz rytmicznie dzielę zupełnie inaczej. Staram się rozwijać nie przez naśladowanie, a przez poczucie od wewnątrz. Wtedy nie ma znaczenia, jaki kolor skóry ma wykonawca. Zresztą przecież dusza nie ma koloru...



fot. Grzegorz Kaczmarek



### Dyskografia Ewy Urygi:

1. SZCZĘŚLIWEJ DROGI... Kukla-Band z przyjaciółmi: Lora Szafran, Grażyna Łobaszewska, Ryszard Rynkowski, Andrzej Zaucha, Mietek Szcześniak. – 1991
2. NEW LIFE MUSIC – STOISZ U NASZYCH DRZWI – 1992
3. KOŁĘDY NA CAŁY ROK – 1995
4. AMENBEND – ŁĄKITWOICH OBIETNIC – 1995/96
5. BĄDŹ KOŁĘDĄ – 1996
6. THE COLOURS OF SOUL – 1996 (pierwsza płyta autorska)
7. MODLITWA BLUESMANA W POCIĄGU Jan „Kyks” Skrzek – 1997
8. AMENBEND – ROZMOWA Z OJCEM – 1998
9. DROGA NADZIEI – 1998
10. BALLADS FOR ELLA – 1998 (druga płyta autorska)
11. RUNNING FOR MY LIFE – 2000 (trzecia płyta autorska)
12. BLUE BLUES II – Grzegorz Kapońka Quartet – 2001
13. MISSA GOSPEL'S – 2001

# PRZEMYSKI CHÓR GOSPEL

**Rok dla istnienia zespołu to niewiele. Ale to właśnie ten pierwszy rok bywa najbardziej nośny, jeśli chodzi o przyszłość składu, kształtuje jego profil i charyzmat. Swoje pierwsze urodziny obchodził kilka tygodni temu Przemyski Chór Gospel.**

Miałam okazję przeżyć z nimi kilka pięknych dni w Kopenhadze, na początku października tego roku. Wspólna podróż, warsztaty, koncerty, nie kończące się rozmowy. Było kiedy się poznać.

Chór jest dużo większy, do Danii przyjechało „zaledwie” 40 osób. Głównie licealiści, ale też studenci, osoby pracujące, wreszcie mamy z dziećmi, które tu również śpiewają. Muszę przyznać, że taka międzypokoleniowa idea bardzo mi się spodobała. Jedni drugim są potrzebni i mogą się nawzajem od siebie uczyć. To bardzo cenne, gdyż obecnie zwykle rozdmuchuje się różnice międzypokoleniowe, każąc nam żyć w zamkniętych enklawach naszych rówieśników.

Muzyka gospel jest bardzo energetyczna, ale do jej wykonania tak naprawdę potrzebne jest wyciszenie. Do tego zaś – formacja, której brak od razu wyczuwa się na scenie. Na szczęście jednak przemyscy chórzyci – dzięki Panu Bogu i o. Lechowi, opiekunowi zespołu – nie są tej formacji pozbawieni. Uczą się modlitwy w muzyce, wiedzą, że podstawą jest przekaz, mają to „coś”, co stanowi o wartości przesłania. O. Lech umie pochwalić, ale gdy trzeba zganić, też powie to wprost. Komentując różne sytuacje, pokazuje je w biblijnym świetle i zmusza do myślenia.

Jednocześnie, towarzystwo nie jest bynajmniej „dretwe” – poczucie humoru, i to na pewnym poziomie, widać od razu. Co ciekawe, w autokarze największe śmiechy wybuchały z przodu, gdzie siedziały same dostojne „mamuśki” – jak to mówią młodzi chórzyci. O pogodzie ducha zespołu świadczą też teksty z pieczołowicie prowadzonej kroniki (to akurat o letnich warsztatach gospel w Osieku):

„Potrzebę wydzierania się – oprócz samych warsztatów – mogliśmy zaspokoić także na próbach naszego chóru. Wspomnieć tu należy o niezwykle

oryginalnych godzinach typu 22.40. Potrzeba snu była zaspokajana w stopniu minimalnym. Cóż: młodość = energia. Energia + brak rodziców = za dużo energii = chęć pokazania, że ktoś potrafi nie spać dłużej niż pozostali”.

Strona muzyczna jest jakby w tym wszystkim sprawą ostatnią. Tu liczy się rozwój i ciągła praca, bez której nic się nie zrobi. Nie można nigdy sobie powiedzieć: już jestem świetny, przecież bili mi brawo. Dopóki ktoś chce się uczyć, dopóki widzi lepszych od siebie, dopóty wszystko przed nim. Przemyscy chórzyci mają szansę uczyć się od najlepszych. I oby im tak zostało...

### o. LECH DOROBCZYŃSKI OFM założyciel i dyrygent chóru:

Po powrocie z zeszlorocznych warsztatów gospel w Krakowie, w których wzięli udział m.in. moi przyjaciele z Przemyśla - Lucyna i Henryk Rudawscy wraz z dziećmi, postanowiliśmy założyć u nas chór gospel. Początki nie należały do łatwych, lecz obiecująca była liczba chętnych, którzy przyszli na pierwszą próbę - prawie 50 osób. Z KRONIKI CHÓRU:

Do Domu Kolejarza 12 XI 2000 r. przy ul. Konarskiego 5 w Przemyślu wparadowała spora liczba młodzieży (ok. 50 sztuk). I nie



tylko młodzieży! Mamy w chórze (prócz „klanu” państwa Rudawskich) dwie przekochane kobitki: p. Bożenkę i p. Marysię. Obie (zapewne pod karą groźby) przytargaly z sobą dzieci (swoje).

O. Lech podzielił nas na sopran, alty i chłopców (wśród których nie doszedł wtedy do skutku podział na tenory i basy). Rafał brzdąkał na pianinie. Aż do zdumienia uczyliśmy się głosów. Z czasem doszły kolejne instrumenty: perkusja, saksofon, gitara basowa i bongosy.

#### **o. LECH:**

Mimo tego, iż minął zaledwie rok od pierwszej próby, można powiedzieć, że chór już jest „po przejściach” – ma na swoim koncie wiele występów, wyjazdów, przeżyć. Punktem zwrotnym było dla nas spotkanie, a następnie wspólne koncertowanie z Ewą Urygą. To z jej inicjatywy pojechalśmy na festiwal gospel do Osieka i Kopenhagi. To były niesamowite doświadczenia.

Zawsze marzyłem o tym, żeby zaśpiewać z Czarnym człowiekiem. Spełniło się to w październiku 1999, kiedy poznałem pierwszą czarnoskórą wokalistkę, Ruth Lynch, która bez wahania przyjęła moje zaproszenie do nagrania piosenki na płytę. A teraz jest mi dane uczyć się od wielu Czarnych muzyków i to razem z całym chórem. Każde spotkanie z nimi jest też kolejnym umocnieniem w wierze, bo ich świadectwo jest bardzo silne.

Dlaczego się tym zajmuję? Robię to przede wszystkim ze względu na Pana Boga, który każdemu z nas rozdzielił jakiś talent i z tego talentu będziemy kiedyś rozliczani.

Po drugie, robię to dla tych ludzi, którzy się gromadzą, a jest ich coraz więcej – w tej chwili ponad 150 osób. Zawsze bolało mnie to, że w Przemysłu młodzi ludzie siedzą beczynnie całymi godzinami na rynku. Teraz więc przynajmniej te 150 osób ma zajęcie w weekend, kiedy organizujemy próby. Wiem, że kiedyś będę odpowiadał za to, gdzie ich doprowadziłem, i modłę się, żeby nie był ślepcem prowadzącym ślepców. Dlatego jest to też jakaś formacja i zawsze staram się zwracać ich uwagę na to, co najważniejsze.

Robię to wreszcie i dla siebie, bo jestem szczęśliwy, że mogę się jakoś realizować. Karen Gibson, która od wielu lat prowadzi warsztaty gospel, była zaszokowana, że taką muzyką zajął się katolicki ksiądz. A ja się w tym naprawdę odnajduję. Myślimy o zorganizowaniu w dniach 27-28 kwietnia 2002 roku w Przemysłu warsztatów gospel. Do dziś zgłosili już swój udział Ruth Lynch i Peter Steinvig. Czekamy jeszcze na odpowiedź Juniora Robinsona. Wszystko zależy oczywiście od pieniędzy (może ktoś zechce nam pomóc?! – kontakt 609 12 48 09).

#### **RAFAŁ (maturzysta):**

Gram tu na fortepianie i cieszę się, że jest mi to dane. To dla mnie forma modlitwy. Jest to też spotkanie z drugim człowiekiem – tak nawet na przerwie czy w autokarze z kimś pogadać, albo na próbie popatrzeć, jak ludzie odbierają tę muzykę, że tyle im to daje – to bardzo podbudowuje. Nawet jak jestem „nie w

sosie”, a idę na próbę, to zawsze przechodzi mi już z momentem wejścia do budynku... Cieszę się też, że śpiewa tu moja mama i dwie siostry i że to jest taka wspólna rodzina modlitwa. Bardzo zależy mi, żeby to przetrwało.

#### **BEATKA (11 lat):**

Bardzo się cieszę, że tu śpiewam. Ta muzyka dobrze na mnie działa. Kiedyś to byłam taka zwariowana, nie potrafiłam usiedzieć na miejscu, ciągle gdzieś latałam, a teraz to potrafię usiąść i pomyśleć.

#### **MARIA (mama Beatki):**

Dla mnie śpiewanie w chórze gospel jest bardzo wielkim przeżyciem. Przede wszystkim to odskocznia od szarości – odkąd urodziłam Beatkę nie pracuję i było przez to trochę pusto w moim życiu. Od kiedy tu jestem, jakoś łatwiej mi żyć.

Jak tu trafiłam? Było ogłoszenie w kościele, że jeżeli kogoś interesuje muzyka gospel, to jest spotkanie w Domu Kolarza o godz. 16.00. Myślałam, że to będzie koncert jakiegoś zespołu. Przychodzimy, a tu się okazuje, że to my mamy go stworzyć. Trochę się zdziwiłam, ale zostałam – dzięki Bogu.

#### **LUCYNA (mama Rafała):**

Dzięki muzyce czuję, że obecność Boga jest tuż, tuż, mam takie poczucie Jego bliskości. To mi daje pewność, że na tym świecie nie jestem sama. Oczywiście oprócz rodziny, ale w rodzinie to zwykle matka pełni taką rolę „kwoki” i troszczy się o wszystko, a sama też bardzo potrzebuje poczucia bezpieczeństwa. I mam taką pewność, że jest ze mną Ktoś, kto jest niezawodny, że mogę na Nim polegać. Cieszę, że jesteśmy tu właściwie całą rodziną i wszyscy są w tej muzyce odnajdujemy.

#### **JACEK:**

Gram na gitarze basowej. Czasami też lubię pośpiewać. Do zespołu trafiłem przez tzw. przypadek - choć pewnie było to przez Kogoś zamierzone... Jednak dopiero po jakimś czasie odkryłem, co to dla mnie znaczy. Grałem już w życiu różną muzykę. Różna muzyka wyzwała różne emocje. Czasami trudno odnieść to do modlitwy. Tutaj natomiast bardzo doświadczam Bożego prowadzenia w trakcie koncertów. Czasami, odsłuchując potem nagranie, dziwię się, że potrafiłem tak zagrać. Jestem w tym całym sobą.

#### **ZKRONIKI CHÓRU:**

I tak, co niedziela, spotykamy się od listopada 2000, by ślać Boga – bo to o Niego przecież chodzi! Gospel (czyli Ewangelia) daje nam siłę, radość, chęć życia – już nie ma słów, by odpowiednio i dobrze to wyrazić.

Wysłuchała: Monika Zytke

/Zdjęcie pochodzi z koncertu Przemyskiego Chóru Gospel na festiwalu w Kopenhadze z udziałem Ewy Urygi i Ruth Lynch (X 2001)



fol. Monika Zytke / Tomasz Budzich



# Z ZIEMI DUŃSKIEJ DO POLSKI

Z LEA KJELDSEN  
ze Stowarzyszenia GOSPEL  
rozmawia Monika Zytke

**Warsztaty gospel odbyły się w Krakowie po raz trzeci. Jak co roku przyjechała z Londynu Ruth Lynch. Z powodu sytuacji w USA nie dotarł jednak Gerald T. Smith, skutkiem czego odwiedził nas znowu, jak zawsze niezawodny, Peter Steinvig z Danii, i – po raz pierwszy w Polsce – Junior Robinson (Wielka Brytania). Wszystko wyglądało „jak zawsze” – czyli jak rok i dwa lata temu. Próby całą sobotę i niedzielę, wieczorem koncert. Zmieniło się tylko miejsce – tym razem była to Akademia Ekonomiczna, a ilość uczestników wzrosła do ponad 300 osób. No i piosenki nie te same, choć tak samo poruszające, zarówno chórzystów, jak i publiczność...**

Warsztaty organizuje Stowarzyszenie GOSPEL, w którego zarządzie jest m.in. LEA KJELDSEN. To od niej i jej kilku polskich przyjaciół zaczęła się historia krakowskich spotkań. Lea jest Dunką, ale mieszka w Krakowie. Rozmawiamy po polsku.

**Jak to się stało, że znalazłaś się po drugiej stronie Bałtyku?**

Przyjechałam tutaj 9 lat temu do pracy z młodzieżą w organizacji, która nazywa się Chrześcijańskie Stowarzyszenie Akademickie, a działa wśród studentów i nastolatków. Miałam doświadczenie, z zawodu jestem nauczycielką muzyki. W Polsce zaczęliśmy organizować spotkania i obozy dla młodych ludzi. Dostałam umowę na trzy lata, którą potem przedłużono na następne trzy. Po ich upływie zastanawiałam się, czy zostać dłużej – byłam przekonana, że powinnam, ale nie do końca wiedziałam, w co się zaangażować. Czasy się bowiem zmieniły i taka jak dotąd forma spotkań niezbyt się sprawdzała. Młodzież teraz twierdzi, że nie ma czasu i nie jest tak chętna. Kiedyś (pewnie też to pamiętasz) wystarczyło wywiesić kartkę z ogłoszeniem o spotkaniu i przyszło sto osób. Teraz kartka nie wystarczy. I zastanawiałam się, co dalej. Wiedziałam, że Ewangelia jest ta sama, że ludzie jej tak samo potrzebują, ale że musimy zmienić formę przekazu. Nie myślę tu o ludziach, którzy chodzą do kościoła – myślę o tych, którzy są kościołem rozczarowani, którzy może nigdy nie spotkali się z żywym świadectwem o Panu Bogu. Bardzo chciałam – nie tylko ja, ale pewna grupa osób – rozmawiać z innymi o Bogu, o tym, że On jest, że to nie tylko tradycja, że On naprawdę żyje. Ale teraz ludzie nie lubią słuchać. Często nawet ci, którzy chodzą do kościoła, nie słuchają, bo uważają, że wiedzą już wszystko, co będzie powiedziane, słyszeli to przecież tyle razy.

Przez długi czas chodziło mi po głowie takie zdanie mojego polskiego kolegi: „Popatrz, co masz. Tylko to, co masz, możesz dać. Tylko to możesz wykorzystać. I z tym idź do ludzi”. I próbowałam się zastanowić, co mam, co umiem, co ja – Dunka w Polsce, sporo już od tych młodych ludzi starsza – mogę im zaoferować. I odkryłam na przykład, że lubię muzykę gospel i że mogę się tym podzielić. Mogę dać czas i miejsce, sciągnąć Ruth i Petera i umożliwić młodzieży spotkanie z nimi. Niech razem popracują, czegoś doświadczą, usłyszą świadectwo prowadzących i przekaz samej muzyki. Muszą się trochę starać, bo to jest po angielsku, ale jak człowiek się stara, to lepiej zapamiętuje. Poza tym dzisiaj jest tak, że ludzie chcą robić coś, co daje efekt od razu. A tu proszę – dwa dni prób i już koncert. Angielski jest przedmiotem w szkole, a dla niektórych to pierwszy kontakt z żywym językiem. To są oczywiście wszystkie rzeczy zewnętrzne – my możemy to zorganizować, dać przestrzeń na to, co w środku. A to, co dzieje się tam, w środku serca, to już sprawa Pana Boga.

**Miałaś wcześniej kontakt z muzyką gospel?**

Tak, w Danii prowadziłam chór w szkole. Śpiewaliśmy różne gatunki, w tym gospel. Nie znałam jednak tak dobrze tej muzyki, uczyłam się jej „po drodze”, jak wielu z nas.



**To już trzecie warsztaty. „Po drodze” powstało parę chórów – Kraków, Przemysł. Jak patrzysz na to z tej perspektywy?**

Jest zachęcająca! Myślę, że będzie coraz więcej warsztatów – Ruth i Peter dostają coraz to nowe zaproszenia... Oni są takimi ambasadorami muzyki gospel w Polsce.

We wszystkim najlepszym motorem działania jest to, że widzi się potrzebę. I widzę na przykład potrzebę zorganizowania dla dyrygentów warsztatów i to takich, gdzie będzie się też mówiło o duchowej stronie prowadzenia chóru, że musimy wiedzieć to, co śpiewamy i dyrygent nie może wiele przekazać, jeżeli sam nie zna Boga. Nie chodzi o to, by mówić kazania na próbach, czy wyjść przed zespół i emocjonować się przy „Total praise” („Totalne uwielbienie”, tytuł jednej z pieśni tegorocznych warsztatów). Ale trzeba samemu, będąc w domu, w ciszy, przekonać się, co to jest „Total praise”.

**Myślisz, że muzyka gospel ma szansę w Polsce?**

Przypuszczam, że będzie coraz więcej chórów – kościelnych i nie, w różnych miastach. Ta muzyka porusza serca i nie jesteśmy w stanie tego wstrzymać. Jeden cel – to spotkanie, muzykowanie, radość, że możemy razem śpiewać. Drugi cel, ważniejszy – to przekaz Ewangelii. I tu miałam wiele wątpliwości – czy dwa dni pośpiewania po angielsku mogą coś zmienić. Ale jeżeli powstaje chór, są próby co tydzień, ludzie, których się poznaje, ten przekaz ma szansę się zakorzenić. Myślę, że naszym zadaniem jest dać inspirację.

**Opowiedz jeszcze o Krakowskim Chórze Gospel.**

Powstał on 2 lata temu, po pierwszych warsztatach, bo nie mogliśmy potem zamknąć drzwi i kazać ludziom z Krakowa czekać rok na następne śpiewanie. Są tu osoby w różnym wieku – od licealistów do pięćdziesięciolatek, ale większość stanowią studenci. Bazą repertuaru jest oczywiście materiał z każdego następnego warsztatu, choć śpiewamy też inne utwory. Chór jest w trakcie zmian. Teraz będę go prowadzić wspólnie z Olą Sławik. Bo to jest tak, że każdy etap ma swoje wyzwanie. Na początku wszystko cudnie, miesiąc miodowy (*śmiech*), potem potrzeba takiej wierniej pracy. Później przychodzi pytanie o zaangażowanie wszystkich. Ludzie, którzy śpiewają parę lat, potrzebują wiedzieć, że to się rozwija. Dobrze jest, gdy z czasem sami chórzyci przejmują część odpowiedzialności za zespół, zwłaszcza organizacyjnej. I sami mają świadomość kierunku i celu, w jakim to wszystko zmierza.

**Przez 9 lat nieźle poznałaś nasz naród. Co myślisz o Polakach?**

Dobrze się czuję w Polsce. Różni się – to na pewno i nigdy nie będę jedną z was. Największe różnice? Mielicie wspólną historię, doświadczenia, które ukształtowały – stanie w kolejkach, takie a nie inne programy telewizyjne, „czeski film”, polski film, teksty z „Rejsu” itd. To jest bardzo głęboko zakorzenione w polskiej kulturze i nigdy nie będę tego miała. Kiedy leca dowcipy po polsku, połowy z nich nie rozumiem, chociaż znam język. Gra słów, skojarzenia, wiesz... Ale to samo spotyka każdego, kto wyjeżdża ze swojego kraju.

**A co Cię w nas denerwuje?**

Że wiele razy nie mówicie wprost. I jeszcze jedno – to może nie tyle denerwuje, co boli: że rodzice i nauczyciele bardzo mało zachęcają swoją młodzież, mało chwalą, bo jest ogólna tendencja, że komentujemy rzeczy negatywne. O pozytywach wiemy, myślimy, ale nie mówimy.

**Dobrze, czas na pozytyw: co w Polakach najbardziej cenisz?**

Serdeczność, gościnność, ciepło, to, że relacje między ludźmi są bardzo ważne.

**Znałaś trochę polski kiedy przyjechałaś do Krakowa?**

Ani słowa! Uczylam się cztery miesiące na Uniwersytecie Jagiellońskim, następne trzy chodziłam na konwersacje, a dalej to już życie było moim nauczycielem... Najgorsze były zakupy (*śmiech*). Kiedyś w warzywniaku poprosiłam o dwa kaloryfery... I kupowałam – nie potrzebując – cały kilogram marchewki, bo nie umiałam zapytać o pół... Myślę, że tamta pani sklepowa pamięta mnie do tej pory.

**Myślisz zostać w Polsce na długo?**

Może tak powiem – na razie nie planuję wyjeżdżać...

## Rozmowy z biskupem Chrapkiem

„Kiedy wydaliśmy wywiad-rzekę z biskupem Janem Chrapkiem, nie przypuszczaliśmy, że będzie on podsumowaniem życia tej wspaniałej postaci” – opowiadają zaskoczeni redaktorzy katowickiego Wydawnictwa Św. Jacka.

Biskup Jan Chrapek zginął w październiku w wypadku samochodowym w Sieklukach pod Radomiem. Książka „Świat, zbawienie i... telewizja”, w której z biskupem radomskim rozmawiały Barbara Czajkowska i Dorota Maciejewska, ukazała się przed kilkoma miesiącami.

„Długo namawialiśmy biskupa Jana do rozmowy. Cały czas się wzbraniał, rozkładał ręce i pytał: «Kto wam to kupi?». W końcu dał się namówić...” – wspominają redaktorzy wydawnictwa.

Książka spotkała się z żywym zainteresowaniem czytelników. Wydawnictwo jest pasjonującą opowieścią o całym życiu śp. bpa Jana: o Jego domu rodzinnym, korzeniach, dojrzewaniu kapłańskiego powołania, decyzji wstąpienia do zgromadzenia michalitów i biskupstwie. Wiele miejsca poświęca sprawom mediów, tak bliskich biskupowi Chrapkowi, odśłania też kulisy przygotowań do papieskich pielgrzymek.

Rozmówczyniami biskupa były Barbara Czajkowska (dziennikarka telewizyjna TVP 2, prowadząca m.in. „Linie specjalną”) i redaktorka Wydawnictwa Św. Jacka Dorota Maciejewska.

Książka jest bogato ilustrowana. Kilkadziesiąt zdjęć znaleziono w prywatnym archiwum radomskiego biskupa (jest kilka zdjęć z toruńskiego Song of Songs Festival!).

świat, zbawienie i...  
telewizja



Z biskupem Janem Chrapkiem

rozmawiają  
Barbara Czajkowska  
i Dorota Maciejewska



To zdumiewające  
- gdziekolwiek  
się ruszysz,  
w każdym kraju  
znajdziesz ludzi,  
którzy chcą śpiewać  
**gospel**

**Jak każdy muzyk, dużo podróżuję. I to nie zawsze najkrótszą drogą. Ale coś takiego jeszcze mi się nie zdarzyło. Znad naszego morza pojechałam do Danii – przez ... Kraków, Wrocław i Niemcy. Z niewielu chyba ponad 300 km zrobiło się sporo ponad 2000. I drugie tyle z powrotem. Po prostu podróż życia (?). Tym, którzy mnie zaprosili, powiedziałam, jak kiedyś pan Pyrkosz (nomen omen w roli Duńczyka) – „musiałabym być chora, by się na to zdecydować. Ale wiesz, że ostatnio jakoś gorzej się czuję?” ... Było jednak naprawdę warto. W państwie duńskim tym razem „złe się nie działo”. Odbył się bowiem – po raz dziesiąty – Kopenhaski Festiwal Gospel prowadzony przez znanego mi już wcześniej Petera Steinviga i jego czarnoskórych przyjaciół z Londynu.**

Ktoś może zapytać, po co zaraz o tym pisać w polskim czasopiśmie – przecież takich festiwali odbywa się w Europie sporo i niekoniecznie trzeba się nimi zaraz zajmować. Ten jednak miał bardzo dużo akcentów polskich i to był główny powód, dla którego się tam znalazłam. Po pierwsze – Peter Steinvig od trzech lat prowadzi warsztaty w Krakowie i w Osieku i znają go w Polsce wszyscy, którzy choć trochę zajmują się tą muzyką. Była też nie mniej w tym kręgu znana Ruth Lynch. Po drugie – w ramach festiwalu miał miejsce koncert Ewy Urygi i Przemyskiego Chóru Gospel. Wreszcie po trzecie, przyjechali do Kopenhagi jeszcze dwie osoby, które bardzo wiele zrobiły dla muzyki gospel w Polsce – Lea Kjeldsen (z pochodzenia Dunka, ale na identyfikatorze sobie napisała – zgodnie zresztą z prawdą – że jest z Krakowa) i ks. Zdzisław Ossowski, inicjator festiwali w Osieku. Dzięki nim w tzw. „międzyczasach” (czyli przerwach na kawę) ustalono czy sprecyzowano kilka projektów mających się odbyć w naszym kraju.

Kopenhaskie spotkanie zaczyna się w piątkowe popołudnie 5 października. W recepcji dostajemy identyfikatory, teksty utworów i „firmowe” koszulki z logo festiwalu – to będzie strój na koncert. Wchodzimy na salę widowiskową Centrum Kultury Chrześcijańskiej prowadzonego przez kościół zielonoświątkowy. Widownia z 1000 miejsc wypełniona po brzegi. Na dzień dobry slajdy z retrospekcją z poprzednich spotkań. Potem sztuczne ognie – jak na jubileusz przystało. Przedstawienie organizatorów i świetny koncert chóru „Kefas” prowadzonego przez Petera (ich płyta „Blessed Be The Rock” jest jedną z najlepszych płyt gospel, jakie w życiu słyszałam). A potem – do roboty. Widownia niepostrzeżenie zamienia się w chór, podział na głosy, prowadzący na scenie. Tym razem są to: Ruth Lynch, Etta Cameron, Karen Gibson i Junior Robinson. Wszyscy prócz Etty przyjechali z Londynu. Etta jest „miejskowa”, od kilkunastu lat mieszka w Kopenhadze, a pochodzi ze Stanów. Zaczynają się próby – każdy z solistów ze swoim pianistą z anielską cierpliwością uczy partii wszystkich głosów, sposobu wykonania i jak rytmizować (oni mówią: energizować) słowa. Nie brak poczucia humoru: „Gdzie są alt’y?” (zgłasza się lewa nawa i pół balkonu, jakieś 300 osób) – „A, to dobrze. Bo po ostatnim wejściu to myślałam, że jest was dwie...” Jest sporo śmiechu, który znakomicie niweluje zmęczenie – próba trwa do 22.00. W pierwszej przerwie



poznaję „sąsiadów” z rzędu przede mną – przyjechali z Norwegii w parę osób, chcieliby u siebie założyć chór gospel.

Sobota wygląda podobnie – wytężona, acz ze wszech miar radosna praca. Wieczorem koncert w kościele metodystów: występują zaproszone chóry z zagranicy, m.in. Przemyski Chór Gospel z Ewą Urygą i Ruth Lynch. Przekaz koncertu jest bardzo silny, publiczność jest poruszona.

Niedziela to najpierw nabożeństwo w kościele baptystów, który gości polską ekipę. Przykuwa moją uwagę jeden drobiazg: w każdym zaproszonym jest fortepian w dobrym stanie, w każdej większej sali domu parafialnego – niezłe pianino (czasem nawet niejedno). Mogę sobie tylko westchnąć...

Od południa próby w rotundowej sali Cirkusbygningen (kiedyś był tu cyrk) – jednej z największych sal koncertowych Kopenhagi (2000 miejsc, ale widzów zmieści się tylko 1600, resztę zajmie chór, którego 1000 głosów nie zmieści się na scenie). Sala ma świetną atmosferę, zapowiada się udany koncert. I tak jest w istocie. Jedyne trudne moment – próbę przerywa nam wiadomość o ataku USA na Afganistan. Na chwilę sala milknie w krótkiej chwili. Na koncercie Karen do tego wraca, mówiąc z perspektywy biblijnej o doświadczeniu strachu i niepewności. Chyba wszyscy wychodzą poruszeni.

Koncert jest rejestrowany, ukaze się wydanie CD. Płytę z zeszłorocznego festiwalu sprowadziła do Polski firma Paganini. Myślę, że muzykę gospel, zwłaszcza z chórem, można nagrywać tylko *live*. Można wtedy choć trochę poczuć płynącą z niej energię.

Poniedziałek zostaje nam na turystykę. Przecież być w Kopenhadze i nie zobaczyć Syrenki... Mamy nawet przewodniczkę – Polkę mieszkającą od kilkunastu lat po tej stronie Bałtyku. Wieczór z niespodzianką – na przedwyjazdowej kolacji zjawiają się Karen, Junior i Peter i improwizują małe „prywatne” jam session tylko dla chóru z Przemysła. Rozmawiam potem z Leą, że to są prawdziwe warsztaty: w małej grupie, z konkretnym zespołem, gdzie prowadzący może od razu reagować i na ważne sprawy zwrócić uwagę.

Pożegnania – i ruszamy. A rano w porcie mijaliśmy polski prom, na który gdybym wsiadła, to już bym była w domu... Ale czasami „naokoło” też znaczy „po drodze”.

*A oto co o festiwalu i swoich związkach z muzyką gospel powiedzieli mi Peter, Karen, Junior i Etta:*

**PETER STEINVIG:**

Dokładnie 10 lat temu zorganizowałem dla mojego chóru warsztaty gospel. Zaprosiłem jednego czarnoskórego wokalistę ze Stanów i trochę ludzi z parafii... A na koncert przyszły tłumy. Stwierdziliśmy, że trzeba warsztaty w większej formie przenieść do miasta i na wiosnę 1992 odbyła się pierwsza edycja Kopenhaskiego Festiwalu Gospel. Byłem wcześniej na kilku takich spotkaniach w Norwegii i chciałem to samo zrobić w moim kraju. Pierwszy raz zaprosiłem muzyka poznanego właśnie w Norwegii, on skontaktował mnie z następnymi, wiesz, jak to jest... A potem to już jak lawina (*śmiech*)... Nie zatrzymasz, choćbyś chciał!

Chórów gospel w Danii ciągle przybywa, tu na warsztatach mamy blisko tysiąc osób – również z zagranicy – Polska, Szwecja, Norwegia, Niemcy, a nawet Sankt Petersburg. To pokazuje, że muzyka gospel, choć narodziła się wśród Czarnych Amerykanów, jest jednak uniwersalna. Nasz festiwal był pierwszy w Danii – teraz jest ich kilka. Sami prowadzimy jeszcze jeden, mniejszy, na wiosnę.

Mamy stowarzyszenie – zarząd liczy 7 osób. Wspierają nas dwa moje chóry: „Kefas” i „Grace” i młodzież z kościoła metodystycznego. Każda z tych grup ma w zarządzie stowarzyszenia dwóch przedstawicieli – no i ja. Czynn timer przygotowanie festiwalu zaangażowanych jest kilkadziesiąt osób, a chyba ponad 100 – w trakcie jego trwania.

Nie możemy liczyć na żadnych sponsorów – raz kilka koron ofiarował Bank Duński, ale potem już nie. Właściwie bazujemy tylko na opłatach uczestników i biletach na koncert. Zawsze jest niepewność, czy uda nam się wyjść na zero. Nikt ze stowarzyszenia na tym nie zarabia.

W chórze „Kefas” większość stanowią młodzi ludzie – od studentów do trzydziestolatków. Ale prowadzę jeszcze dwa inne chóry gospel – i tam jest prawdziwa mieszanka wiekowa – przychodzą gimnazjaliści i ich babcie, naprawdę! Właśnie, to też jest unikalne – że masz takie miejsce, gdzie mogą przyjść ludzie w tak różnym wieku, wspólnie coś robić i jeszcze dobrze się razem czują.

To prawda, wiecznie mnie nie ma w domu... I bez wątpienia moja żona jest najlepszą żoną na świecie! Wydaje się, że widzi powołanie w opiece nad naszą rodziną. Radzi sobie z tym zresztą fantastycznie – a mamy pięcioro dzieci. Moja najstarsza córka zaraz po pracy dojedzie tu na próbę. W ogóle mają do mnie anielską cierpliwość i bardzo mnie wspierają we wszystkim, co robię. Wiem, że muszę uważać, by nie być poza domem więcej, niż to konieczne.

W Danii bardzo niewielu ludzi chodzi do kościoła, mimo iż deklarują się jako chrześcijanie. Dlatego widzę muzykę gospel jako Boży dar dla tego kraju, jako możliwość przekazywania dobrych wieści o zbawieniu. Widzę ludzi, którzy dzięki niej wracają do Boga, zaczynają czytać Biblię, modlić się. Zmienia się ich życie.

**KAREN GIBSON:**

Muzyką zajmuję się od dziecka. Na początku była to klasyczna edukacja. Grałam na fortepianie, a od 12 roku życia na oboju, który wkrótce stał się moim pierwszym instrumentem. Grałam w zespole – obój, trzy klarnety i fagot, pięć dziewczyn w wieku od 11 do 16 lat. Oryginalna sprawa – kwintet dęty gospel (*śmiech*), jeździliśmy z tym po kraju... Potem była druga formacja – sektet a cappella „New Done”. Nigdy nie myślałam, że mogę śpiewać. Ale zakończyłam się w jednej piosence z debiutanckiego albumu „The Winans”. Moja siostra nauczyła się partii fortepianowej, a my na poczekaniu wymyśliłyśmy jakieś głosy. No i tak zaczęłam śpiewać.

Potem zaczęłam pracować z chórem w parafii, potem w radiu i z chórami związanymi z radiem. Dużo nagrywaliśmy. Współpracowaliśmy z takimi osobami jak Elton John, A. Crouch czy Fred Hammond. Mam też swój chór, uczę muzyki w szkole i pracuję w ośrodku dla trudnej młodzieży, gdzie są dzieci wykluczone z systemu szkolnego. Próbujemy im pomóc m.in. przez muzykę.

Wiem, że nie wszyscy tutaj to chrześcijanie. Ale przez tę muzykę może dotrzeć do nich Ewangelia. Przy takich spotkaniach jedno jest istotne: żeby organizatorzy byli wierzący. Żeby pojmowali swoją pracę jako wezwanie i służbę. Żeby modlili się za tych ludzi, których zapraszają. Żeby nie chcieli nikogo przekonywać, ale dali sposobność Bogu do działania. Jesteśmy w tym naprawdę zgodni z Peterem, Ruth, Etą i ludźmi ze stowarzyszenia.

**JUNIOR ROBINSON:**

Zaczęłam śpiewać, gdy miałam jakieś cztery lata. I tak mi zostało (*śmiech*). Teraz jestem wokalistką na pełnym etacie. W naszym kościele śpiew był bardzo żywy, a mój tata miał pełno płyt gospel. Wychowałam się na tej muzyce. W dzieciństwie śpiewałam w kościele razem z dwoma moimi braćmi. Oni przestali, ja nie. I nigdy nie żałowałam tego wyboru. Wydaje mi się, że to najlepsza decyzja, jaką w życiu podjęłam...

Jestem solistą gospel, śpiewałam w musicalu „Mama I Want To Sing” na West End, przez 5 lat byłem gościnnym solistą szwajcarskiego chóru Awake. Prowadzę warsztaty w wielu krajach.

Tak, słucham też innej muzyki. Jazzu, soulu, R&B, trochę hip-hopu. Wszystkiego, co inspiruje.

Nie można wejść na scenę i śpiewać Bogu, a potem żyć sprzecznie z Ewangelią. Ludzie od razu widzą hipokryzję.

Że czarna muzyka jest tylko dla Czarnych muzyków? Myślę, że człowiek, który uważa, że muzyka powinna zostać tam, skąd się wzięła, jest trochę krótkowzroczny... I to nie jest problem korzeni kulturowych, tylko wrażliwości. Ale mimo wszystko jest to dla mnie zdumiewające – gdziekolwiek się ruszysz, w każdym kraju znajdziesz ludzi, którzy chcą śpiewać gospel.

\*\*\*\*\*

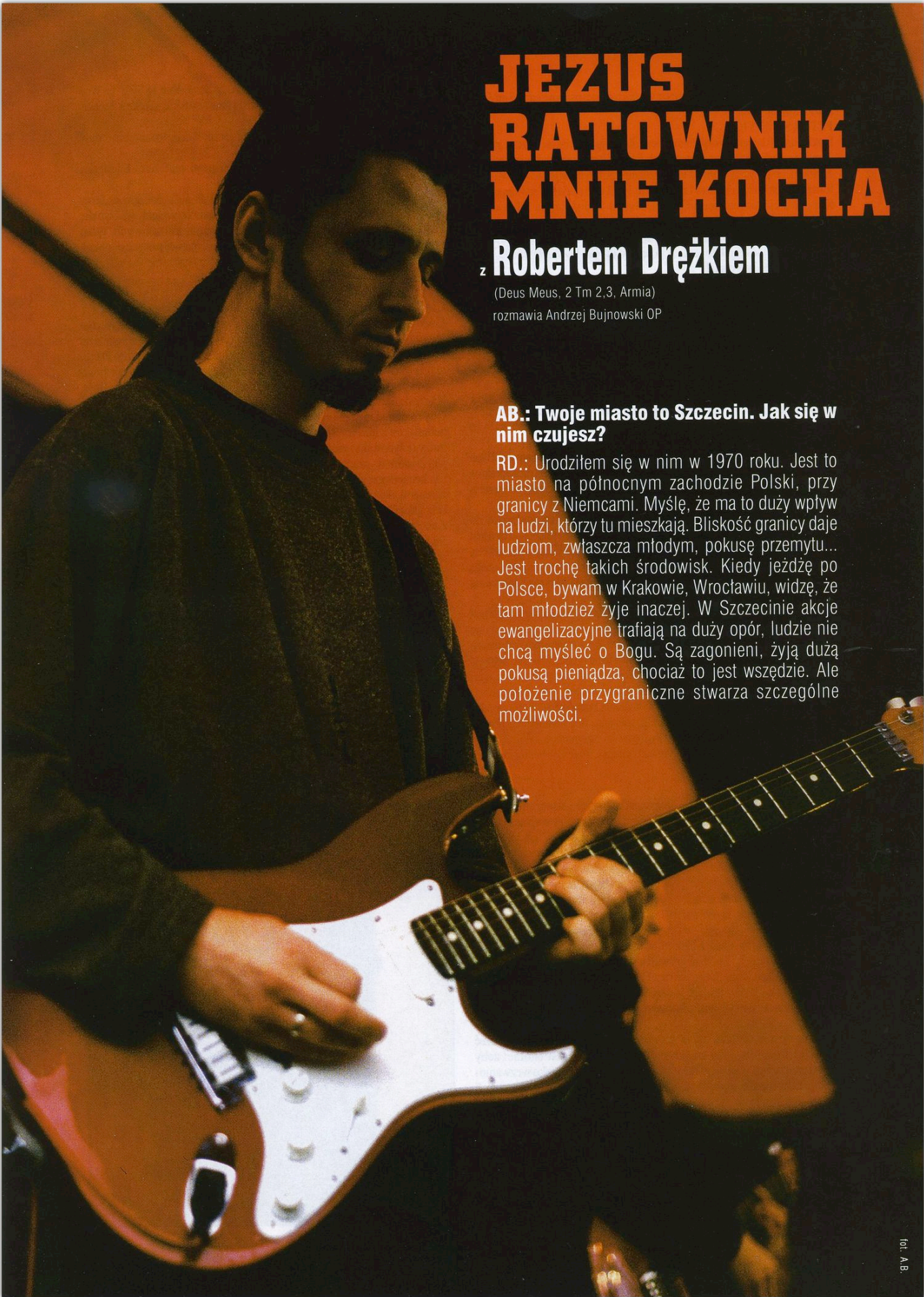
Chyba jednak najbardziej byłam pod wrażeniem rozmowy z **ETĄ CAMERON**. Po pierwsze – jej agent – pierwszy kulturalny manager, jakiego w życiu spotkałam... Po drugie – Etta. Jest po sześćdziesiątce, wygląda na czterdziestkę, temperament dwudziestki. Mimo iż od lat mieszka w Danii, ciągle tak samo porusza ją fakt, że ludzie z innej części świata tak żywo reagują na jej muzykę. Dużo w życiu przeszła i umie cenić to, co jest jej dane. Nigdy się nie zawiodła na Panu Bogu.

Gdy rozmawiamy, mam na sobie „firmową” koszulkę mojego zespołu z hebrajskim napisem „SHOMER”. Etta pyta mnie o to, stwierdza, że kocha muzykę żydowską i zaczyna śpiewać jeden z hebrajskich „standardów”. Ale jak! Z jakim wyczuciem, frazą, emocją... Jestem pod wrażeniem. Mówię, że najchętniej zaprosiłabym ją do wspólnego koncertowania. I od razu myślę, jak zareagowałaby publiczność na czarnoskórą solistkę na koncercie muzyki hebrajskiej...

Zaczynamy o tym rozmawiać i dochodzimy do tego samego, co powiedział Junior: że to nie jest kwestia kultury, tylko wrażliwości. Ale najpierw musi być taka muzyka, która sięga do korzeni, która jest prawdziwa, a nie plastikowa. Która była stworzona z potrzeby serca. Czyż nie to porusza nas właśnie w gospel, w muzyce żydowskiej, cygańskiej, albo tzw. słowiańskiej duszy? I odkrywamy jeszcze jedno: że u źródeł każdego z tych gatunków kryje się trudne, często nie pozbawione cierpienia, ale (może przez to) bardzo głębokie życie. Doświadczenie niewolnictwa, braku swojego miejsca na świecie, samotności. Ale powstaje wtedy muzyka z głębi serca, która nie musi się podobać, ale obok której nie można przejść obojętnie.



zdjęcie: Monika Zyke (acek, dzięki za aparat!) / Tomasz Brudziuch



# JEZUS RATOWNIK MNIĘ KOCHA

z **Robertem Drężkiem**

(Deus Meus, 2 Tm 2.3, Armia)

rozmawia Andrzej Bujnowski OP

**AB.: Twoje miasto to Szczecin. Jak się w nim czujesz?**

RD.: Urodziłem się w nim w 1970 roku. Jest to miasto na północnym zachodzie Polski, przy granicy z Niemcami. Myślę, że ma to duży wpływ na ludzi, którzy tu mieszkają. Bliskość granicy daje ludziom, zwłaszcza młodym, pokusę przemytu... Jest trochę takich środowisk. Kiedy jeżdżę po Polsce, bywam w Krakowie, Wrocławiu, widzę, że tam młodzież żyje inaczej. W Szczecinie akcje ewangelizacyjne trafiają na duży opór, ludzie nie chcą myśleć o Bogu. Są zagonieni, żyją dużą pokusą pieniądza, chociaż to jest wszędzie. Ale położenie przygraniczne stwarza szczególne możliwości.

**Od dziecka jednak miałeś w Szczecinie kontakt z Kościołem i jeździłeś na oazy... Twoja przygoda z Bogiem nie zaczęła się, gdy miałeś dwadzieścia kilka lat?**

U mnie zaczęło się to wszystko jakoś łagodnie. W szóstej klasie szkoły podstawowej zostałem ministrantem, w pierwszej klasie szkoły średniej wstąpiłem do Ruchu Światło-Życie, w którym uczestniczyłem przez 9-10 lat. Cały czas byłem w Kościele, tam też zaczęła się moja przygoda z muzyką. Pan Bóg mnie, jak widzę, spokojnie prowadzi za rękę. Nie było u mnie jakichś gwałtownych nawróceń (jak u św. Pawła), jest to raczej stały powolny proces.

**Kiedy po raz pierwszy trzymałeś w ręku gitarę i kiedy zaczęłeś grać?**

Pamiętam, że marzyłem, by mieć gitarę już za pieniądze, które dostałem na Pierwszą Komunię Świętą. To były ciekawe czasy, raz na dwa tygodnie przychodziła do sklepu muzycznego jedna gitara polskiej firmy Defil i od razu ustawały się po nią kolejki. Mamie udało się kupić taki instrument dopiero po półtora roku. Gitary, którą wziąłem wtedy do ręki, nie umiałem nawet nastroić. Pierwsze akordy poznałem w Ruchu Światło-Życie na oazach. Nauki gry uczyłem się na piosenkach religijnych i do dzisiaj właściwie je gram, chociaż inaczej niż wtedy gdy miałem 15 lat.

**Swoją przygodę z estradą zaczęłeś od grania, o ile pamiętam, w rockowym zespole?**

Znacznie wcześniej, muszę wspomnieć ładnych parę lat grania z Piotrkim Klimkiem, basistą, kompozytorem i autorem tekstów w jednej osobie. Będąc zasłużonymi ministrantami i oazowiczami, wyżebraliśmy od księdza proboszcza pieniądze na pierwsze gitary elektryczne. To był okres pierwszych zespołów. Organizowaliśmy koncerty w parafii, jeździliśmy na różne przeglądy, robiliśmy spektakle z muzyką na żywo. Pierwszy raz nagrywałem w studiu właśnie z Piotrkim. Były to nagrania dla Polskiego Radia, jego kompozycje śpiewane przez Natalię Kurek. Wtedy pierwszy raz zagrałem z profesjonalnymi muzykami: pianistą - Lesławem Możdżerem, basistą - Zbyszkim Wromblem i perkusistą - Zbyszkim Lewandowskim. Wtedy nazwiska te jeszcze niewiele mi mówiły. Koniec duetu Klimek-Dręzek nastąpił w momencie, gdy Piotrek rozpoczął studia kompozytorskie w Holandii. Potem przyszedł czas na pierwszy zespół rockowy.

**Jak się do niego dostaliście?**

Granie w nim zaproponował mi kolega, który mieszkał w tym samym bloku co ja. Widział, że biegam czasami do kościoła z jakimiś gitarami. Przeszedłem raz do nich na próbę... Zespół grał na rockowych przeglądach w Szczecinie i okolicach. Pamiętam Gryfino, mój pierwszy rockowy koncert, przeżyłem duży dreszcz emocji, gdy po raz pierwszy poczułem podmuch powietrza ze wzmocniaczy stojących za moimi plecami. Jako gitarzysta dostałem tam też wtedy wyróżnienie - za feeling gitarowy. Grupa grała hard rock i nazywała się Chicken Legs (Kurze Nóżki).

**Kiedy wypłynąłeś na szersze wody?**

Kiedyś zadzwonił mój znajomy ksiądz Piotr Leśniak i powiedział, że jest w mieście grupa, która chce nagrać jakieś piosenki uwielbieniowe. Rzucił wtedy dwa nazwiska: Mieczysław Szcześniak i Marcin Pospieszalski. Pod ich ciężarem nogi mi się nieco ugięły, te nazwiska były mi dobrze znane i nie przyjąłem tej propozycji, ponieważ bardzo się wystraszyłem, że nie podotam. Gdy sięgam pamięcią do tamtego dnia, automatycznie przypomina mi się wydarzenie, które przytrafiło mi się parę lat wcześniej: w moim kościele nie było nikogo, podszedłem i uklękłem przed samym tabernakulum. Pamiętam jak wtedy się modliłem: „Panie Boże, mam takie szczerze pragnienie, żeby grać w życiu dla Ciebie (grałem już ładnych parę lat w oazie) i chciałbym to robić najlepiej jak potrafię, oddawać to, co robię z muzyką, Tobie”. Pan Bóg wysłuchał mojej modlitwy, a ja wtedy spękałem. Cały dzień adrenalina nie spadała poniżej poziomu max. Wieczorem zadzwoniłem do ks. Piotra z pytaniem, czy znaleźli jakiegoś gitarzystę. Odpowiedział, że nie, więc powiedziałem w końcu, że zgadzam się. Potem zaczęły się pierwsze próby u dominikanów, poznałem tam ciebie i cały chór Deus Meus. Było to dla mnie ogromne przeżycie.

**Gitarzystą Deus Meus zostałeś w sposób naturalny. Był potrzebny gitarzysta, a ty byłeś pod ręką i grałeś najlepiej, więc**

**zespół od razu cię przyjął i zaakceptował. Przy czym, co warto dodać, wspierasz zespół także w śpiewie...**

Zaczęło się to przy okazji nagrywania płyty. W oazie, wiadomo, jak ma się gitarę w rękę, trzeba też prowadzić śpiew i uczyć ludzi piosenek. W Deus Meus zaczynałem, śmieszna sprawa, od śpiewu w sopranach, czyli głósie żeńskim (dla niewtajemniczonych: to podstawowy głos w piosence, dlatego wydawał mi się najłatwiejszy). W czasie nagrywania Marcin kazał mi się wyłączać, gdy śpiewały same dziewczyny, ale gdy dochodził cały chór, śpiewałem z sopranami wspierając podstawowy głos oktawę niżej. Później przeszedłem do basów, tu już nie było obciachu. Basy to męska sprawa, nie ujmując tenorom (śmiejch).

**Jak wyglądało rozstanie z zespołem rockowym Kurze Nóżki?**

Był to czas, kiedy po raz pierwszy wybierałem się na Spotkania Muzyków Chrześcijan do Ludźmierza. Wiedziałem, że będzie tam kilka ważnych osób i że będą to szczególnie rekolekcje, gdzie Pan Bóg działa w konkretny sposób. W tym samym czasie mieliśmy z Chicken Legs grać na przeglądzie, który dla zespołu był bardzo ważny. Mówiłem chłopakom, że mam wielki problem co wybrać. Wybrałem rekolekcje. Ten powód spowodował rozmowy na temat Chrystusa. Koledzy z zespołu powiedzieli mi: „Robert, daj sobie spokój albo zamknij się w klasztorze”. Bo tam, według nich, powinni być ludzie, którzy myślą o Bogu. Był to trudny czas dla mnie. Przychodziłem na próby Deus Meus i dzieliłem się tym, co mnie bolało, bo koledzy z zespołu w końcu mnie wyrzucili. Nie było to dla mnie łatwe, nikt przecież nie lubi być odrzucany.

**Odrzucili cię, bo ważniejsze było dla ciebie granie w Kościele, czy dlatego, że nie bywałeś na ich próbach i koncertach?**

Tak naprawdę do końca nie wiem, bo poza moimi plecami zaczęli robić próby z innym gitarzystą, zresztą moim przyjacielem. Gryzł go sumienie i od niego dowiedziałem się, że jestem na wylocie. Miałem duże wsparcie w Deus Meus. Potrzebowałem ich i bardzo się wtedy sprawdzili jako moi przyjaciele. Modlili się za mnie, za całą tę sytuację. Był to ważny dla mnie moment.

**Pamiętasz rok, w którym po raz pierwszy byłeś w Ludźmierzu?**

1994? Tak, to było wtedy. 7 lat temu.

**„Tymoteusza” jeszcze wtedy nie było...**

Nie. Był może taki początek 2 Tm 2,3. Na koniec rekolekcji odbył się koncert ewangelizacyjny w Nowym Targu. Na scenie stanęli wtedy Litza z Budzym, grał tam też Popcorn. Byłeś i ty, Andrzeju... Graliście „Exodus” z repertuaru Marleya i „On jest tu!” - Tomka Budzyńskiego. Niektórzy uważają ten moment za początek przyszłego zespołu, bo te osoby po raz pierwszy były razem.

**Jak odbierałeś to Spotkanie Ludźmierskie?**

Był to bardzo dobry czas w moim życiu. Czas, kiedy Pan wylewał na mnie swoją łaskę w sposób widoczny, namacalny. Myślę, że nie tylko ja to odczułem, wiele osób doświadczyło dotknięcia Bożego. Był to moment nowego przebudzenia, nowego nawrócenia. Dostałem wtedy nowego powietrza do życia, nowej krwi. Był to szczególnie czas.

**Czy tak już zostało? A może później był moment, kiedy przyjąłeś Chrystusa świadomie do swojego życia?**

Ludźmierz był czasem lotu na wysokim pułapie, wzniesieniem się pod samo niebo i uchwyceniem Pana Boga za nogi. Moje życie wykazało, a myślę, że z innymi było podobnie, że tak wysoki lot trudno utrzymać, jeśli człowiek nie ma relacji z Bogiem cały czas. I po tym wysokim locie było też duże spadanie. Całe moje życie tak przebiegało, już od czasu oazy - od rekolekcji do rekolekcji. Od czasu, kiedy się nawracałem, przechodziłem do życia codziennego. Potem znowu były rekolekcje, na których się nawracałem, potem znów „spadałem” itd... Momentem, od którego wszystko zaczęło się stabilizować, było moje wejście na drogę neokatechumenalną. To miało miejsce po rekolekcjach w Ludźmierzu. Było to w czasie, kiedy ja trochę wcześniej zrezygnowałem z oazy i nie uczestniczyłem czynnie w życiu Kościoła. Zaczął się dla mnie okres pustyni duchowej i cierpienia. Czuję, jakby uszło ze mnie powietrze i szukałem dla siebie jakiejś wspólnoty w Kościele. Chciałem być w społeczności ludzi, w której czytałbym Pismo Święte, modliłbym się i dzielił przeżyciami relacji z Bogiem. Zastanawiałem się nad

różnymi wspólnotami: Oaza Rodzin, Odnowa w Duchu Świętym. Udział w nich proponowały mi różne osoby. W trakcie powstawania płyty 2 Tm 2,3 Litza zabrał mnie w Poznaniu na Eucharystię w jego wspólnotę i wtedy przeżyłem coś, co trudno określić słowami, ale w tamtej chwili nabrałem pewności, że to jest właśnie miejsce, którego szukałem. U dominikanów w Szczecinie były wtedy katechezy neokatechumenalne i zacząłem „drogę”, na której jestem do dzisiaj.

**Bardzo to wszystko się spiętrzyło, bo z jednej strony neokatechumenat, z drugiej – koncerty – koncerty z Deus Meus i 2 Tm 2,3. Ostatnio słyszę, że również z Armia.**

**Zaczął się bardzo intensywny okres w twoim życiu, zgadzasz się?**

Tak, chociaż widzę, że ważniejsze dla mojego życia jest bycie we wspomnianej wspólnotę niż granie. W graniu jest ryzyko pewnej rutyny. Można czasami grać nie podpierając tego życiem. Bardziej istotne jest bycie z Bogiem. Wtedy całe granie nabiera pełni i sensu. Bez Boga jest to puste odgrywanie dźwięków, które nie ma właściwego żadnego znaczenia.

**Neokatechumenat dla ciebie spełnia zatem taką fundamentalną rolę?**

Myślę, że taką rolę spełnia Pan Bóg, a tam mam największą możliwość poznawania Go, odkrywania Go z moimi braćmi we wspólnotę.

**Koncerty grane są zwykle pod koniec tygodnia. Jak łączysz je ze swoją obecnością na spotkaniach neokatechumenalnych, które mają miejsce głównie w soboty wieczorem?**

Czasami weekendy są cierpieniem, że nie mogę uczestniczyć w Eucharystii we wspólnotę. Oprócz niej mamy liturgię słowa we wtorki. Tutaj mogę być częściej, bo środki tygodnia są wolne i liturgie te są dla mnie bardzo ważne.

**Czujesz, że grupa „neo” wspiera cię duchowo?**

Człowiek występując na scenie jest na jakimś piedestale, we wspólnotę „neo” tego nie ma. Wszyscy jesteśmy równi. To jest mi bardzo potrzebne. Tak było też, gdy zaczynałem grać z Tymoteuszem. Odrabiałem wtedy wojsko, żeby było ciekawiej – w kościele w mojej rodzinnej parafii. Pomagałem tam trochę, sprzątałem, pracowałem jako pomocnik przy budowie kościoła i po koncertach, na które przychodziło tysiące ludzi i kiedy można było być z siebie dumnym, wracałem, a następnego dnia w brudnych roboczych ciuchach chodziłem wokół kościoła i zbierałem śmieci, przrzuciałem koks w kotlewni. Moi koledzy przechodzili i widzieli to. Dla mnie było to bardzo zdrowe. Pan Bóg się zatroszczył, by mi woda sodowa nie uderzyła do głowy.

**Nie chcesz być zatem gwiazdą z pierwszych stron gazet?**

Absolutnie nie, ponieważ się do tego nie nadaję. Nie mam takich ambicji, chciałbym być normalnym człowiekiem, mężem mojej żony, w przyszłości kochającym ojcem...

**Porozmawiajmy teraz o każdym z zespołów, w których grasz. Po kolei... Czym jest dla ciebie Deus Meus?**

To na pewno grupa przyjaciół, z którą żyłem się od lat. To bardzo ważna część mojego życia. Powiedziałbym – przyjaciele, i też możliwość uwielbienia Boga. W neokatechumenacie nie ma tego typu uwielbienia, które jest w Deus Meus. Jest to też jakaś działalność w Kościele, jakaś praca wewnątrz Kościoła. Uwielbianie Boga przez muzykę, to buduje mojego ducha.

**Czym są dla ciebie spotkania z Deus Meus, te regularne próby śpiewu?**



Na rekolekcjach w Ludźmierzu, 1996

**Próby śpiewu są katogą!... muszę powiedzieć (śmiech). Jola Szczepaniak, nasza główna wokalistka, bardzo, bardzo dużo chce wycisnąć z chóru... i dobrze! Jest to męczące, ale przynosi owoce. Mamy też Eucharystię z zespołem, a zatem wzrost duchowy i muzyczny. Jedno i drugie jest dla mnie bardzo ważne.**

**Tymoteusz. Od kiedy zacząłeś w nim grać i jak to się stało, że tam się znalazłeś?**

W Tymoteuszu gram od samego początku. Udział w zespole zaproponował mi Litza, z którym bardzo zaprzyjaźniliśmy się po naszych pierwszych rekolekcjach Ludźmierskich. Był taki moment, kiedy Litza przyjechał z Kazikiem na żywo do Szczecina, powiedział mi wtedy, że nagrywa z Darkiem Malejonkiem i Tomkiem Budzyńskim płytę z psalmami, na której chcą wielbić Boga. Zapytał czy nie chciałbym zagrać w jednym utworze na gitarze. Powiedziałem, że oczywiście chcę, i w ogóle bardzo ucieszyłem się na tę propozycję. Minęło trochę czasu, Litza poprosił mnie, abym zrobił jeden numer na płytę. Gdy przyjechałem do studia w Wiśle, przywitał mnie na dworcu i powiedział, że jestem w podstawowym składzie zespołu. Wszystko zatem szło powoli, po nitce do kłębka.

**Wcześniej Litza był twoim gitarowym idolem?**

Niekoniecznie. Ja wcześniej nie słuchałem takiej czadowej muzyki. Słuchanie Acid Drinkers zaczęło się, gdy poznałem go osobiście. Wychowywałem się bardziej na bluesowym graniu, na starym hardrocku... Litza był ważny z innego powodu, obaj pochodziliśmy z rozbitych rodzin. Ja widząc swoją rodzinę, gdzie był alkohol, nienawiść, nie wyobrażałem sobie, bym mógł sam założyć w przyszłości rodzinę. Bardzo trudno jest człowiekowi, który wychowuje się w domu bez miłości, nie ma wówczas wzorca, fundamentu. Będąc częstym gościem u Roberta w domu, zobaczyłem, że można kochać żonę, dzieci, Boga, wychowując się w rozbitej rodzinie, pod warunkiem, że fundamentem jest Jezus. To jest dla mnie bardzo mocne świadectwo, przez które Bóg dał mi odwagę, tak że mogłem sam ślubować mojej Ani miłość, wierność i uczciwość, i to, że Jej nie opuszczę aż do śmierci. No i nie ma chyba w tym nic dziwnego, że Litza był moim świadkiem na ślubie.

**Czym jest dla ciebie 2 Tm 2,3? Grasz już w nim od pięciu lat...**

To dość szczególny zespół. Sam chyba do dzisiaj nie potrafię ogarnąć, czym on jest. Bardzo długo też szukałem swojego miejsca w Tymoteuszu, ponieważ było dla mnie prawdziwym szokiem wejście w skład ludzi, którzy w Polsce wiele znaczyli, a ja byłem jedną z osób, które muzycznie wiele nie zrobiły. Tymoteusz stał się obiektem, o którym dużo mówiono i pisano w prasie. To był dla mnie bardzo trudny okres, bo nie wiedziałem, jakie jest moje miejsce w tym wszystkim. Nie umiałem się odnaleźć, z drugiej strony dziękowałem Bogu, że się w nim znalazłem. Do dziś tak naprawdę nie rozumiem, dlaczego akurat ja. Często myślałem, że jest tylu moich kolegów, bardziej pobożnych, tylu lepszych gitarzystów.

Widzę, że Pan Bóg miał akurat taki plan. I jedno wiem, że przez Tymoteusza znalazłem się na drodze neokatechumenalnej. Może o to Panu Bogu chodziło? Jest to projekt na pewno niecodzienny. Muszę też powiedzieć, że w zespole nie jest tak cały czas sielankowo i cudownie. Są również na jego drodze i ciernie. Wszystkie te doświadczenia są jednak dobre i czegoś uczą. Cieszę się, że mogę w nich uczestniczyć.

**Brateś udział w nagrywaniu każdej z jego płyt?**

Tak, od pierwszej do ostatniej.

**Na kolejnych były też twoje piosenki, które zostały utrwalone?**

Na pierwszej płycie to był utwór „Magnificat”, na drugiej – „Z tą samą miłością”, na trzeciej – spokojny „Psalm 130”.

**Muzyka 2 Tm 2,3 jest bardzo ostra. Wasze koncerty to ogromny deszcz energii i emocji, która spływa ze sceny na widownię. Jak się odnajdujesz w tej muzyce, bo wspomniacie, że kiedyś słuchałeś nieco spokojniejszych gatunków?**

Słuchałem też starych dobrych zespołów typu Led Zeppelin, Deep Purple czy Jimi Hendrixa, a było to mocne rockowe granie. Bycie z Tymoteuszem to dla mnie ogromna radość i dzięki niemu zawsze wzrasta mi poziom adrenaliny. Jest dla mnie niezwykłym fenomenem to, co Bóg robi przez ten zespół. W pewnym momencie szalejemy

momencie pojawiła się nawet taka sytuacja, że na nasze koncerty zaczęły ciągnąć osoby, które nigdy nie słuchały ostrej muzyki rockowej, siostry zakonne, wspólnoty oazowe.... I tu zaczął się problem! Zespół, który miał głosić Ewangelię ludziom będącym poza Kościołem, stał się atrakcyjny dla tych, którzy w nim są.

**Czy za pomocą tej muzyki można, twoim zdaniem, zmieniać świat? W Kościele wciąż wielu uważa, że to jakieś nieporozumienie, że tą muzyką nie można ewangelizować, bo jest nieadekwatna do Ewangelii, jej świętych słów i przestania...**

Samą muzyką na pewno nie można zmienić świata. Myślę, że tylko Bóg ma siłę, by zmieniać ludzkie serca, a środki są różne. Ludzie mają różną wrażliwość. Są pewne młode osoby z dużym poziomem adrenaliny i potrzebują muzyki czadowej. To jest ich język, który rozumieją. Jedyłą formą, przez którą coś do nich dociera, jest taka muzyka. Spokojne piosenki byłyby przez nich odrzucone i niezrozumiałe... Do innych osób, bardziej wrażliwych, delikatnych, docierają może inne zespoły, grające spokojniej.

**Czy proponujecie ludziom coś więcej niż piosenki?**

To zależy od koncertu. W pewnym czasie, gdy na koncercie było za dużo słów, osoby będące autorytetami dla zespołu, powiedziały nam, że jesteśmy przede wszystkim muzykami i Słowo, które śpiewamy, ma taką moc, że to wystarczy. Jest różnie! A w ogóle to Duch Święty podpowiada, kiedy jest odpowiedni moment, aby mówić, a kiedy tylko śpiewać. Czasami jest tak, że jak się za dużo mówi, ludzie zamykają uszy i nie przyjmują Słowa Bożego.

**Graliście kiedyś w Jarocinie na imprezie zupełnie świeckiej?**

W zeszłym roku, na nieudanym Jarocinie, którego próbowano reaktywować. To nie za bardzo się udało. Pamiętam, że Armia otwierała koncert, a Tymoteusz go zamykał...

**Największa impreza świecka, na której graliście?**

Koncerty na Rynku w Krakowie, ale właściwie one też były związane z Kościołem... Był też koncert „Śląsk dla Kosowa”, było bardzo dużo koncertów. Mam problemy z zapamiętaniem ich. Do pierwszych stu koncertów zapisywałem wszystkie w kalendarzyku, liczyłem... Gdy zbliżał się setny, mówiłem chłopakom: słuchajcie, dzisiaj gramy setny koncert! Do tego momentu wiedziałem, potem sobie odpuściłem.

**Grupa Armia. Od kiedy rozpoczął się ten nowy rozdział dla ciebie?**

To było przy nagrywaniu trzeciej płyty Tymoteusza – „Pascha”. W Armii grało wtedy dwóch gitarzystów: Popcorn (z Acid Drinkers) i Paweł Klimczak z Poznania, który zaczął wtedy współpracę z LombarDEM. Sytuacja wyglądała wtedy tak, że Tomek Budzyński



na scenie, a Pan Bóg, bo to nie nasza zasługa, dotyka serc ludzi. Pamiętam pierwszy nasz koncert w Szczecinie, który dla mnie był bardzo przejmującym wydarzeniem, bo chciałem pokazać się jak najlepszej stronie wobec wielu znajomych osób. Po koncercie przyszedł kolega. Myślałem, że zacznie klepać mnie po ramieniu i powie: było O.K., super! A on mówi: „Słuchaj, Robert, gdy krzyce- liście te psalmy, ja sobie pierwszy raz w życiu uświadomiłem swój grzech, swoją grzeszność”. Nigdy nie słyszałem od niego takich słów. Nie wiem, jak mu to przez te psalmy Pan Bóg ukazał akurat w tym momencie, w tym tłumie ludzi, gdzie lał się pot i było gorąco, ale wiem, że Bóg wiele osób w trakcie grania Tymoteusza dotykał i mimo że graliśmy czad, czynił w sercach rzeczy niezwykłe. W wielu ludziach po koncertach Tymoteusza coś drgnęło tak, że po wielu, wielu latach szli do spowiedzi, wchodzili do Kościoła, do wspólnot... Myślę, że po to powstał Tymoteusz.

**Są też jednak ludzie, którzy nie chcą się zgodzić z przestaniem Tymoteusza, walczą wewnętrznie... Na co dzień słuchają różnych odmian rocka, piosenek, w których nie ma treści religijnych, a wręcz przeciwnie, i tu następuje reakcja zwrotna. Niektórzy świadomie wychodzą z tych koncertów albo wykrzykują antyreligijne hasła – „Niech żyje szatan!”... Budzi się w nich jakiś sprzeciw. Czy nie zdarzały się takie wypadki?**

Było ich niewiele, aczkolwiek – tak, bo na pewno dla niektórych ludzi muzyka, która w pewnych środowiskach jest oznaką twardości i męskości, nagle przy śpiewaniu o Bogu wydaje się obciachem. Zespół rzadko był atakowany przez publiczność. W pewnym



musiał z wielu koncertów Armii rezygnować, bo obaj wspomniani muzycy grali często w drugich zespołach. Tomek zaproponował mi granie jako trzeciemu gitarzyście i od tego momentu, od półtora roku gram z Armią. Do lipca tego roku byłem w ławce rezerwowej, ostatnio Tomek powiedział mi, że jestem w składzie zespołu Armia i żebym robił utwory na nową płytę. W tej chwili jesteśmy w trakcie prób piosenek, w listopadzie zespół wchodzi do studia.

**Który z zespołów, w których grasz, jest ci najbliższy?**

2 Tm 2,3, Armia, Deus Meus, Zbylaki, Adonai.

**O te dwa ostatnie boję się już pytać... Czy wymienicie w kolejności, w której są dla ciebie ważne?**

Nie... (śmiej), wszystkie traktuję na równym poziomie. Wszystkie są ważne, przy czym każdy na inny sposób...

Więc może według alfabetu: Adonai, Armia, Deus Meus, 2 Tm 2,3; Zbylaki.

**A'propos Adonai – grasz w nim, czy zostałeś zaproszony tylko do nagrania z nim płyty?**

Na początku chodziło głównie o nagranie płyty. Zaproszono mnie przez basistę – Doktora Kmiętę. Później zagraliśmy parę koncertów, które, muszę przyznać, były bardzo udane.

**Piszesz piosenki właśnie dla Adonai, dla Tymoteusza, ostatnio dla Deus Meus. Jak one powstają?**

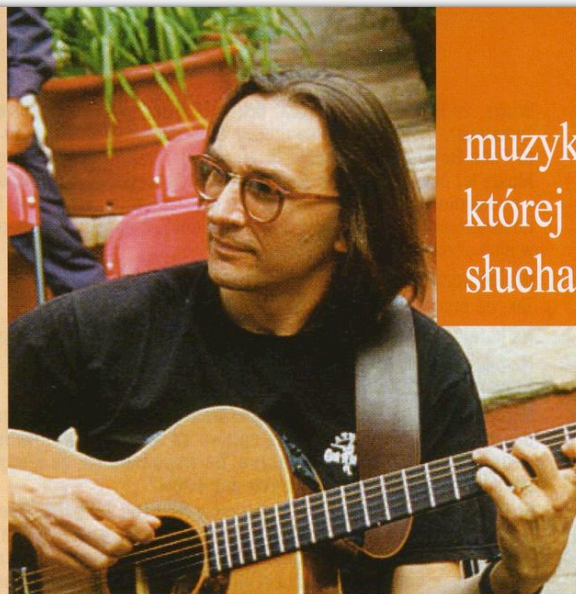
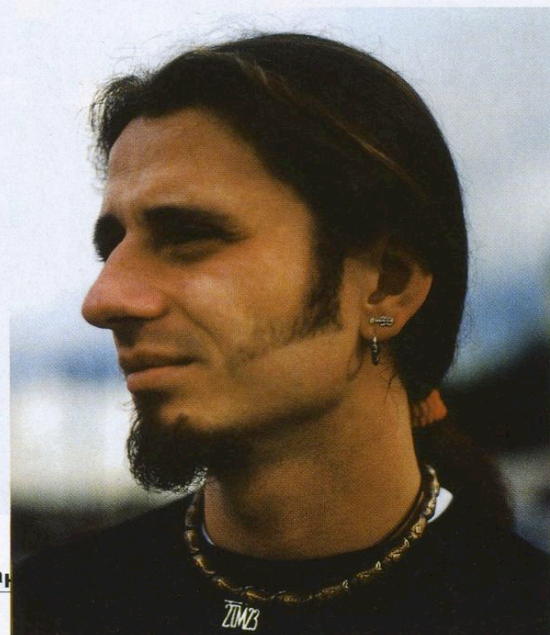
Zawsze, gdy przeżywałem coś „w środku”, miałem okresy jakiegoś uniesienia, bliskiej relacji z Bogiem, albo smutku, jakiejś samotności, często uciekałem do muzyki, do dźwięków. Grałem różne rzeczy, grałem muzykę pod słowa psalmów bądź tworzyłem je sam. Są one efektem modlitwy i są dla mnie bardzo ważne, bo wiem, że w jakimś momencie mojego życia one w sposób naturalny powstały, były mi potrzebne. Czasami jest też tak, że coś nagrywamy i trzeba napisać jakiś utwór na płytę.

**Obecnie żyjesz głównie graniem. Cały czas ze sceny głosisz Jezusa i prawie nie ma tygodnia, w którym nie grabyś koncertu.**

Staram się i mam pragnienie, by był na co dzień we mnie obecny. Nie ma chyba chrześcijanina doskonałego, każdy ma swoje wznioły i upadki i na pewno Jezus jest tą Osobą, która wciąż daje mi szansę, jest ratownikiem. Podobają mi się to u Arki Noego, bardzo to przeżywam, gdy Arka śpiewa „Jezus ratownik mnie kocha”. To ten, który wyciąga do mnie rękę. To nadzieja mojego życia. To Osoba, dzięki której mogę żyć i żyję dzisiaj. Bez Niego życie nie miałoby dla mnie żadnego sensu.

**Czujesz, że słyszysz bardzo ważnej sprawie?**

Na pewno. Sprawie, która mnie przerasta i jest ogromna. Zawsze się modlę, by Duch Święty przychodził mi z pomocą, bez Niego nie miałbym najmniejszych szans. Jestem tylko małym, marnym narzędziem.



muzyka,  
której  
słucha

## YANINA

Na wstępie muszę wspomnieć o utworze, który kojarzy mi się z najwcześniejszym dzieciństwem. Jest to kolęda „Lulajże, Jezuniu”, którą często śpiewała mi moja mama. Zawsze, kiedy ją słyszę lub śpiewam, bardzo się wzruszam. Kolejne spotkanie z muzyką to orkiestry dęte w parku Jasnogórskim, orkiestry w cyrkach i orkiestry dęte pogrzebowe grające w orszaku żałobnym. Te ostatnie najlepiej pamiętam. Wspomnę również o muzyce z Radia Luksemburg. Godzinami wstuchiwałem się w rytmy i melodie. Fascynowała mnie różnorodność barw języków i tego, co można było usłyszeć „kręcąc gałką” na skali radia w średnim i krótkim paśmie. Kiedy miałem 15 lat uświadomiłem sobie, że muzyka stała się CELEM mojego życia. Coraz więcej czasu poświęcałem na słuchanie i ćwiczenie gry na gitarze oraz kontrabasie. Nie ukrywam, że przeszedłem prawie wszystkie etapy muzykowania. Próbowaliśmy swoich sił na scenie podwórkowej, weselnej oraz grałem do tańca. Później przyszedł czas na muzykę klasyczną, pop, blues, rock (i jego różne odmiany awangardowe) i jazz. Dzisiaj, po latach doświadczeń, muzyka stała się dla mnie DROGĄ do CELU.

Fascynacje różną muzyką pojawiały się w kolejnych etapach mojego życia, jednak muzyka, do której najczęściej wracam, to: The Beatles i The Rolling Stones, Joni Mitchell, Bob Dylan, The Ventures, The Animals, Velvet Underground, Kinks, PIL, The Police, Clash, Elvis Presley, Elvis Costello, Talking Heads, Neil Young, Aerosmith, Laurie Anderson, Alanis Morissette, Björk, Tom Petty, Bo Diddley i wielu innych. Jeśli chodzi o muzykę blues & jazz i okolice to: John Coltrane i Miles Davis oraz Ornette Coleman, Gil Evans, Jimi Hendrix, Bob Marley, John McLaughlin, Frank Zappa, Nina Simone, Billie Holiday, Chet Baker, Jonny Winter, Rick Deringer, Carlos Santana, Lester Bowie, Don Cherry, Charlie Parker, Louis Armstrong, Donny Hathaway, Stewie Wonder, Jon Hassell, Jan Garbarek, James Brown, Otis Redding, Muddy Waters i wielu innych. Muszę ekstra nadmienić muzykę, która ma u mnie specjalną „szufladę”. Znajdują się w niej solowe fortepianowe koncerty Keitha Jarretta, chorały gregoriańskie, Chopin, Bach (Wariacje Goldbergowskie w wyk. Glenna Goulda), Stockhausen i Messiaen. Polska muzyka i polscy muzycy, którzy wywarli na mnie największe wrażenie, to: Tomasz Stańko, skrzypek Zbigniew Seifert, Czesław Niemen, Krzysztof Klenczon (Czerwone Gitary), Tadeusz Nalepa i Breackout, Janusz Popławski (Niebiesko-Czarni), SBB.

Od kilku lat fascynują mnie śpiewacy z republiki Tuwa, którzy potrafią wydobywać z siebie wielogłosy oraz bardzo niskie dźwięki. Podczas ostatnich wakacji miałem okazję poznać jednego z ich mistrzów (Kongar on Oldar) i skonfrontować moje próby w tej sztuce. Słucham także ludowej muzyki z całego świata np.: japońskiej, hinduskiej, koreańskiej, afrykańskiej, rosyjskiej, greckiej, arabskiej, bułgarskiej, rumuńskiej, hiszpańskiej, Ameryki Środkowej i Południowej i oczywiście wybranej (tej najlepszej) Polskiej muzyki ludowej. Jest jeszcze wiele innych wykonawców, których lubię, ale nie byłbym w stanie ich tu wszystkich pomieścić. Myślę, że jest wiele talentów na świecie, jednak chciałbym zwrócić szczególną uwagę na to, co w dobry sposób porusza nasze umysły. Każdy człowiek ma swoją niepowtarzalną wrażliwość i może wybrać dla siebie to, co najlepsze.

Wiele serdeczności dla czytelników RU4H! - YANINA

Pierwsze w Polsce!!!

# Targi muzyka chrześcijan

Kraków - 26-28.10.2001 r.

MONIKA ZYTKA

Targi. Stoiska, katalogi, wystawcy, klienci. Targi muzyczne – wydawcy, zespoły, koncerty. Targi chrześcijańskie? – z tym już gorzej. Targi bowiem to również konkurencja, podaż i popyt, rynek, reklama. Z drugiej strony – jak inaczej? Przecież jeżeli ludzie nagrywają płyty, a inni chcą ich słuchać, to trzeba je jakoś dystrybuować. Czyli tworzy się rynek. Trzeba się tym zajmować. Tym bardziej dzisiaj, kiedy w świecie tak mocno promowane jest zło i tandeta, chrześcijanie nie powinni pozostać bierni. Jak jednak ustrzec się przed niebezpieczeństwem sprowadzenia wiary do rangi towaru? To jak zawsze sprawa serca. I posłuszeństwa Słowu, które daje wyraźną wskazówkę: „Nie tak będzie między wami” (Mk10,43). Z wierzchu wszystko wygląda tak samo – stoiska, wystawcy, klienci, wydawcy, zespoły, koncerty. Ale liczy się to, co wewnątrz. Czyli przede wszystkim motywacja. Normalne jest, że są ludzie, którzy utrzymują się z tej muzyki. Artyści, managerowie, wydawcy. I nie chodzi tu o ten fakt, ale o ich podejście. Co jest dla nich celem, a co środkiem. Bo zarabiać na życie można w rozmaity sposób. Można robić coś dobrego albo niezpełnie. Można do Pana Boga przybliżyć albo do Niego zrażać.

W Polsce mamy już pewne doświadczenie, jeżeli chodzi o targi chrześcijańskiej literatury, z muzyką spróbowano po raz pierwszy. W dniach 26-28 października w Krakowie na terenie parafii św. Jadwigi zaprezentowało swój dorobek ponad 20 wystawców, wystąpiło kilkanaście zespołów.

Targi to również (i to może jest najważniejsze) miejsce spotkania. Przyczyną problemów w każdym środowisku, w muzycznym również, bywa fakt, iż ludzie się nie znają. Wiele ciekawych inicjatyw nie doszło do skutku, bo nie było czasu, by z kimś „z branży” porozmawiać, może się poradzić. W Krakowie przez te trzy dni ludzie, którzy zajmują się tym samym, a mają do siebie setki kilometrów, teraz mieli dwa kroki. I nie trzeba od razu ubijać interesów, wystarczy po prostu pójść razem na kawę. Spójrzeć z perspektywy kogoś innego na to, czym się zajmujemy, czegoś się nauczyć, ponarząć na brak funduszy (to łączy wszystkich), podzielić się doświadczeniem.

O odbyło się też kilka spotkań na większym forum, z których najcenniejsze było chyba to gromadzące organizatorów festiwalu. Uczestnicy dopisali, zjawili się przedstawiciele chyba wszystkich większych festiwali chrześcijańskich w Polsce: Toruń (Song of Songs), Kwidzyn (Kerygmat), Zielona Góra (Pokój i Dobro), Będzin (Koleśy i Pastorałki), Dębica (Polonia Semper Fidelis), Bochnia (Piosenka Maryjna), Mikołów (Salwatorianie) i inni.

Pierwsze, co w rozmowie dało się zauważyć, to że czasy się zmieniły. Leszek Tokarski wspominał festiwale sprzed kilkunastu lat, kiedy to wystarczały dwa odręcznie namalowane plakaty i ogłoszenie z ambony, by mieć na koncercie 3000 ludzi stojących na baczność (bo ciasno) i jeszcze nagrywających na „grundigi”. Teraz to już nie wystarczy. Propozycji jest tak wiele, że to, co jest nieprofesjonalnie przygotowane, po prostu nie ma szansy zaistnieć. I to jest pierwsze wyzwanie.

O drugim, ważniejszym, mówił Wojciecha Zaguła. Nazwał to „syndromem kościelnego”, który ciągle pracuje dla Pana Boga i jest tak blisko Niego, że wreszcie przestaje Go zauważać. To jest niebezpieczeństwo czyhające na wszystkich, którzy angażują się w ewangelizację. Dlatego konieczna jest formacja organizatorów. Konieczne – oprócz spotkań roboczych – wspólna modlitwa, dzielenie. Taki czas na dostrojenie, żeby nie zjadły nas telefony, faksy, maile i niedograne sprawy. Żebyśmy nie zapomnieli, dla Kogo to robimy.

Padła też propozycja stworzenia internetowych list dyskusyjnych, np. dla organizatorów festiwali. W czasie spotkania poruszanych było wiele bardzo praktycznych kwestii (np.: że lepsze jest osobne festiwalowe stowarzyszenie niż podczepianie się pod jakieś istniejące struktury, czy jak rozliczać się z ZAiKSem.) Taka lista, gdzie każdy mógłby się na bieżąco poradzić bardziej doświadczonych od siebie, byłaby przedłużeniem spotkania.

Nikt nie ma monopolu na prawdę. Jeżeli robimy coś dla Pana Boga, zawsze znajdą się tacy, którzy parę kilometrów obok robią to samo. Możemy sobie nawzajem pomagać albo przeszkadzać. Dlatego cenna jest każda inicjatywa, która – tak jak krakowskie targi – sprzyja integracji środowiska. Czyż nie jednoś jest tym, co przemawia najbardziej?

**PREZENTACJE ZESPOŁÓW:** JAN BUDZIASZEK & JANUSZ SAŁUGA \* J.E.G.O. BAND \* PROJEKT EDEN \* HABARI NJEMA \* KOTY \* BEZ KOŃCA \* VOX NOSTRA \* SEGA BAND \* ORATORIUM \* BARTEK JASKOT \* WOJCIECHOWE NUTKI \* 40+30/70 \* NIEBIESKIE MIGDAŁKI

**KONCERTY:** JACEK DEWÓDZKI & PRZYJACIELE \* FRÜHSTÜCK \* MAGDA ANIOŁ \* AMENBEND

**WYSTAWY:** Salezjańskiego Wolontariatu Misyjnego i kolekcja fotografii czterech edycji festiwalu Song of Songs

**ORGANIZATORZY:** Dom Wydawniczy RAFAEL \* PAGANINI



Kiedyś spotkałem na krakowskiej Skałce ojca Darka Cichora. „Był tu wczoraj Dziki, jak on pięknie kłął przy klerykach paulińskich” – rozmarzył się paulin.

Joszko puścił jakąś skoczną, muzyczkę węgierską. Do studia DR w Wiśle weszła ekipa z Warszawy. Kasia - żona Stopy, Angelika, o. Darek Cichor i jakiś koleś z kolczykami na twarzy. Muzyka była tak żywiołowa, że zaczęliśmy przy niej szaleć. „Dziki jestem” - przedstawił się „zakolczykowany”, z którym tańczyłem właśnie dookoła stołu. Młody paulin ojciec Darek Cichor uśmiechnął się zza okularów i szepnął mi do ucha: „Proszę cię, zrób z nim wywiad”. Niektórzy zareagowali zdziwieniem: Z Dzikim wywiad będziesz robił???

# Dziki Umiera Powoli

z Grzegorzem Waclawem „Dzikim”  
rozmawia jakiś mówicz

wywiad pochodzi z książki *Dno - Dziennik pisany niemocą*

26 RU<sup>14</sup>H

## Przed kilku laty, w listopadzie

czekałem na pewnego muzyka. Drugi raz przyjechałem do Warszawy, by zrobić z nim wywiad. Drugi raz nie przyszedł na spotkanie. Kiedy za pierwszym razem po godzinnej walce dałem za wygraną i chciałem wrócić do Katowic („a może nie mam robić żadnej książki i jest to tylko mój pomysł?”), spotkałem nagle „przypadkowo” Budzego, mieszkającego przecież na stałe w Poznaniu. Rozmawialiśmy w nocy. I kiedy powtórnie czekałem przez godzinę, marzłem i kłamię pod nosem, znów „nagle” i oczywiście „przypadkowo” otworzyły się boczne drzwi kościoła na Długiej, wyrzła z nich znajoma „zakolczykowana” twarz i usłyszałem głos: „A może ze mną, dzisiaj porozmawiasz, he, he?” Zatkalo mnie. A jednak Bóg zaplanował tę książkę od A do Z.

Kiedy nagrywałem świadectwo Dzikiego, czasami mnie zatykało. Trząsałem się z emocji lub ze śmiechu. Po ukazaniu się „Radykalnych” Budzy zażartował, że książka powinna się nazywać „Przygody Dzikiego”. Rzeczywiście, jego mocne świadectwo poruszyło tysiące osób. A było w nim wiele wyrazów, którymi babcie straszłyby swoich wnuków, gdyby tylko te słowa przeszły przez ich usta. Krótko mówiąc, reżyser Pasikowski mógłby się wiele nauczyć... Baliśmy się, że przez nie książka w Kurii nie przejdzie i nie dostanie wymaganego „imprimatur”.

Przeszła.

# Co dziś u Dzikiego słychać?

**Twoja opowieść w „Radykalnych” wywołała największą burzę. Nie stałeś się idolem nastoletniej młodzieży? Do twojej wspólnoty nie przychodzą ludzie z prośbą o autograf?**

Nic nie wiem o tego typu sensacjach. Byłem natomiast świadkiem, jak pewne młode dziewczę, podstępnie zwabione na katechezę wstępne (do neokatechumenatu), nie chciało usiąść z przodu, o co je prosiłem. Dopiero jak powiedziałem, że w pierwszym rzędzie siedzi Stopa, to szybciułko poleciała. A tak w ogóle, to o co Ci chodzi?

**Nie przychodzili młodzi ludzie zwabięni możliwością zobaczenia „bohatera”? Nie mówili: ooo, to ten z kolczykami, co podobno wypluwał Komunię do rękawa?**

He, he, he, ty to masz pomysły... No, petali się tacy, dawalo się im trochę kasy, żeby nie przychodzili więcej i już nie było z nimi kłopotów. Żartuję. Nie wiem, może i przychodzili, ale ja się takimi pierdołami nie przejmuję, to jest dla mnie nierejestrowalny przejaw rzeczywistości. Widzisz, ja jestem człowiekiem nieśmiałym i rozmowa z kimś takim krepowałaby mnie, dlatego też kreowałem się na nieprzystępnego twardziela, żeby tę swoją wewnętrzną miękkość zamaskować. No i to ja byłem człowiekiem, który grał się w Stosku sławy innych, no wiesz, to było na topie znać Budzego, Maleo, Stopę – wszyscy wiedzą kim oni są – a kto by tam znał jakiegoś Dzikiego...

Poza tym, taka idolomania jest nie dla mnie. Wyniosłem do niej wstręt jeszcze z dawnych czasów. Kiedyś, jak się przychodziło do Dezertera po autografy, to Robal mówił: „Dwoja z punk rocka!”

**Na twoim ślubie kapłan głoszący kazanie wyraźnie zaznaczył, że skoro złała cię Miłość, nie można już na ciebie mówić „Dziki”, ale „ujarzmiony”. A jesteś wciąż Dzikim... Nie dałeś się do końca ujarzmić? A może ksywka ci nie pasuje?**

Faktycznie coś w tym jest. Ale myślę, że „ujarzmiony” to po pierwsze brzmi głupio, jak na ksywkę, i takiej bym nie chciał, po drugie, przestałem po tym kazaniu się pseudonimować (nie przedstawiam się nim, bo powróciłem do używania mojego imienia z chrztu). No ale nie przestałem dżiczyć tak do końca (co bardzo odpowiada mojej małej, he, he, he), a i ludziom łatwiej posługiwać się tym „Dzikim”. Ksywka jak tatuaz – też nienaturalna, ale zostaje do końca życia.

**Na wieść o twoim ślubie ojciec Augustyn rzucił: „No, to im się zacnie...”, a zapytany o to, czemu tak powiedział, dodał, że małżeństwo i rodzina jest najlepszą szkołą „umierania dla siebie”. Powiedziałem ci o tym, a ty się zaśmiałaś: „jeszcze ci się odechce tego umierania”. Masz powoli dość? Kto cię najbardziej ujarzmił, córeczki?**

Po pierwsze: to my się wtedy strasznie kłóciliśmy, a że ja jestem z natury pesymistą, nie mogę patrzeć bez zazdrości na cudze (twoje) szczęście. To ci tak złośliwie powiedziałem... Wiesz, co mnie najbardziej ujarzmiło? Wspólnota. Dzieci i żona to ci jeszcze przepuszczają, ale bracia w Chrystusie – nigdy! (he, he, he). Ale faktycznie, to rodzina jest moim „polem śmierci”. Zwłaszcza, że przed ślubem to jest, wiesz, słodycz, picie z dzióbków, przeżywasz każdą chwilę rozstania i tęsknisz. Potem okazuje się, że twoja lepsza połowa ma zupełnie inne zainteresowania niż ty, od preferencji seksualnych począwszy (mężczyźni), na kolorze płytek w łazience skończywszy. Najśmieszniejsze jest to, że ty też się okazujesz kimś innym, niż myślałaś, że jesteś. Przed ślubem, na przykład, nie zamykała mi się buzia, natomiast moja żona milczała jak niedostępna twierdza. Nie muszę ci chyba mówić, że po ślubie jest dokładnie na odwrót... No i, bracie, mówisz „żegnaj” swoim przyzwyczajeniom.

Dla dzieci też musisz umierać. Już nie mówię o tak trywialnych rzeczach jak zasnana pielucha o czwartej nad ranem. Marysia, od kiedy nauczyła się mówić, jak tylko otwierała oczy, to mówiła „a gu gu” i pokazywała palcem na kompakt, żeby jej puścić Arkę. I nie było zmiłuj się, stary, dzień w dzień i raz za razem. Oszałeć można. Dlatego możesz mieć dość tego umierania, bo po jaką cholere ci te 400 kompaktów, które gromadziłeś przez całe życie, jak ich nawet nie możesz posłuchać?

No, ale Zbychu (kaznodzieja na ślubie Dzikiego – przyp. red.) powiedział też, że małżeństwo jest jedynym przypadkiem „legalnego” trójkąta - ty, ona i On (czyli Jezus) i to właśnie On daje siłę do tego, żeby znosić wszystko - humory żony, ale i moje własne napady wściekłości.

**Arka Noego non-stop? Moje dziecko na szczęście jeszcze nie mówi.. Nie miałeś żalu do Litzy, że wykombinował tyle kawalków, które zawałdnęły twoją córką? Opowiedz coś o córkach. I żonie! Ludzie znają cię z książki jako jeszcze kawalera.**

No i dopiero w kontekście tego pytania mogę ci powiedzieć o umieraniu.

Bo to jest tak, że jak się ze sobą chodzi i kłamka nie zapadła, to jeszcze możesz planować albo marzyć. Potem już tylko dopasowujesz się do tego, co ci życie zgotowało. Jak powziąłem decyzję o ślubie, to zacząłem szukać pracy, musiałem odejść ze studiów, bo dopiero po pół roku udało się coś znaleźć. Na trzy dni przed ślubem, rozumiesz? Potem trzeba było się tej roboty trzymać, żeby było na czyszn itd. Teraz, jak są dzieci, to już nie ma „przebaczn”. Czy ci się podoba, czy nie, rano zrywka i „arbeit macht gelde”, a za „gelde” już nie płyty, ale papu.

Zarty się kończą, bo możesz trafić na szefa kretyna, który ma kompleksy, bo mu włosy wypadają, i wyżywa się na tobie. W innych okolicznościach to byś mu powiedział, żeby się odwalił i poszedł swoją drogą, ale zaczyna ci się świecić przed oczami lampka pt. *odpowiedzialność* i zaciskasz zęby, i modlisz się, żeby się rozchorował na tydzień, bo może ci przejdzie i nie przywalisz mu w obłędną mordę przy wszystkich. Potem wracasz do domu uśmiechnięty i bawisz się z dziećmi do wieczora, pomagasz żonie zmywać i wieszac pranie i wcale na nich nie krzyczysz ani ich nie bijesz, tylko z utęsknieniem patrzysz na książkę, którą zaczęłaś czytać już dwa miesiące temu i nie możesz wyjść poza pierwszy rozdział, bo ile w końcu można czytać w kiblu?... Tak wygląda umieranie.

Justynę poznałem na rekolekcjach Odnowy w Duchu Świętym („Kurs Pawła”) w 1995 roku. Pobraliśmy się w roku Ducha Świętego, w dzień Zesłania Ducha Świętego, w kościele pod wezwaniem Ducha Świętego. Zupelnie „przypadkowo”. Widocznie Ktoś tam „na gorze” zdecydował, że mamy tego Ducha za mało (he, he, he).

Marysia urodziła się w marcu '99, a Zosia w styczniu '01. Moja żona się nie maluje, jest magistrem prawa, siedzi w domu, gotuje, pierze, sprząta, chodzi na spacer z dziećmi, karmi je i oporządza oraz doi za mnie kasę na zakupy. Tak właśnie wygląda umieranie Justyny Waclaw, która zmarowała dobrze zapowiadającą się karierę prawniczą dla jakichś bajek o chrześcijaństwie i swojego godnego pożałowania męża, czyli mnie. Dzieciaki są oczywiście cudowne i mają na razie raj, bo nie muszą dla nikogo umierać.

## A temperowanie przez wspólnotę?

Temperowanie wspólnoty polega na tym, że w pierwszych wiekach chrześcijaństwa to Kościół (bracia) mówił, czy możesz przyjąć chrzest, czy jest w tobie wiara, jaką miał Chrystus. My już mamy ten chrzest, nie musimy się dla niego zmagać z grzechem, ze swoimi słabościami. No i we wspólnocie jest tak, że „gdzie dwóch albo trzech spotyka się w Imię Moje, tam i Ja jestem”. W takim towarzystwie nie ma miejsca na udawanie kogoś innego, niż się jest. Maski odpadają w tempie piorunującym i ludzie nie mają jakichkolwiek oporów, żeby drugiemu powiedzieć prawdę. Możesz mi wierzyć, jak tak od czasu do czasu ktoś powie coś o tobie, co starsz się ukryć nawet przed samym sobą, coś nieprzyjemnego, coś, co burzy twój wyidealizowany obraz siebie – dopiero wtedy możesz zobaczyć, jaki jesteś naprawdę i zaakceptować siebie. A jest to pierwszy krok do akceptowania innych. Bez tego jesteś głównym, a nie chrześcijaninem. No, a jak zaczynasz powoli odkrywać prawdę o sobie, to przestajesz się rzucać na prawo i lewo w poszukiwaniu nie wiadomo czego, robisz się spokojniejszy, nie potrzebujesz się podlizywać innym, żeby cię akceptowali. Wystarczy ci świadomość, że nawet jeżeli własna żona cię nie akceptuje, to jest Bóg. JEST BÓG, rozumiesz? On akceptuje ciebie zawsze i bezapelacyjnie, nie wtedy jak jesteś grzeszny i ulizany, ale zawsze, nawet jak siedzisz w główce po same uszy i zaczynasz już zasysać je nosem.

Poza tym wspólnota jest miejscem wzrastania. Miałem taki przypadek, że kogoś okradłem. Poszedłem do spowiedzi, ale wciąż mnie „trzymało”. Oddałem, ...trzymało mnie nadal. Dopiero jak powiedziałem o tym na „echu słowa” w swojej wspólnocie (k..., jakie to było poniżające!!!), to poczułem spokój w sercu.

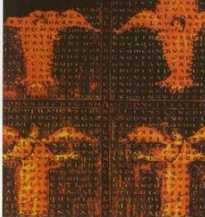
**Bóg nieustannie dba o ciebie. Czasami prowadził cię i walczył tak, że historie twojego życia przypominają scenariusz programów „Nie do wiary” czy „Archiwum X”. Jedna dziennikarka jadąc pociągiem i czytając twoje świadectwo zaabsorbowana zapomniiała wysiąść na swojej stacji i musiała drałowac kawał do domu... Po opisanych przeżyciach uspokoiło się, czy miałeś jakieś zawirowania?**

radikalni

o budym, dzikin, maleo i stopa

redakcja

redaktor: JAKUBOWICZ





Marysia



Zosia

No tak, miałem pewną przygodę na początku... Dostałem kiedyś od Grzeška Górnego medalik św. Benedykta, jak kręciliśmy pierwszy odcinek Frondy („Dziwi”). Zostawiłem go pod prysznicem, gdy pojechaliśmy na plener, i nie mogłem pozbyć się natrętnego uczucia, że czegoś mi brakuje. Jak się skapowałem, o co chodzi, to wpadłem w panikę i kazałem wieźć się z powrotem do tego hotelu. Znalazłem go i już spokojny mogłem wracać. Wtedy zupełnie tego nie rozumiałem.

Było też inne wydarzenie. Zachorowałem i nocowałem u znajomych na Targówku. Kładąc się spać, zjąłem ten medalik i położyłem na stoliku obok łóżka. Kiedy już spałem, coś mnie sparaliżowało, nie mogłem się poruszyć ani nawet otworzyć oczu. Tylko doznanie takiej wszechogarniającej pustki, ciemności i zimna. Chciałem krzyczeć o pomoc, przecież za ścianą spali znajomi, ale nawet najbliższy szmer się nie wydobył z mojego gardła. Jakby zaciśnięta się na mnie jakaś wielka łapa i ścisnęła z całej siły. Dotarło do mnie tylko, że ciągle mogę myśleć, pomyślałem więc - „Jezu ratuj!”, czy coś w tym stylu i... nagle puściło. Byłem taki spiętrany, że nie wiedziałem, co ze sobą zrobić, złapałem więc różaniec, owinąłem sobie dookoła ręki i modliłem się na nim, aż zasnąłem. Podobnych „ciężkich” doznań póki co mi oszczędzono, ale było kilka zdarzeń, w których brałem udział i na własne oczy mogłem się przekonać, jaką siłą dysponuje nasz przeciwnik. Ale Bóg zawsze pokazywał, że jest silniejszy.

Kolejne takie niesamowite zdarzenie miałem w zeszłym roku. Obudziłem się wcześniej rano w sobotę (a jestem leniuchem i lubię sobie odespać zaległości z tygodnia), doczołgałem się do kuchni, usiadłem przy biurku, oparłem głowę na ręce i myślę sobie: „co za cholera, po co się zwlokłem?” i słyszę taki wyraźny głos zaraz przy uchu: „Zapamiętaj tę noc, bo w niej poczęło się twoje drugie dziecko”.

Stary, od razu wytrzęsiałem i polecałem do żony powiedzieć jej o tym, ale ona się tylko śmiała... No i faktycznie, za jakiś czas okazało się, że jest w stanie błogosławionym. Zapamiętałem tę noc. To była druga noc po Passze 2000.

O takich przygodach musiałbyś napisać „Radykalni II – powrót z za grobu” (he, he, he), tyle tego jest. Np. szaleńcza podróż 140 km/godz. zimą do Częstochowy, na ostatnie 15 minut audycji w radio, gdzie ja i moja żona powiedzieliśmy po jednym zdaniu. Usłyszała to „przypadkiem” jedna osoba przerzucająca stacje w poszukiwaniu jakiejś ciekawej muzycznej. Zadzwoniła do radia Jasna Góra (to była audycja o modlitwie adopcji dziecka poczętego) i dziś jest we wspólności...

No i jeszcze Niedzica... Nasz znajomy zorganizował na zamku w Niedzicy koncert ewangelizacyjny. Zaprosił Malejonka z gitarą, żeby zagrał w akustycznej wersji przeboje Houka, Izraela i Maleo Reggae Rockers. Ja towarzyszyłem mu na kongach. W czasie koncertu w pubie, wobec niespodziewającej się niczego młodzieży, każdy z nas złożył świadectwo swojego nawrócenia. Nie byłoby w tym niczego ciekawego, gdyby nie fakt, że przed koncertem jak zwykle żeśmy się „obmadlali”. No i jedynym wolnym miejscem był kibel. Stary, dostaliśmy tam Słowo z Pieśni nad Pieśniami (2, 8-9): „Cicho! Ukochany mój! Oto on! Oto nadchodzi! Biegnie przez góry, skacze po pagórkach. Umiłowany mój, podobny do gazeli, do młodego jelenia. Oto stoi za naszym murem, patrzy przez okno, zagląda przez kraty”. Przeżyłem szok, jak przez kraty w grubym zamkowym murze wołali nas koleśki, żeby ich wpuścić. Do tej pory noszę w tym miejscu w Biblii papier toaletowy z tamtego kibla – żeby nigdy nie zapomnieć.

**A potrafisz odkrywać Boga w stanie „wiecznego poniedziałku”, jak nie chce ci się wstać do roboty? I wszystko dokoła jest byle jakie, małe i głupie?**

Stary, to są jedyne momenty, kiedy wcale nie musisz Go odkrywać, tylko jesteś Mu wdzięczny, że istnieje i że masz się do kogo modlić. Kiedy muszę wstać do pracy, pierwsze, co robię, to Mu dziękuję, że w ogóle otworzył mi oczy. Potem wybudzam się już w drodze do roboty modlitwą (różaniec). Później tylko dzięki tej modlitwie porannej mogę normalnie funkcjonować i rzeczywistość mnie nie zabija...

Poza tym wiem, że wszystko, co dzieje się w moim życiu, jest od Boga. Dzieci, żona, praca, mieszkanie, na które nas stać, ale też rzeczy po ludzku

nieprzyjemne: straty, konflikty albo ból. Staram się za wszystko dziękować, bo jak przychodzą prześladowania i przeklinam zamiast błogosławić, to widzę, że daleko mi jeszcze do nawrócenia, pogodzenia się z losem. Ja jeszcze często chcę dostać to, co mi się wydaje potrzebne, najczęściej jakieś materialne rzeczy, a dostaję coś zupełnie innego, co w dłuższej perspektywie staje się rzeczą zbawienną dla mojej duszy. Św. Franciszek mówił: „Panie, co chcesz, żebym uczynił?” - z takim nastawieniem nic cię nie dotknie, nie zabolę. A ja ciągle się wściekam, że coś mi nie wyszło, albo nie idzie po MOJEJ myśli.

**Cztery lata temu opowiadałeś pewnemu księdzu: „Nienawidzę siebie, nienawidzę swojego życia - zmarnowałem dziesięć lat, narobiłem tyle świnstw!” A on mówi: „Słuchaj, takie traktowanie tego okresu jest poważnym niebezpieczeństwem. Twoje życie może się okazać twoim błogosławieństwem”. Nauczyłeś się błogosławić tamten czas? Widzisz owoce?**

Owszem, uważam, że tamten okres w moim życiu był błogosławiony, bo mimo iż zasłużyłem sobie na śmierć (taka jest kara za grzech), nie umarłem. Widzę, że Bóg jest miłosierny, nieskory do gniewu i bardzo łaskawy. Przez cały ten, było nie było, niebezpieczny okres, nic mi się nie stało. Mam doświadczenie tego, że nawet kiedy jesteś daleko od Boga, On ciebie kocha mimo zła, które czynisz. Dostałem szansę, dostałem ją nie po raz pierwszy (a więc On jest także cierpliwy!), skorzystałem z niej, bo byłem już na takim dniu, że niżej już nie można było upaść, a On mnie podniósł, obmył z brudu i uczynił swoim synem i jeszcze nic nie chciał w zamian. Czegoś takiego się nie da opisać w żadnym ludzkim języku! Błogosławię tamten czas za to, że teraz widzę, jak wyglądało moje życie bez Boga. Musiałbym się mocno natrudzić, żeby ponownie żyć w taki sposób...

**Nigdy nie wiadomo, w co człowiek jeszcze wejdzie. Ja, kiedy zapewniam, że czegoś nie zrobię już nigdy w życiu, wpadam w to szybciej niż mi się wydaje. I wtedy widzę, że trzyma mnie tylko łaska.**

Dokładnie tak to działa. Jak próbowałem przestać kraść sam z siebie, to nigdy mi się nie udawało. Wiesz, do tej pory próbuję przestać kłąć. I mi się, k..., nie udaje. Bo to jest tak. Jeżeli sam chcesz coś zmienić, bo ci się wydaje, że to jest źle widziane przez innych albo że jesteś lepszy od innych, bo ty pewnych rzeczy uznawanych za nagminne nie robisz, to po prostu oszukujesz sam siebie (a przy okazji popełniasz grzech osądu, który jak wiemy rodzi się z pychy). A tak, jak ci Pan Bóg dopuści zrobienie czegoś brzydkiego, to ci dopiero spada samoocena - podkulasz ogonek i do konfesjonalu... Bracie, ja się właśnie po to modlę codziennie, żeby ten strumień łaski nie leciał gdzieś obok, tylko dokładnie na moją głowę. Przecież nikt mi nie skąpi ani Ducha, ani łaski! Tylko ode mnie zależy czy ja otwieram swoje serce na jej działanie, czy nie. Jak jesteś małutki i słabutki, to łatwiej prosić, żeby cię chronił i wspierał. Dzięki temu, że mam świadomość bycia grzesznikiem (skąd bym ją miał, gdybym nie grzeszył i gdyby Bóg mi tego nie pokazywał?), mogę TROCHĘ MNIEJ oceniać innych ludzi.

**Spotykasz się z ludźmi, z którymi żyłeś? Pogodzili się z twoim odejściem czy nadal uważają, że „Dziki ześwirował”?**

W zasadzie tak, ale są to spotkania przypadkowe. Nie zauważyłem, żeby ktoś próbował podtrzymywać te stare znajomości. Jeżeli już się na kogoś natknę, to rozmowa jest zdawkowa - brak możliwości nawiązania głębszego kontaktu. To są ludzie, którzy orbitują wokół zupełnie innych planet. Ja mówię: „Co u ciebie?”. „No, buntuję się ciągle, a ty?”. „No, ja to się nie buntuję, wiesz, mam rodzinę, dzieci”. „Wiem, słyszałem”. Ot i cała rozmowa... Największym szokiem było dla mnie, jak zaprosiłem na ślub całe grono starych znajomych (ze dwieście osób by się uzbierało), a przyszła tylko jedna. Rozumiesz? Jedna! To był Pepus, który płakał, jak się dowiedział, że zostałem chrześcijaninem. W pale mu się nie mieściło, że można tak nisko upaść, i za każdym razem, jak się spotykaliśmy, to wypytywał, czy już mi przeszło. Ten fakt odrzucenia przez ludzi (wszystko, co wtedy miałem), był bardzo bolesny, ale pomógł mi zerwać z przeszłością. Zobacz, jaka nauka od razu – wszyscy twoi fałszywi przyjaciele odpadają, oczyszcza się twoje otoczenie i zostajesz sam na sam z Bogiem, który pomimo twojej grzeszności cię nie odrzuca. Zobaczyłem wtedy iluzję tego świata, nauczyłem się szukać nie u ludzi, ale w górze, ponad nimi...



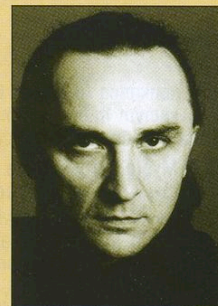
Darek Ciszewski

# LOS DUETOS

kolejny duet w moim życiu, czyli...

## MUZYCZNE DARY

- lista ruah.pl



Yanina Iwański

rozmowa Janusza Yaniny Iwańskiego, Darka Ciszewskiego i ks. Grzegorza Ułamek

**ks. Grzegorz Ułamek:** Porozmawiamy o radiowym wydaniu listy „ruah.pl”, która od niedawna istnieje na stronie www naszego kwartalnika...

**Yanina Iwański:** Tu najwięcej może powiedzieć Darek, który radiową listę wymyślił. Zaraził mnie swoimi pomysłami i dobrze by było, żeby sam o tym mówił. Ja temu tylko uległem. Oddaję mu głos.

**Darek Ciszewski:** A ponieważ pomysły w trakcie realizacji działają w ten sposób, że ta realizacja jest sumą sprzężeń zwrotnych, to będziemy mówić razem...

**Yanina:** Od kilku lat Darek namawiał mnie do założenia kolejnego duetu w moim życiu (ha ha ha). Taki jest los duetowca.

**Darek:** To Los Duetos (ha ha ha).

**Yanina:** Próbowaliśmy kilka lat temu stworzyć coś artystycznego i medialnego zarazem. Chcieliśmy się jakoś wykrystalizować. Kolejne podejście Darka spowodowało, że w tamtym roku zaczęliśmy prowadzić audycje w radiu Fiat, które do dziś nazywają się „Przy mikrofonie i telefonie”. Po czym Darek zaproponował, żeby z rokiem 2001 wprowadzić listę przebojów z muzyką chrześcijańską, której nie ma w oficjalnych czy komercyjnych mediach. Jeszcze więcej zacięcia mieliśmy po spotkaniu z Marcinem Pospieszalskim, który wspominał, że media komercyjne nie chcą prezentować muzyki z nurtu chrześcijańskiego i żeby coś z tym zrobić...

**Darek:** Lista przebojów to jest przede wszystkim pomysł na promocję dobra. Dobra, które jest zawarte w muzyce, w twórczości artystów chrześcijan.

**GU:** Stąd nazwa...

**Darek:** Stąd też nazwa naszego Los Duetos - „Muzyczne Dary”

**Yanina:** Życie jest darem. Wszystko jest darem. Muzyka także.

**Darek:** Główną inspiracją audycji był fakt, że ta muzyka w wielu mediach nie jest mile widziana. My chcemy promować dobro, a do tego trzeba stworzyć forum, antenę, arenę, fale...

**GU:** Po to, aby to zjawisko mogło zaistnieć w świadomości ludzi i pełnić rolę ewangelizacyjną...

**Darek:** Wielu muzyków zdaje sobie sprawę, że ich twórczość to silny instrument ewangelizacyjny. Żeby zjawisko muzyki chrześcijańskiej stało się fragmentem kultury, musi być wspierane. Musi być jeden konkretny adres, gdzie muzycy znajdą możliwość prezentacji swojej twórczości. W dobie opanowywania kultury przez media nie możemy pozostawać bierni. Trzeba mieć odpowiednik, alternatywę wobec tego, co prezentują duże stacje radiowe i telewizyjne. Stąd pomysł, żeby stworzyć jedną dużą listę jednoczącą działania katolickich stacji radiowych.

**GU:** Dlaczego każda radiostacja nie może robić swojej własnej listy?

**Darek:** Można robić czterdzieści list, ale w dobie panowania mediów elektronicznych trzeba stworzyć rodzaj odpowiednika wobec muzyki komercyjnej. W pojedynkę jesteśmy słabi. A poza tym - jak rozgłośnia lokalna może wypromować zespół? Na to potrzeba pewnej „instytucji” i środków. Dobrze, żeby taką „instytucją” stała się nasza lista. I w sensie medialnym, i w sensie artystycznym, i może też w sensie jakiegoś przedsięwzięcia. Chodzi nam o to, żeby w jednym czasie - za pomocą internetu - w kilkudziesięciu miejscach w Polsce zagrała ta sama lista. Mamy dużą „scenę”, która w jednym momencie może zafunkcjonować w całej Polsce. Także twórcy, producenci, managerowie znaleźliby miejsce gdzie mogą nawiązać kontakt z innymi, gdzie zawsze mogą liczyć na to, że zostaną potraktowani dobrze, czyli poważnie.

**GU:** Swoją listę „produkujecie” w Częstochowie, w Katolickim Radio Fiat...

**Darek:** Jest to najstarsza rozgłośnia katolicka w Polsce. Powstała z częstotliwości, które Kościół otrzymał na VI Światowy Dzień Młodzieży. Niedawno obchodziliśmy dziesiątą rocznicę jej istnienia. Pragniemy tę rangę utrzymać, i z duchowej stolicy Polski promować pozytywne zachowania. Chcemy walczyć o to, żeby ta Stołeczność Duchowa miała wymiar faktyczny, a nie tylko tytułarny.

**Yanina:** Trzeba przypomnieć, że muzyka chrześcijańska to nie tylko ta, w której śpiewamy wprost o Jezusie, ale też taka, która płynie z serca, która śpiewem unosi człowieka do Boga. Wielu muzyków nie zdaje sobie sprawy, że mieści się w nurcie chrześcijańskim... Sam tytuł i słowa nie muszą konieczne określać czy dana muzyka jest chrześcijańska, czy nie. Bo powiedzcie mi: jak zweryfikować, która muzyka instrumentalna jest chrześcijańska? W chlebie, który rozpoznajemy jako dobro, można podać truciznę.

**GU:** Odpowiadając na Twoje pytanie postuję się wypowiedzią Wojciecha Kilara, który mówi, że każdy utwór, który zmierza ku dobru, czyli ma na celu dać człowiekowi szlachetne przeżycie, głosi chwałę Pana i robi to w takim samym stopniu jak pasja, msza, czy requiem. Zresztą teologia odpowiada nam, że także to, co jest poza liturgią, naturalnie dąży do Boga.

**Darek:** W tej muzyce słychać Ewangelię. Zwróćcie uwagę, jak wielka liczba stacji gra muzykę kilku bitów - pop, dance, techno...

**Yanina:** Taka muzyka powinna być grana w budach tanecznych, a nie w mediach, gdzie się kształtuje świadomość społeczeństwa.

**GU:** Muzyka z tzw. bitem jest grana dlatego, że jest dobrym nośnikiem reklamy.

**Darek:** Jest to też muzyka, która niczego nie wymaga od słuchacza...

**Yanina:** Nie tylko nie wymaga, ale jeszcze stępią jego wrażliwość.

**Darek:** I prowadzi w stronę epoki kamienia łupanego. Od tamtej pory w kulturze ludzkiej stało się wiele, lecz w mediach elektronicznych trudno jest umieścić muzykę, która jest wyrazem prawdziwej kultury. Potrzebna jest jedność działania, o której rozmawialiśmy ostatnio w Warszawie.

**GU:** No właśnie, kilka tygodni temu uczestniczyliśmy wraz z Darkiem i z kilkoma osobami z różnych mediów, zajmującymi się promocją muzyki chrześcijańskiej, w spotkaniu zorganizowanym przez Redakcję Programów Katolickich. Spotkanie to było dyskusją o różnych sposobach promocji muzyki chrześcijan w mediach, ale miało też wspólną inicjatywę o nazwie „Lista nad Listami”...

**Darek:** Trzeba wesprzeć ten pomysł, ale jesteśmy nauczeni, że media publiczne, szczególnie po wyborach, rządzą się swoimi prawami...

**GU:** Często zmieniają kierunki. I dlatego nie chcemy się uzależniać. To ma być raczej zestawienie niż lista.

**Darek:** No właśnie. Lista rządzi się innymi prawami, tu się po prostu glosuje. „Lista nad Listami” będzie telewizyjną promocją muzyki chrześcijan, a notowania będą opierać się na głosach m.in. listy „ruah.pl.”

**GU:** Jak to się stało, że w robieniu listy wskoczyliście na jedną falę z RUaH?

**Darek:** Był pomysł na zorganizowanie listy przebojów, a jakoś mniej więcej w tym samym czasie RUaH inicjował swoją listę. Pojechaliśmy do Janusza Kotarby, wydawcy RUaH, odbyliśmy z

nim konkretną rozmowę. Okazało się, że jesteśmy absolutnie w tym samym miejscu. Tak się zaczęła nasza przygoda z RUaH, która trwa do dziś. I jest coraz bardziej owocna.

**GU:** Myślę, że jesteście pewnym znakiem połączenia dwóch światów – program przecież prowadzi muzyk i dziennikarz.

**Yanina:** W chrześcijaństwie pojawiają się profesjonalni muzycy. Przyznam się, że ja zawsze kojarzyłem tę muzykę nie z amatorskością, ale z amatorszczyzną. Ta ostatnia zawsze źle brzmiała i była nie do przyjęcia. To, co się wydarzyło po nawróceniu Tomka Budzyńskiego, Maleo i wielu, wielu innych, zmieniło bardzo muzykę chrześcijańską. Wielu muzyków dostało to za darmo od Boga. Zostali dotknięci. Nic nie musieli robić. Pojawili się natomiast problem z pokazywaniem tych osób w mediach.

**GU:** Bo dla mediów tego typu zjawiska i zmiany były niebezpieczne. Jeżeli takie osoby się pokazują, promuje się jednocześnie pewien wzór zachowań. Media muszą się opowiedzieć czy są za, czy przeciw. Za tym idzie przecież linia programowa...

Widzimy, jaki wzór kulturowy, lepiej powiedzieć antykulturowy, jest proponowany przez oficjalne i komercyjne media.

**Yanina:** A przecież jesteśmy chrześcijanami...

**GU:** Czyli nie muzulmanami.

**Yanina:** Mając taką możliwość, jak promowanie tej muzyki, dajemy szansę, możliwość edukacji i doskonalenia amatorów, którzy nie mają żadnej innej możliwości podniesienia poprzeczki. Można tylko do pewnego momentu być amatorem. Później trzeba stać się zawodowcem albo amatorem artystą. To są te same poziomy komunikacji. Przestrzegam tych amatorów, którzy myślą, że jak wejdą na listę to staną się profesjonalistami. Szlachetny kamień wymaga szlifowania.

**Darek:** Wróćmy do listy. Jest to jeszcze związane ze zdrową konkurencją. Owa konkurencja to nie tylko rywalizacja, ale przede wszystkim podnoszenie poziomu.

**GU:** Konkurencja, którą trzeba odróżnić od morderczego i warczącego podstawiania nóg innym...

**Yanina:** Konkurencja, która ma na celu dobro. Może być konkurencja, która ma w sobie zło.

**GU:** Pojawiają się ludzie, stacje radiowe, zainteresowane waszą formą prezentacji muzyki na antenie...

**Darek:** Chęć współpracy wyraziły do tej pory takie stacje, jak Radio Podlasie z Siedlec, Radio Niepokalanów, Radio Ave z Radomia, Plus Warszawa-Praga, radio studenckie z Torunia, Radio Darlowo z Pólnocy...

**GU:** Czyli początek sieci już się rysuje...

**Darek:** Chcemy, żeby powstała sieć na użytek listy przebojów. W pojedynkę jesteśmy stabi.

**GU:** Czym różni się prowadzenie Listy od „puszczenia” piosenek? Czy trzeba mieć jakąś inną wrażliwość radiową?

**Darek:** To jest przede wszystkim kwestia prezentacji zespołów, promowania koncertów i płyt. Po wejściu w sieć z innymi stacjami chcemy m.in. wybierać piosenkę miesiąca. To ma być pomost między stacjami. Potrzebujemy dużego forum. Jeżeli np. manager zespołu ma adres naszej stacji – to do nas zatelefonuje, a jeśli będzie posiadał telefony trzydziestu rozgłośni, i do każdej ma się zgłosić, każdej wystać płytę, to nie wiem czy to zrobi...

**GU:** Myślę, że w ramach takiego programu trzeba także uruchomić czat, żeby przez Internet ludzie mogli ze sobą rozmawiać, słuchając jednocześnie w swoim mieście naszej wspólnej listy. Można oczywiście zaprosić na taki czat jakiegos muzyka, który podczas listy będzie dostępny dla internautów.

**Darek:** To bardzo dobry pomysł. Zrobimy to.

**GU:** Gdzie was można usłyszeć?

**Darek:** W trzech rozgłośniach: Fiat-94,7FM, Niepokalanów-102,7 FM, Podlasie-101,7 FM w poniedziałki w godz. 22.00-23.00. Można nas też słuchać przez Internet pod adresem: [www.radiofiat.com.pl](http://www.radiofiat.com.pl) – tam znajduje się nasz link - lista przebojów mp3. Zachęcamy do kontaktu telefonicznego – Radio Fiat: 0\*34-365 12 56, e-mail: [lista@radiofiat.com.pl](mailto:lista@radiofiat.com.pl). Głosowanie odbywa się na stronie: [www.ruah.pl](http://www.ruah.pl) lub na kuponach drukowanych w RUaH, Niedzieli Młodych i Liście. Można głosować także u nas za pomocą telefonu lub przez Internet.



## To denna książka

Po przeboju, jakim była pierwsza książka Marcina Jakimowicza – „Radykalni - rozmowy z Budzym, Dzikim, Maleo i Stopą” (36 000 sprzedanych egzemplarzy!), po „Dzienniku pisany mocą” – mamy kolejną pozycję autora znanego z łamów RUaH. „Dno - Dziennik pisany niemocą” to książka dwuczęściowa. Pierwsza część jest kontynuacją „Dziennika pisanego mocą”. Marcin konfrontuje obrazy Ewangelii z doświadczeniami współczesności! Z doświadczeniami dna, o którą ocierają się „kibole” GKS-u, pijacy, dresiarze, muzycy... Język, którego używa Jakimowicz w swym dzienniku, budzi wiele świeżych skojarzeń. Autor mocno stąpa po ziemi, dlatego nieźle czuje się w sprawach nieba (wcale go nie chce uśmiercić, w końcu ma jeszcze żonę i dziecko!). „Dziennik” jest zaopatrzony w wiele ciekawych informacji, które pozwolą nam sprawniej poruszać się po Ewangelii. Wspomnę o jednej. „Talmud wymienia tylko trzy kategorie obywateli Izraela, które jako najgorsze nie mogły nawet tożyc na świątynię Pańską!!! To celnicy, cudzołożnice i... pasterze. Powszechnie uważani za złodziei”. „Dziennik pisany niemocą” pełen jest zmyślnych neologizmów w stylu „koloradość” czy „spontana”. Łatwo w nim doszukać się mocnych akcentów i podkreśleń, przykład: „ktamsTvo”. Bez komentarza! Do czytania dziennika zachęcają już same tytuły poszczególnych części. Wspomnę o dwóch: „O tym jak miłość szalona zrzuciła raz Szawła z konia”, „Łatwiej zostać jest lotnikiem niż prawdziwym katolikiem”. Autor stawia dość zaskakujące pytania w stylu: „czy Józef z Arymatei nadaje się do Big Brothera?”. Zapiski Marcina obnażają błędy w postrzeganiu Boga i budowaniu z Nim osobistych relacji. Dziennik jest także szkołą modlitwy i naszych ograniczeń w rozmowie z Bogiem. Oto przykład złej modlitwy: „Baranku Boży, który gładzisz grzechy świata, poczekaj jeszcze chwilę, bo musimy się poprawić”. A przecież wiemy, że Chrystus przyszedł do grzeszników, właśnie do tych, którzy są na dnie. „Kościół nie jest schronieniem dla dobrych ludzi”. Dlatego to jest denna książka. Książka o tym, jak jest na dnie i jak stamtąd wyleźć. Myślenie w stylu: „Popraw się, a potem idź do Kościoła” nie ma racji bytu. To Chrystus obecny w Kościele czeka na tych, którzy chcą się odbić od dna! Nawet sam „Jezus – pisze Autor – sprzedał dobre mniemanie o sobie”. Tak po ludzku rzecz ujmując, to Jezus był na dnie. Na samym dnie. Zabili Go! Uznali za Tego, który bluźnił Bogu! Zginął najbardziej haniebną śmiercią! Krzyż był dla tych, którzy są na dnie! Zapiski Marcina pokazują, że z tego dna da się wyjść! I w końcu można uwierzyć, że „nie jesteśmy bubłami tylko arcydziełem”. Drugą część „Dna” to rozmowy z muzykami. Marcin zaprosił do refleksji nad ważnymi pytaniami Tomka Budzyńskiego, Grzegorza „Bociana” Bociańskiego i Grzegorza Waclawa „Dzikiego”. Rozmowy zanotowane przez autora to doskonałe poszerzenie dziennika i bardzo konkretne doświadczenia z dna. To także odpowiedzi o sposobach odbijania się od dna. O wychodzeniu po Jezusowej linii. O trudnościach, jakie można napotkać. O odrzuceniu ze strony starych znajomych, którzy bycie chrześcijaninem uważają za największy upadek (każdy ma inne pojęcie dna!). Ta denna książka warta jest przeczytania!

ks. Grzegorz Ułamek

GRANIE I ŚPIEWANIE

muz. i sł. Debora Broda  
wyk. DZIECI Z BRODĄ

1. U - szy, o - czy, rę - ce dwie, bu - zia nie za - my - ka się,  
2. Na gi - ta - rze i na fle - cie i na ro - gu je - śli chce - cie

Pan Bóg ci to wszy - stko dał ze - byś śpie - wał Mu i grał.  
Graj i śpie - waj z na - mi bra - cie w le - sie, w szko - le no i w cha - cie.

Bo gra - nie i śpie - wa - nie to two - je za - da - nie. Bo

gra - nie i śpie - wa - nie to two - je za - da - nie.

Two - je po - wo - la - nie to gra - nie, śpie - wa - nie.

1. Uszy, oczy, ręce dwie, buzia nie zamyka się,  
Pan Bóg ci to wszystko dał żebyś śpiewał Mu i grał.
2. Na gitarze i na flecie i na rogu jeśli chcecie,  
Graj i śpiewaj z nami bracie w lesie, w szkole no i w chacie.  
  
Bo granie i śpiewanie to twoje zadanie.
3. Jak nie idzie ci śpiewanie tylko na grzebieniu granie,  
To na karpia śpiewaj hej, radość i zabawę miej.
4. Długie trąby, tamburyna, dudy, listek, okaryna,  
I nie musisz nutek znać żeby śpiewać Mu i grać.  
  
Twoje powołanie to granie, śpiewanie.

## OWIECZKI

muz., sł. Debora Broda  
wyk. DZIECI Z BRODA

Raz i dwa, raz i dwa to ja mała owieczka. Trzy i  
 cztery, trzy i cztery, uwielbiam górskie spacerki. Pięć i  
 sześć, pięć i sześć lubię świąteczną jeść.  
 Hej, hej fujarki grają, owieczki odpowiadają.  
 On zostawi owiec sto dla baranka jednego.  
 Wszystkie barany i owce często schodzą na manowce.  
 Dobry Pasterz o tym wie, ale bardzo kocha je.  
 ale bardzo kocha je.

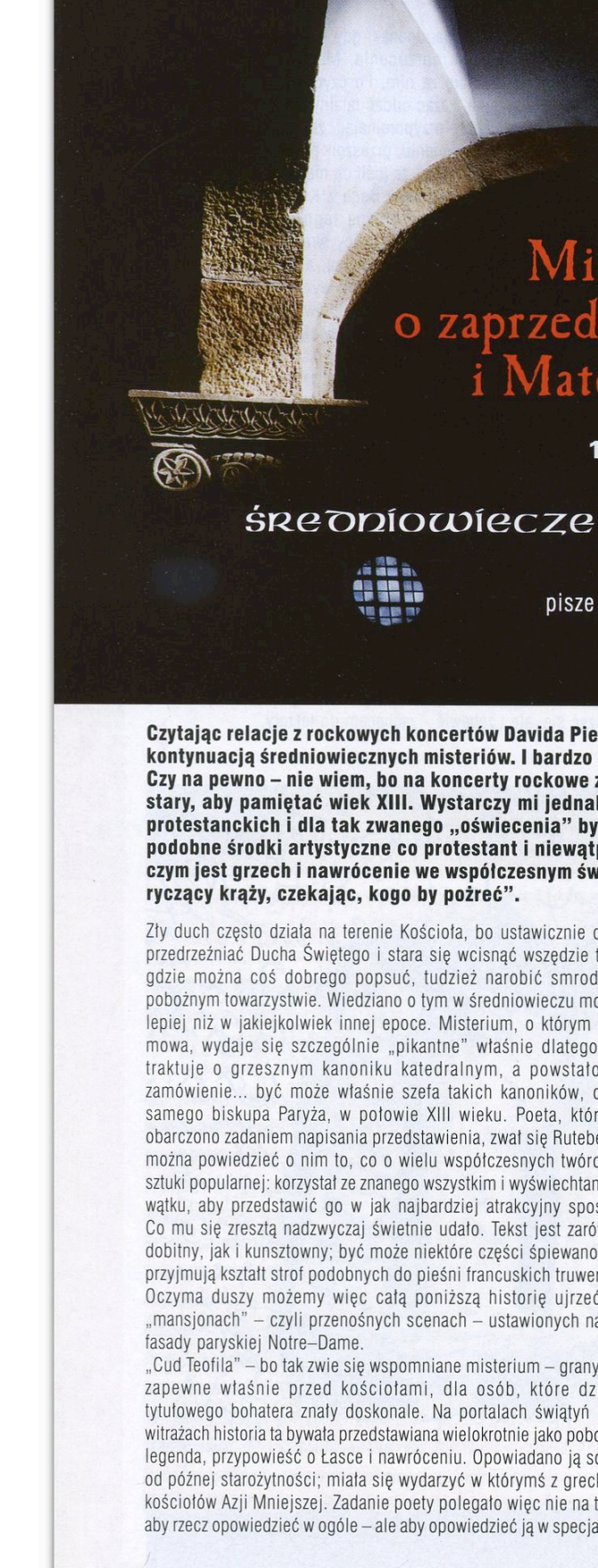
1. Raz i dwa, raz i dwa to ja mała owieczka  
Trzy i cztery, trzy i cztery uwielbiam górskie spacerki.

ref. Hej, hej, fujarki grają, owieczki odpowiadają. x2

2. Siedem osiem, siedem osiem, dzwoneczek na szyi noszę.  
Dziesięć dziesięć, dziesięć dziesięć, złego wilka nie boję się  
Jedenaście i dwanaście no bo czuwa Dobry Pasterz.

3. On zostawi owiec sto dla baranka jednego. x2

4. Wszystkie barany i owce często schodzą na manowce  
Dobry Pasterz o tym wie ale bardzo kocha je, ale bardzo kocha je, ale bardzo kocha je.



## Misterium o zaprzędanym księdzu i Matce Boskiej

16/20

ŚREDNIOWIECZE JAK ŚWIEŻE BUŁECZKI

pisze Jacek Kowalski

**Czytając relacje z rockowych koncertów Davida Pierce'a uprzytomniłem sobie, że są one właściwie w prostej linii kontynuacją średniowiecznych misterii. I bardzo możliwe, że oddziałują na widzów w całkiem podobny sposób. Czy na pewno – nie wiem, bo na koncerty rockowe z zasady nie chodzę, a z drugiej strony nie jestem znów aż tak stary, aby pamiętać wiek XIII. Wystarczy mi jednak krytycyzmu, aby orzec, że średniowiecze, które dla ruchów protestanckich i dla tak zwanego „oświecenia” było uosobieniem obskurantyzmu i zacofania, wykorzystywało podobne środki artystyczne co protestant i niewątpliwie Boży Człowiek - David Pierce – w ukazywaniu ludziom, czym jest grzech i nawrócenie we współczesnym świecie. W tym świecie, w którym, jak zawsze, zły duch „jak lew ryczący krąży, czekając, kogo by pożreć”.**

Zły duch często działał na terenie Kościoła, bo ustawicznie chce przedrzeć się Duchu Świętemu i stara się wcisnąć wszędzie tam, gdzie można coś dobrego popsuć, tudzież narobić smrodu w pobożnym towarzystwie. Wiedzano o tym w średniowieczu może i lepiej niż w jakiegokolwiek innej epoce. Misterium, o którym dziś mowa, wydaje się szczególnie „pikantne” właśnie dlatego, że traktuje o grzesznym kanoniku katedralnym, a powstało na zamówienie... być może właśnie szefa takich kanoników, czyli samego biskupa Paryża, w połowie XIII wieku. Poeta, którego obarczono zadaniem napisania przedstawienia, zwał się Rutebeuf i można powiedzieć o nim to, co o wielu współczesnych twórcach sztuki popularnej: korzystał ze znanego wszystkim i wyświechtanego wątku, aby przedstawić go w jak najbardziej atrakcyjny sposób. Co mu się zresztą nadzwyczaj świetnie udało. Tekst jest zarówno dobitny, jak i kunsztowny; być może niektóre części śpiewano, bo przyjmują kształt strof podobnych do pieśni francuskich truverów. Oczywiście duszy możemy więc całą poniższą historię urzeć na „mansjonach” – czyli przenośnych scenach – ustawionych na tle fasady paryskiej Notre-Dame.

„Cud Teofila” – bo tak zwie się wspomniane misterium – grany był zapewne właśnie przed kościołami, dla osób, które dzieje tytułowego bohatera znaly doskonale. Na portalach świątyń i na witrażach historia ta bywała przedstawiana wielokrotnie jako pobożna legenda, przypowieść o łasce i nawróceniu. Opowiadano ją sobie od późnej starożytności; miała się wydarzyć w którymś z greckich kościołów Azji Mniejszej. Zadanie poety polegało więc nie na tym, aby rzecz opowiedzieć w ogóle – ale aby opowiedzieć ją w specjalnie

ciekawy sposób. Otóż Rutebeuf nie wspomina o miejscu wydarzeń. I choć w jego tekście wszystko dzieje się tak, jakby miało miejsce w średniowiecznej Francji, nie tudźmy się: jest to teatralne „wszędzie” – opowieść o każdym z nas z osobna i o wszystkich jednocześnie, a podobieństwo do kraju i czasów autora ma tym bardziej uprzytomnić aktualność szatańskiego zagrożenia.

Oto ksiądz Teofil jest pobożnym kapłanem, zamożnym kanonikiem. Spełnia chętnie uczynki miłosierdzia, jest czcicielem Pana Boga i Matki Boskiej, opiekunem nędzarzy. Biskup mianował go zarządcą dóbr kościelnych; z obowiązków wywiązuje się nienagannie, ludzie go szanują, lubią i rzeczywiście mają za co go lubić. Czy jednak jest naprawdę święty? To pytanie widz zadaje sobie dopiero później, kiedy się okaże, że wiara i dobroć Teofila zależały po części od dobrobytu, jaki zapewniła mu kościelna kariera. Bo nagle biskup oddaje ducha Bogu; kapituła zastanawia się nad wyborem nowego pasterza i wszyscy wskazują na Teofila. Teofil jednak odmawia – ze skromności. Być może była to fałszywa skromność. Będzie jej jeszcze żałował – kolejny kandydat na biskupa, gdy już zostaje wybrany, zdejmując go ze stanowiska i pozbawia dochodów. Teofil szaleje. W wielkim, samotnym monologu urąga Wszechmogącemu, który za tak liczne dowody wiary i pobożności potraktował go jak Hioba. Bez dochodów będzie musiał rozpuścić swoich domowników, a nawet jemu samemu grozi głód! W tej sytuacji, po krótkiej wewnętrznej walce oświadcza: „jak Bóg mi pokazał język, to i ja mu pokażę”. A że z czegoś trzeba żyć... więc idzie do znanego sobie „Saracena” uprawiającego magię i prosi o kontakt z szatanem. Potrzebuje wszak nowego protektora, skoro dotychczasowy

- Pan Bóg - okazał się nieskuteczny. Rzecz się staje. Szatan przybywa na spotkanie. Jednak sam z siebie niczego od Teofila nie żąda. To bardzo ciekawe: kusiciel zdaje się nie kusić - on tylko czeka, aby człowiek sam wyraził swoje najgorsze chęci. W pięknej scenie Teofil, który pragnie władzy i bogactwa, osobiście formuluje i spisuje dokument, oddając szatanowi duszę. Dopiero kiedy to się już stało, pan ciemności wypowiada swoje szczegółowe oczekiwania. Teofil ma czynić zło, także przez zaniechanie dobra: a zatem nie dawać jałmużny, zadzierać nosa wobec kolegów kanoników, nie odwiedzać (broń Boże!) chorych w diecezjalnym szpitalu, nikomu nie szczędzić gniewu i cierpkich słów.

Umowa zostaje zawarta i od tej chwili Teofilowi zaczyna się powodzić. Nowy biskup poznaje się na jego cnotcie i przywraca go do łask; dom, służba i bogactwa są „uratowane”, reputacja uchroniona. Mimo to nic nie jest już tak jak dawniej. Teofil staje się cierpki i złośliwy, kłótlivy, gwałtowny, nieprzyjemny dla kolegów-kaptanów i dawnych przyjaciół. Tak żyje kilka lat, które na scenie zamieniają się w parę minut. I nagle ni stąd, ni zowąd następuje jedna gwałtowna scena: raptem grzesznik pada na kolana i błaga Boga o przebaczenie. Tak jakby ta cała historia z zaprzędaniem duszy diabłu była próbą wbrew sobie i ponad siły człowieka, który nie potrafi zagłuszyć głosu sumienia. Teofil raz jeszcze uprzytamnia sobie całą prawdę, którą przecież niby znał w momencie zawierania transakcji: widzi otchłań, w którą wpada, i spostrzega, że źle wybrał. A przecież wybierał zupełnie świadomie... To właśnie onieśmiela go w modlitwie - świadomie odrzucił Boga, więc teraz Bóg ma prawo i jego odrzucić. Błaga zatem Boga za pośrednictwem Jego Matki, mając tylko małą albo i żadną nadzieję na wybaczenie. Wszystko to ma miejsce w katedralnej kaplicy Najświętszej Marii Panny. I po jakimś czasie Maria Panna przychodzi, po to tylko, aby wskazać grzesznikowi drzwi. „Precz z mojej kaplicy!” Zupełnie tak, jak sławny ojciec Pio, gdy przychodził doń ktoś, kto długo i wytrwale

przeciwił się Łasce Boga. Jednak, gdy hardy Teofil przetrzymał gorzkie wyrzuty i smak odrzucenia, Matka Boska na koniec oświadcza, że wstawi się za nim. Po czym natychmiast podąża osobiście do... szatana, każąc oddać fatalny cyrograf. Szatan wije się w sprytnych unikach, przypominając, że według prawa, które wynika ze spisane go dokumentu, grzesznik przynależy jemu i tylko jemu. Na to Matka Boża mówi, że jeśli on nie odda cyrografu, to - i tu odnajdujemy parafrazę słów Boga z Księgi Rodzaju - Ona „zmiażdży mu kałdun”. Pod groźbą tego argumentu szatan ustępuje. Wybawicielka podąża do kaplicy, wręcza odzyskane pismo Teofilowi i każe mu pójść przed biskupa, aby wobec pasterza i całego zgromadzonego ludu grzesznik wyznał swój grzech. Ta ostatnia scena odbywa się tak, jakby najprawdziwszym świadkiem nawrócenia i uratowania Teofila była widownia. To do niej biskup-aktor zwraca się na końcu i, opowiedziawszy jeszcze raz całą historię, wzywa wszystkich do powstania i uroczystego zaśpiewania hymnu: „Ciebie Boże wychwalamy” - „Te Deum laudamus”.

Że problem Teofila jest jak najbardziej współczesny, nie potrzebuję chyba tłumaczyć. Że sztuka przemawia do współczesnej widowni - to też już wiemy, bo pionier odgrzebywania średniowiecznego teatru Gustave Cohen urządził niegdyś przedstawienie „Cudu Teofila” w Paryżu i, o dziwo, współczesna publiczność wyszła z niego skupiona i przejęta. Aczkolwiek w średniowiecznych misteriach i przedstawieniach nie brak swoistych momentów, a nieraz i nieco niewybrednego humoru, przemieszania wzniosłości ze śmiesznością. Bo jest tam „samo życie”, chciałoby się powiedzieć. O czym też świadczy tytuł pięknej książki pióra pani Anny Drzewickiej z Krakowa, poświęconej misteriom: „Skupienie i zabawa”, która ukazała się nie tak dawno w Wydawnictwie Uniwersytetu Jagiellońskiego. Jeśli ktoś pragnął bardziej jeszcze wzruszyć się, ale i zabawić - zachęcam do lektury.



# PRZYJEŹDŹAJCIE DO JAROSŁAWIA!

W sierpniu odbył się w pięknym mieście Jarosławiu nad Sanem dziewiąty już Festiwal Muzyki Dawnej zatytułowany „Pieśń naszych korzeni”. Bywały lata „tłustsze i chudsze”, ale (to trzeba przyznać) każdy festiwal był wydarzeniem wyjątkowym. Dlaczego? Bo wyjątkowa jest sama idea festiwalu, która choć nosi znamię eksperymentu i dlatego obarczona jest wysokim stopniem ryzyka popełnienia błędu, to przecież jest inspirująca. W umiejętny sposób bowiem łączy artystyczną wizję z konkretem. Wizja to wędrówka, poszukiwanie, stan twórczego niepokoju, a konkretnie to szeroko rozumiana służba Boża, którą chcemy ubogacać owocami naszych poszukiwań, aby lepiej ją spełniać, zarówno w domu, jak i w świątyni.

■ Już samo słowo „pieśń” w tytule festiwalu, na którym tak dużo jest przecież nie tylko śpiewu, ale i muzyki instrumentalnej, zdradza, o jaką to pieśń chodzi. Św. Augustyn pisze: „Śpiewamy pieśń nie tylko głosem i wargami. Jest również pieśń wewnętrzna, tak jak są wewnętrzne uszy. Głosem śpiewamy, aby się podnieść na duchu; sercem śpiewamy, aby się Bogu podobać”. Otóż jest całkiem sporo ludzi, w większości młodych, którzy chcą się Bogu swoją pieśnią przypodobać i w tym też celu pragną niestannie podnosić się na duchu (*qui cantat bis orat*), ale współczesne mody i style estetyczne nie pomagają im w tym, szukają więc form dawniejszych, pierwszych i znajdują je w tradycji (nie tradycjonalizmie!!!). Postęp w sztuce bywa często rzeczą złudną i nie dotyczy bezpośrednio jej istoty. Poza tym nie chodzi przecież o bezmyślne naśladownictwo dawnych wzorów, ponieważ okazuje się, że te dawne wzory żyją do dzisiaj, są aktualne, a posługują się nimi nasi dziadkowie i babcie. Czy potrzebujemy koniecznie do wyrażenia siebie, własnej ekspresji religijnej, okrutnie silnych bodźców, tysięcy watów? To chyba taki współczesny zabobon. Potrzebujemy na pewno poczucia tożsamości, indywidualnej i we wspólnocie, a do tego prowadzą różne drogi. Jedną z nich pokazuje jarosławski festiwal.

Jest to droga alternatywna dla współczesnej poetyki hałasu, ale dostarczająca równie silnych przeżyć, i jak się okazuje bardzo potrzebna. Dyrektor festiwalu Marcin Bornus-Szczyński określa ją nawet pół żartem, pół serio „gregoriańskim hard-rockiem”. Jakich wartości dostarcza festiwal, czego się można tam nauczyć, na jakie potrzeby współczesnego człowieka odpowiada? W skrócie można wymienić następujące:

■ potrzeba celebracji, rytuału, którego nie dostarczyli nam jakoś nasi rodzice czy środowisko (w tym roku w Jarosławiu można było nauczyć się łacińskich chorałowych niesporów – uczyła Kristin Hoefener, uczestniczyć w porządnie zaśpiewanej Mszy św. według XIII-wiecznego rytu dominikańskiego, spektaklach paraliturgicznych – „Ludus Danielis” Scholi Teatru Wiejskiego Węgajty, piątkowym nocnym czuwaniu ze śpiewaną Ewangelią i pieśniami, gdzie zaśpiewać może każdy, kto potrafi i ma potrzebę – w tym roku obok artystów i śpiewaków festiwalowych śpiewały panie z okolicznych wsi);

MIEDZYNARODOWY FESTIWAL  
International Festival



pieśń  
naszych  
korzeni  
song  
of our  
ROOTS

Early Music in Jarosław  
MUZYKA DAWNA W JAROSŁAWIU

■ potrzeba śpiewu pełną piersią i w ogóle życia pełną piersią w rytmie „do tańca i do rózańca” (w Jarosławiu można dać temu upust zwłaszcza w klubie festiwalowym, który w tym roku był wyjątkowo udany, bo i pogoda nie poskąpiła łaskawości, i oberki, polki Domu Tańca, kapeli Janusza Prusinowskiego, kapeli Witka i Ani Brodów, przeplatały się z tańcami rumuńskimi zespołu Grupul Iza i tańcami średniowiecznymi, granymi ognieście przez utalentowane dziewczyny z Zamościa, a miłosne pieśni kurpiowskie sąsiadowały z Allelujah! śpiewanymi wspólnie ze śpiewakami arabskimi, co w kontekście późniejszych wydarzeń napawa niejaką otuchą...);

■ potrzeba s t u c h a n i a, odwiedzania tej, jak pisał Rilke, „świątyni w uchu”, w której muzyka pop poczyna sobie często po łobuzersku (w tym roku mogły podnieść na duchu znakomite koncerty bractwa sufickiego [!] Al Assala z Maroka, żywot św. Edmunda w formie dramatu liturgicznego wykonany przez La Reverdie z Wenecji, koncert renesansowej muzyki araboandaluzyjskiej w skromnych i wirtuozerskim zarazem wykonaniu hiszpańskiego zespołu Mudjar oraz prawosławne Nieszpory zaśpiewane, na poziomie zapomnianym niestety w polskich klasztorach, przez chór mnichów z Bukaresztu).

Dawno, dawno temu, w wiekach XIV-XVI Jarosław słynął z jarmarków, na które zjeżdżali się kupcy z całej Europy, a nawet z Azji, oprócz towarów przywozili własną kulturę. Dzisiaj, na przełomie wieków XX i XXI zjeżdżają do tego samego miasta z dalekich krain ci, dla których muzyka, czy sztuka w ogóle, nie zna granic historycznych i geograficznych i jest dowodem obecności Boga w świecie. W czasie festiwalu przekonać się można jak dalece współczesny świat, mimo wszystkich ciemnych sprawek, jest otwarty, i że 500 czy 1000 lat wcześniej było podobnie. Taka otwartość ma sens pod warunkiem, że przebiega z obopólną korzyścią. Czy doceniamy należycie własną tradycję, czy dbamy o nią, czy uczymy się jej? Nie wystarczy tutaj wysiłki Domu Tańca, Scholi Teatru Wiejskiego Węgajty, ojców Wojciecha Gołaskiego i Grzegorza Przechodźkiego, Marcina Bornusa-Szczyńskiego i innych. Czasu mamy mało, bo na naszych oczach odchodzą ostatni wiejscy śpiewacy, depozytariusze dawnego repertuaru, stylu, technik śpiewu, czasem są to nasi krewni, sąsiedzi czy znajomi. Uczyli się od swoich rodziców i dziadków, ci od swoich i tak non-stop, czasem przez kilkadziesiąt pokoleń, kilkadziesiąt lat!!! Nagle ma się to urwać, bo ksiądz proboszcz „nie ma czasu na takie starocie”, organista „nie po to ćwiczył latami, żeby się teraz uczyć od zawodzących babć”, a wspólnota młodzieżowa poprzestaje np. na gospel? Notabene jeden ze śpiewaków z Maroka powiedział, że polskie pieśni ludowe są „typowo afrykańskie”...

Droży czytelnicy magazynu RUaH, przyjeżdżajcie na festiwal do Jarosławia, a potem wracajcie bogatsi do domu! Poza tym stuchajcie starszych! Zgrywam mądrą, a sam zrozumiałem, jakie to ważne, dopiero w wieku 28 lat (wtedy zostałem rodzicem)...

Remigiusz Mazur-Hanaj

# złamać samego siebie




foto: Janusz Sobolewski

z **Markiem Jackowskim**

gitarzystą grupy Maanam rozmawia Andrzej Bujnowski OP

**Andrzej Bujnowski:**

1,5 roku temu w wywiadzie dla pisma „Viva” powiedziałeś, że w ostatnim czasie „uregulowałeś swój stosunek do Pana Boga”. Bardzo mnie to zainteresowało...

**Marek Jackowski:**

Gdy człowiek jest skłócony z Panem Bogiem, to zawsze się mówi, że trzeba się z tym Panem Bogiem pogodzić. A kiedy się już pogodzi, to trzeba się godzić co chwilę, bo co chwilę wpadamy w jakieś dziwne sidła, tarapaty. To godzenie się z Panem Bogiem właściwie trwa do końca życia. Dzieci mają swój niezwykły świat, jeśli dorośli go nie zniszczą. W ich świecie jest również pewien rodzaj wiary, właśnie wiary dziecięcej, takiej najczystszej, nie ma tam jeszcze wielu śmieci świata, nie ma tego „zła dorosłych”. Natomiast kontakt z Bogiem, nawet poprzez samo wejście, poprzez samo bycie w kościele lub spotkanie z Matką Boską w kapliczce przydrożnej, czy Pierwsza Komunia Święta – to wszystko jest taki świat niezwykły. Dorośli potem potrafią zamknąć to wszystko w prezentach, bo dziecko na Komunię dostaje np. zegarek. Jak jest Komunia, musi być zegarek czy komputer. I zaczyna się paskudna sprawa.

**Chciałbym cię zapytać o atmosferę, w jakiej wyrastałeś. Pamiętasz swoją Pierwszą Komunię Świętą ?**

Pamiętam swoją Pierwszą Komunię, a szczególnie okres przed przystąpieniem. Mieszkaliśmy wtedy na Warmii, pod Olsztynem, i do kościoła trzeba było iść parę - kilometrów do miasteczka Barczewa. Pamiętam, że była to piękna pora, wiosna. Ta Komunia była trochę spóźniona w porównaniu z czasami dzisiejszymi, bo to był okres postalinowski i wczesnogomółkowski, więc poszedłem do Komunii chyba o dwa lata później. Z książkami właściwie nie mieliśmy za dużej styczności, gdzieś tam przechodzili, zaglądali, patrzyli. Dzieci mają taki sposób widzenia, takie „dobre widzenie” – widzą kim są dorośli, nawet księża. A tutaj, w kościele w Barczewie pojawiła się młoda dziewczyna – katechetka. Pamiętam: tak fantastyczna, tak lekka w rozmowach, w nauce. Nie było tam nic „świętobliwego”. Słoneczny czas i ta słoneczna dziewczyna, która nas uczyła tego, czego trzeba było się nauczyć. Potem była Komunia, oczywiście: sama uroczystość, rodzice wszystkich dzieci, ciasteczka, torty. Wyglądało to wszystko bardzo uroczysto. Wcześniej - pierwsza spowiedź. Pamiętam, jak wracaliśmy kilka kilometrów do domu pod górę, i rzeczywiście po tej pierwszej spowiedzi z dziecięcych grzeszków poczułem się taki lekki. Słońce świeciło, właśnie jechało jakieś auto, machnąłem ręką, kierowca zatrzymał się i zabrał wszystkie dzieci, które mieszkały w mojej okolicy. Mówię wtedy: „O, jak fantastycznie, ktoś nas podwiózł, nie musimy tak daleko iść”. To było takie niezwykle - rodzaj „nagrody”?

**Co działo się później, gdy zacząłeś naukę w większych miastach? Co zostało z tych religijnych przeżyć?**

Wydaje mi się, że postać Jezusa nigdy nie stała się jakaś nieprzyjemna czy nieprzyjazna. Była zawsze bliskość Jezusa, niezależnie od tego, czy jesteśmy blisko Boga, czy jest w nas silna wiara. W zasadzie Jezus jest ciągle obecny, tak jak jest obecna Matka Boska. Trudno powiedzieć, jak tak naprawdę ich pojmujemy, czy jak czujemy, bo dziecko odczuwa inaczej, dorastający chłopiec w szkole jeszcze inaczej. Często uciekamy, bo dzieciństwo, chłopcy, koledzy, to właściwie jest jedna ciągła zabawa.

**Dla nich ważniejszy jest świat?**

No tak, tak można powiedzieć. Wtedy była oczywiście indoktrynacja, była tzw. agentura, obowiązujący materialistyczny światopogląd. Do dzisiaj dziwi mnie na przykład, jak to możliwe, że dyrektor szkoły mógł mi świadomie wręczyć książkę Wandy Wasilewskiej „W pierwotnej puszczy”, żebym ja się z niej czegoś nauczył, żebym coś skorzystał. Przecież on prawdopodobnie wiedział, czym jest ta książka. Natomiast dla mnie, młodego chłopaka, był to jednak jakiś szok, bo uwierzyłem w to, co ta, że tak powiem, agenturalna towarzysząca napisała. Powiedziałem: „Panie Boże, ja w Ciebie nie wierzę!” – to jest niesamowite jak można młodemu dziecku, jeszcze nie uformowanemu, zawrócić w głowie po prostu bzdurą. To zostało na wiele lat.

**Twoi rodzice byli religijni. Nie zainteresowali się tą lekturą, tym, co czytasz? Nie rozmawiali z tobą o Bogu?**

Moja mama była osobą bardzo wierzącą. Ojciec na pewno też, chociaż oboje nie byli praktykujący. Może wynikało to stąd, że do kościoła było parę kilometrów i jak przychodziła niedziela, to rodzice starali się

dla mnie i dla siostry ugotować obiad, choć większość sąsiadów biegła te parę kilometrów do kościoła. U mojej mamy była przynajmniej obecna modlitwa. I może przez to nie było w domu takiego stereotypu: kościół, księża, sutanny. Była modląca się moja mama, była piękna przyroda, w której się wychowywałem. Może Duch też się tam unosił? Czuję, że tak było. Dzisiaj mogę powiedzieć, że mimo iż nie chodziłem do kościoła, to przynajmniej nie spowodowało to odrzucenia go, jak choćby w przypadku Kory, która była wychowywana przez zakonnice. Odbiło się to jako bardzo niekorzystnie na jej psychice. Ten brak reżimu był może w zgodzie z moją psychiką. Przestałem już wierzyć w znaki zodiaku, w horoskopy i inne takie historie, ale tak humorystycznie mówiąc, jako strzelcowi, jako „wolnemu strzelcowi”, może to mi odpowiadało w tamtym czasie.

**Jak wpłynęła na ciebie książka Wandy Wasilewskiej i jej argumenty za tym, że Boga nie ma?**

Trudno mi w tej chwili powiedzieć, jak to było naprawdę, bo minęło już parę lat... Wiem natomiast, że był to okres niewiary, czy też taki czas, że być może wierzyłem w Jezusa, być może była to postać mi bliska, ale nie spowodowała, że zacząłem chodzić do kościoła, przyjmować sakramenty, chodzić do komunii. Zdarzało się to sporadycznie i wynikało raczej z takiego swoistego poczucia solidarności z kolegami, albo poczucia „że tak trzeba”. Nie była to wiara, był to jakby taki rodzaj pustki, gdzie dopiero coś się miało zdarzyć, może takiego wyczekiwania. I właśnie dopiero studia i – o dziwo! – literatura, lektura Salinger i studiowanie dostępnej w języku angielskim, w Bibliotece Jagiellońskiej w Krakowie, literatury na temat buddyzmu – Zen, to doprowadziło mnie do takiego powolnego budzenia się z letargu, do szukania.

**Zaczął się czas szczerych duchowych poszukiwań?**

No, przede wszystkim musiałem napisać pracę magisterską o Salingerze, a była to rzecz trudna, bo Salinger dość trudno sklasyfikować. U niego jest wszystko – mistycyzm chrześcijański, buddyzm – Zen, Tao, Muslim, Epikur. Wszystko to gdzieś się miesza. Wydaje mi się, że Salinger stara się znaleźć jakąś wspólną nić we wszystkich epokach, we wszystkich regionach świata, szuka czegoś, co byłoby wspólne dla różnych kultur.

**Kto zaproponował ci pisanie o nim?**

Zrobił to praktykujący i wierzący katolik, profesor Ostrowski, czyli kierownik naszej katedry w Łodzi. Zaproponował mi temat: „Funkcja

Marek 1962



punktu widzenia w twórczości Salingera”.

**Może nie wszyscy czytelnicy naszego pisma wiedzą, o kogo chodzi. Czy mógłbyś przedstawić bliżej postać Salinger’a?**

Sądzę, że swego czasu był to bardzo modny pisarz. Jerome David Salinger – syn polskiego Żyda. Jego rodzice mieli sklep rzeźniczy w Bydgoszczy (Brombergu) w dawnych czasach. Później wyładowali w Ameryce. Książki Salinger’a są bardzo znane, najslawniejsza – „Buszujący w zbożu”, inne to: „Wyżej podnieście strop, cieśle”, „Głos pokolenia”, czy „9 opowiadań” – niezwykle. Między innymi opowiadanie „Teddy”, które do dzisiaj pamiętam.



**Przez niego wszedłeś w strefę duchowości, nazwijmy ją – uniwersalnej?**

Zgadza się. Przede wszystkim interesowała mnie literatura zen-buddyjska. Takie było myślenie w moim młodzieńczym wieku: mistrz – jestem mistrzem, zostać oświeconym – jestem oświecony. Właściwie wszyscy adepci dążą do oświecenia i tutaj zaczyna się dość ostra jazda i ostra zabawa, ponieważ pojawia się „walka ze słowami”. Jeżeli słowa nic nie znaczą, to czym jest to, o czym mówimy? Jeżeli słowa są puste, to czym jest to, co powiedziałem w tej chwili? Skoro szukam – to czego szukam – jeżeli to, co mówię, jest puste? Ciągła dwójnia przeciwieństw.

**Myślenie buddystyczne...**

Tak, pojawia się kwestia medytacji, wyjścia poza słowa: jak przeżyć rzeczywistość nie na płaszczyźnie słów, które są miatkie, nijakie, ciągle kłamią i ciągle splaszczają nasze przeżycia. Jak przeżyć życie w sposób pełny, poza słowami? Ale co to znaczy „pełny” poza słowami, skoro mówiąc o tym, używam właśnie słów? Potrzeba transcendencji, czyli wyjścia poza słowa. Wielu adeptów dąży do tego za wszelką cenę. Po wielu latach, gdy byliśmy w Australii na koncertach, odkryłem, że jest to kraj fantastyczny, ponieważ przez cały czas znajdujemy się tam w stanie transcendencji. Przychodzi ona bez wysiłku. Jestem na plaży, która ma 1000 metrów szerokości, tną nas jakieś insekty, jakieś bąki, polskie bąki w Australii. Pawelek, nasz perkusista, leży zakopany w piasku i oblewa się białym, które zostało po przypiytywie. A ja nie muszę myśleć, bo wszystko wpada we mnie bez słów... W Australii transcendencja jest na co dzień, bez wysiłku. W Ameryce trzeba czasami czekać 30 lat (śmiech). Zen-buddyści (biali zen-buddyści europejscy, amerykańscy) zaczęli się z czasem nawet powoływać na Jezusa, na Jego słowa, jak gdyby podpierając swoją teorię, że Jezus też szedł podobną drogą. Tu pojawia się w moim życiu Budda i Jezus. Zaczęłam studiować Ewangelię, którą dostałem od kolegi, chyba według św. Łukasza. Chciałem sprawdzić, czy Jezus rzeczywiście był zen-buddystą. Śmieszne!

**Doszedłeś do jakichś ciekawych wniosków?**

Do wniosków dla mnie zasadniczych. Doszedłem do tego, że właściwie tam, gdzie w moim odczuciu zen-buddyzm się kończy, tam zaczyna się Jezus. I tam, gdzie kończą się słowa martwe, tam zaczyna się Jezus, czyli *słowo żywe*.

**Które ma konkretne znaczenie...**

I teraz ci, którzy mają uszy ku słuchaniu, niech słuchają. Jak mogę wytłumaczyć czym jest *słowo żywe*? Jezus ma *słowo żywe*. Tak w buddyzmie, w filozofiach, jak w wielu innych poszukiwaniach medytacyjnych – słowa są puste. Słów należy się wyzbyc, żeby „wpadła w nas”, mówiąc anegdotycznie, rzeczywistość australijska. Nagle stwierdzam, że Jezus mówi zupełnie inaczej, że był to inny sposób mówienia. U Niego słowa były żywe. *Miłuj bliźniego jak siebie samego. Kazanie na Górze. Błogosławieństwa*. Gdzie tam jest dwójnia przeciwieństw? Nie ma żadnej. To są po prostu *słowa żywe*. Rzecz fantastyczna: zen-buddyzm i studiowanie na tyle, na ile mogłem to robić, i tak daleko, jak zaszedłem na tej drodze, doprowadziły mnie do fantastycznego oświecenia – że nie można wykluczyć *słowa żywego*. Jeżeli nawet wszystkie słowa są puste, to nie można wykluczyć *słowa żywego*...

**... które by się zdewaluowało. Ono jest wiecznie żywe i wciąż aktualne, pełne treści...**

No i tutaj zaczął się powolny, powolny powrót. I to raczej nie na takiej zasadzie, że studiuję, że czytam literaturę. Nie ukrywam dzisiaj, że bardzo często rozmawiałem ze świadkami Jehowy, którzy odwiedzali nas w Warszawie. Nikt jakoś nie mógł ich specjalnie znieść. Ja natomiast przyjmowałem ich na zasadzie: „błogosławiony, kto przychodzi w imię Pańskie”. Traktowałem dyskusję z nimi jako dobrą okazję do zgłębienia, poznania lepiej Pisma Świętego. Tak to dzisiaj pamiętam i tak to wtedy traktowałem.

**Pamiętasz kiedy czytałeś na serio po raz pierwszy Ewangelię św. Łukasza?**

To był rok 69/70.

**Było to w czasie twoich studiów, czy już po?**

Byłem na studiach, ale studia mi wtedy jakoś nie szły, bo praca magisterska o Salingerze utknęła w martwym punkcie, tym bardziej, że miałem „nadzorcę” Amerykanina, który chyba bardziej lubił tzw. bale i życie towarzyskie. Nie mogłem się z nim dogadać, bo wszystko, co powiedziałem mu o Salingerze, od razu negował i mówił: „Słuchaj, to nie jest tak, jak ty mówisz, to wszystko jest Freud, tu wszystko trzeba freudowsko tłumaczyć”. Bardzo mnie to denerwowało i w końcu „wciągnął” mnie bardziej zespół Anawa. Ktoś dowiedział się, że jest w Krakowie gitarzysta zespołu Vox Gentis, czyli ja, i ściągnęli mnie do Anawy. Praca magisterska została odłożona, zostawiłem ją tam gdzie w katedrze na biurku. Powiedziałem sobie, że już więcej nie przyjdę. Uważałem, że u Mr. Donalda Doube’a nie będę mógł napisać tak, jak ja czuję Salinger’a. Uważałem, że Salinger jest kompletnie niezrozumiany. Wydaje mi się, że wokół niego zgromadzili się ludzie młodzi i starsi, dla których jest to raczej zabawowa sprawa – jesteśmy wokół mistrza Salinger’a, on tutaj pisze, my się bawimy! Amerykańskie dywagacje na temat Salinger’a – całą literaturę, którą czytałem, uważałem za kompletnie pomyloną, nie łapiącą tego, o czym pisał. To jeszcze bardziej skłócało mnie z moim promotorem, nie mogliśmy zupełnie znaleźć płaszczyzny porozumienia.

**I to był chyba czas, kiedy jednocześnie coraz bardziej wchłaniała cię muzyka. W Krakowie wiele się wtedy działo... Jak zaczęła się twoja przygoda ze sceną?**



„Kleks”  
pierwszy zespół Marka  
X klasa LO



fol. Adam Bujak

Anawa - 1970 rok  
(Marek - w kapeluszu)

To był już czas znajomości z Korą. Zanim urodził się nasz pierwszy syn, Mateusz, grałem w zespole Anawa. Wiadomo, że kiedy znajdujesz się w Krakowie, to jest to czas ciągłego balansowania pomiędzy światem swoim a światem sztuki. Przecież myśmy ciągle przebywali w Piwnicy pod Baranami, w Kolorowej, w Krzysztoforach. Tomek Hotuj, który był znajomym Kory i później moim, i który ze mną i z Jackiem Ostaszewskim wspólnie założył i grał w zespole Osjan, studiował na ASP, więc Akademia ciągle była obecna w naszych rozmowach. Kantor przechadzał się po Krzysztoforach, Jonasz Stern przechadzał się Plantami w stronę Krzysztoforów albo dalej... Ta atmosfera wciąż była obecna. Mężem mojej siostry był Antoni Dzieduszycki – krytyk, historyk sztuki. Ciągłe wernisaże. Ja byłem wtedy młody i nie do końca rozumiałem, o co tu chodzi. Tutaj Hasior, z którym miałem ciągle kontakty, cały świat krakowskiej bohemy, tu Piotr Skrzynecki, tu Piwnica pod Baranami, tu uczeń Mehoffera, czyli Dziczu Lewanowicz, który robił genialne dekoracje w Piwnicy pod Baranami, tu uczeń ucznia Mehoffera, czyli Jan Burnat, wspaniały grafik, tu Stanisław Wójtowicz – artysta światowej klasy, który wpadał o drugiej nad ranem do Piwnicy i rzucał mi się nagle, ni stąd ni zowąd, w ramiona w tłumie ludzi. Tu także muzyka, świat sztuki i może mniej sprawy wiary. Znowu zaczęło się to wszystko jakoś bardziej „kręcić”. Pojechaliśmy z Osjanem na Famę do Świnoujścia, idziemy sobie ulicą, bulwarem nadmorskim, patrzymy, a tu stoi taka piękna dziewczyna z jakimś chłopakiem. Osjan pewnie bardziej był zainteresowany tą dziewczyną, lecz ja zacząłem rozmowę z chłopakiem. Poczciwy, uśmiechnięty, sprzedawał wodę sodową z sokiem. Okazało się, że wynajął saturator i już któryś tydzień sprzedaje wodę sodową, ale jeszcze nie zarobił nawet na opłaceniu tego saturatora. Ale był bardzo pogodny, uważał, że prędzej czy później jakoś mu się to wszystko zwróci. Była to niezwykła znajomość, ponieważ okazało się, że jest to bardzo charyzmatyczny, niezwykły człowiek, jedyną prawdziwy mój przyjaciel, odległy, bo mieszka na drugim końcu Polski.

Marek w Osjanie (+ Kora)

On i jego żona byli wierzącymi, praktykującymi ludźmi. Ja od Kory dostałem taki ceramiczny medalik z Matką Boską, który gdzieś chyba dziadkowi „buchnęła” z domu, pod malunczkiem na emalii niemiecki napis: „Muttergottesberg”. Nosiłem go na sznureczku czy na rzemyczku, i ci znajomi od saturatora pytają nagle: „Co to jest?” Mówię, że to Matka Boska, a oni się dziwią: „Jak to Matka Boska? Myśleliśmy, że Buddę tu nosisz albo coś”. I nagle uświadomiłem sobie – rzeczywiście, mam medalik, noszę medalik. Zaczęły się rozmowy i tak powoli zaczął następować powrót na „obszar chrześcijański”.

#### Kora też uczestniczyła w tej przygodzie?

Myszę, że Kora miała totalną niechęć do wszelkich rozmów na religijne tematy. Takie rzeczy chyba jej nie interesowały. Kiedyś widziałem zdjęcia pokazujące gipsowe figurki Matki Bożej, które Kora zbiera i maluje farbami na różne sposoby. Czy według ciebie jest to zabawa artystyczna, czy może pewien rodzaj sentymentu do tej postaci, jakoś jej znanej i może nieobojętniej religijnie?

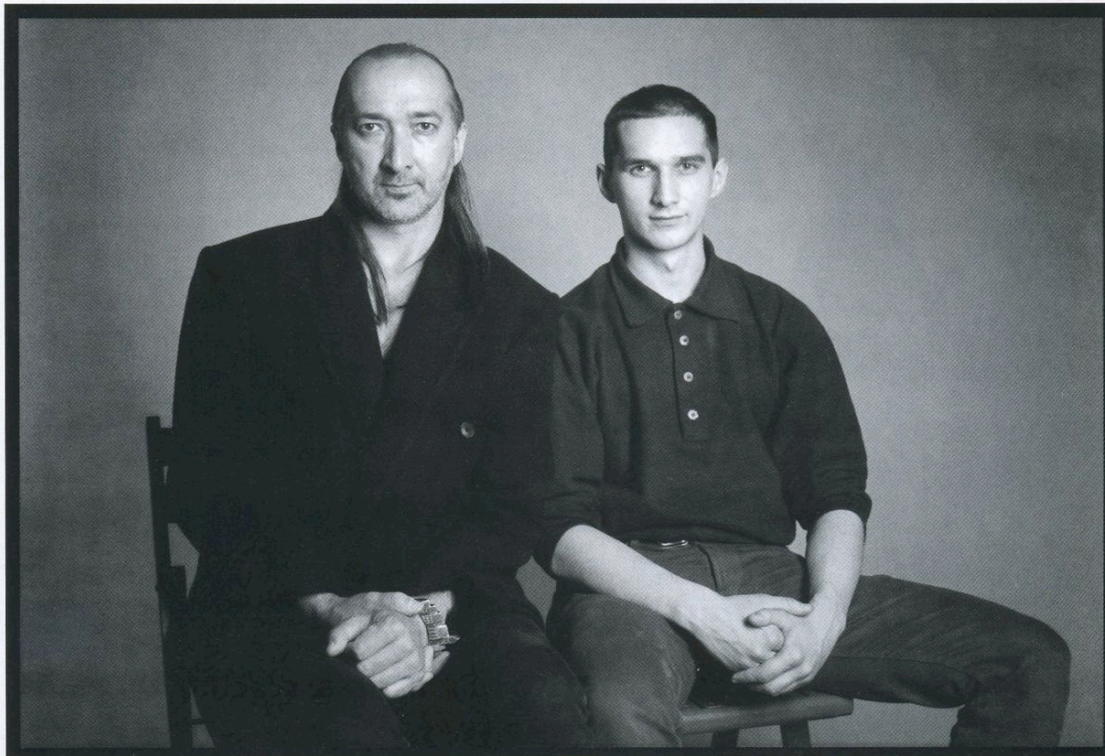
Kora wychowała się na ulicy Grottgera, tuż obok kościoła. Jej dzieciństwo, podejrzewam, było trudne, dlatego że była w Jordanowie u sióstr zakonnych, potem następne jej lata dziecięce to był Kraków, ten piękny Kraków. Myszę, że jeżeli czegoś nie lubi, to na pewno nie ma w niej czegoś takiego, żeby nie lubiła Pana Boga (mówię w czasie przeszłym, bo nie wiem jak jest teraz), Jezusa, czy Matki Boskiej. Wydaje mi się, że nie lubiła ludzi, którzy w jej oczach źle sprawowali postugę Bożą, a którzy mieli głosić Ewangelię. Że to była raczej niechęć do ludzi, u których to się niespecjalnie spełniało, przynajmniej w jej oczach. Czyli byłaby to raczej niechęć do konkretnych ludzi, a przez to siłą rozpędu do instytucji Kościoła. Tak ja to widzę. Bo nie wierzę, żeby Kora była niewierząca. Przez to, że jest z Kamilem, który jest po studiach filozoficznych (ATK), wydaje mi się, że stara się jeszcze z innych punktów zobaczyć różne rzeczy i że nie do końca sam rytuał kościelny jej wystarcza. Tutaj jest filozofia, pisarze, którzy wspaniale piszą. Pamiętam, że ciągle na koncerty woziła

poezję różnych wspaniałych poetów, czy książki wspaniałych pisarzy. Obracała się w świecie, nie chciała się zamknąć na ławeczce kościelnej.

#### Od kiedy byliście razem z Korą, raczej nie mieliście kontaktu z Kościołem?

Od kiedy zaczęły się dziać w moim życiu takie rzeczy, że nie mogłem już zaprzeczać, że białe jest białe, w tym momencie kiedy zaczęły się zjawiać ewidentne znaki, mieszkaliśmy w Warszawie. Wydaje mi się, że każdy, kto idzie drogą ku Bogu, ku Jezusowi, ma na tej drodze znaki, które tylko on widzi. Jest to już bezpośredni kontakt każdego człowieka z Bogiem. I są pewne ewidentne sytuacje, których nie można tłumaczyć na sposób ludzki, udawać, że tutaj nie ma interwencji Bożej, jeżeli ona jest. I uważam, że nie byłoby w porządku, gdybym udawał, że tego w moim życiu nie było. Tak więc chciałem wziąć ślub kościelny, chciałem wrzeszczeć po tylu latach iść do spowiedzi. Książd mnie wyrzucił sprzed konfesjonu, wrzeszczał za mną na ul. Chłodnej w Warszawie: „Ta młodość, co wy sobie myślicie?”. Z drugiej strony, Kora nie chciała





fol. Andrzej Świełlik

małżeństwa kościelnego, może słusznie, jeżeli czuła, że ten związek ze mną nie jest związkiem właściwym.

**Ale dzieci – Mateusza i Szymona – ochrzciście?**

Tak, Szymon i Mateusz byli ochrzczeni. Może nie tak bardzo wcześniej, bo Szymon miał sześć lat, a starszy syn Mateusz został ochrzczony w wieku dwóch lat. Dopilnowała tego moja mama.

**Wróćmy do byddyzmu... W międzyczasie odpytnął jakoś na bok?**

Wydaje mi się, że w tym regionie świata, gdzie żył Budda, został przygotowany grunt duchowy i filozoficzny, „dialektyczny”, na przyjęcie Jezusa. Dlatego nie dziwi się, że wielu buddystów przyjmuje Jezusa.

**Jako jednego z wielkich proroków w historii świata.**

Ale też wielu buddystów przechodzi na chrystianizm, bo uwierzyli, że Jezus jest Synem Bożym. Jest coś takiego, że ludzie różnych ras, czy różnych wiar przechodzą na chrześcijaństwo przez działalność misyjną... Nie wiem dokładnie jakie są drogi tych ludzi.

**Dzieje się tak pewnie dzięki Duchowi Świętemu...**

Św. Paweł mówi, że w gruncie rzeczy Duch Święty jest wszędzie.

**Oczywiście.**

Uważam, że często biały człowiek popełnia ogromny, niewybaczalny błąd twierdząc, czy też reagując w taki sposób, jakby chciał zaprzeczyć, że Duch Święty gdziekolwiek idzie, tam również operuje. Przecież mamy Indian amerykańskich i buddystów. Zresztą Salinger też starał się to pokazać, że gdzieś jest ta wspólna nić. Nie nazwał tego nigdy działalnością Ducha Świętego, czy Jego obecnością, ale szukając jakichś wspólnych mianowników w różnych regionach świata, w różnych wyznaniach, w różnych religiach, szukał w gruncie rzeczy powiewu Ducha Świętego.

Kościół twierdzi, że we wszystkich religiach istnieją ziarna Prawdy i wielu ludzi szuka autentycznie Boga czyniąc to w taki czy inny sposób. Różnie się Go też nazywa. Najczęściej chodzi o tego samego Boga, tyle że chrześcijanie nazywają Go – Bogiem, a inni... W buddyzmie tego Boga osobowego nie ma. Bogiem, jeśli tak można

powiedzieć, jest w nim świat, wszystko, co widzimy i czego dotykamy, każdy przedmiot, roślina, zwierzę itd. To panteistyczne podejście do rzeczywistości. W grupie Osjan spotkałeś się z praktykującymi buddystami, prawda?

Właściwie z prawdziwymi buddystami spotkałem się później. Byli to przyjeźdni, choć nie wiem czy mistrzowie, czy asystenci. Ja nie byłem tam specjalnie dopuszczany, bo nawet moi przyjaciele, którzy zapraszali tutaj ważne osobistości duchowe, stojące wysoko w hierarchii, jak tylko one się pojawiały prosili, żebyśmy się gdzieś usunęli, bo zaraz będzie posiedzenie. Uważali, że nie jesteśmy mile widziani. Było to dla mnie bardzo dziwne, bo dla mnie duch buddyjski, o którym czytałem w literaturze, był inny. Nie był to ten duch, który mnie wyprasza, bo właśnie przyjeżdża mistrz.

**To rzeczywiście dziwne. A jaka była duchowa atmosfera w grupie Maanam? Byliście tylko kolegami, którzy grają fajną muzykę, czy też ludźmi, którzy czasem rozmawiają o Bogu?**

Wydaje mi się, że to nie jest specjalnie atrakcyjny temat w zespole Maanam. Jeżeli ktoś ma coś swojego, trzyma to bardziej dla siebie. Być może wynika to z tego, że się trochę wstydzą, że ktoś będzie śmieszny? Może Kora wprowadziła taką aurę, że właściwie o Kościele czy o Bogu się nie rozmawia? Nie był to temat naszych rozmów. Czasami jakoś się to przewijało, bo przecież nie wszyscy mają, jak to się mówi, uporządkowane sprawy z Panem Bogiem. Nawet nie chcę mówić, kto ma, a kto nie ma. Czasami takie rozmowy były, być może przez świadomość tego, że jednak te sprawy są ważne. Rozmowy były, nie ze wszystkimi na pewno, ale raz na jakiś czas coś takiego bywało.

**Przynasz, że muzycy rockowi są ludźmi bardzo wrażliwymi duchowo... Muzyka jest rzeczywistością, za którą stoi zawsze jakiś duch. Każdy z was wkłada tego ducha w instrument, w wydobywanie dźwięków... I chyba każdy z muzyków musi zadawać sobie pytanie – „Co lub Kto za tym stoi?”**

Myślę, że w Maanamie jest jedna dobra rzecz, że każdy naprawdę stara się dać z siebie to, co ma najlepszego, chociaż są okresy lepsze lub gorsze.

**Jesteście bardzo solidnymi muzykami. To się czuje.**

Pamiętam, ile razy Rysiu powtarzał solówkę przy „Oddechu szczura”

czy „Karuzeli”, ile czasu trwało jej nagrywanie. Nieraz pół godziny, a nawet godzinę, aż zostało złapane to prawdziwe, stuprocentowe trafienie. Nikt się tego nie wypiera, wiemy o tym, że każdy chciał zagrać jak najlepiej, że „byle co” nie przechodziło. Kora w tekstach starała się nie mieć ani jednego tzw. „puszczonego wyrazu”. Czasami wyrazy się powtarzały, ale były to już moje dopasowywania ich do muzyki i jest to normalna, dopuszczalna rzecz.

**Przejdźmy do tego, co się działo się u ciebie w ostatnich latach. Na początku rozmowy wspominałem, że powróciłeś do Pana Boga. Był w twoim życiu taki moment, że jakoś bardziej świadomie w Niego uwierzyłeś? Jak to się dokonało, w jakim kontekście, dlaczego akurat wtedy, a nie kiedy indziej?**

To nie było tak, że w jakimś momencie uwierzyłem i już było wszystko dobrze. To była wiara bardzo krucha, chwiejna. Iluż świętych modliło się przez całe życie: „Przymnóż mi wiary, Panie Boże, przymnóż mi wiary”. W każdej chwili jesteśmy wystawiani na próbę przez swoją pychę, przez swoje chcenie pokazania siebie światu w lepszym świetle, jesteśmy narażeni na odejście. Każda taka chęć, że ja... powoduje jakby ześlizgiwanie się w dół. Więc to wszystko nie było takie proste.

**Zatem nie nastąpiło to w jednej chwili?**

Wydaje mi się, że w moim przypadku sprawdziło się to, co mówił Jezus. Tych, których Pan Bóg kocha, czasami tak wypróbowuje – muszą przejść przez ogień; tych, których kocha, musi poddawać próbie. I tutaj była ona próbą złamania samego siebie, czyli próbą złamania samego siebie w mojej przejażdżce czy też przygodzie z alkoholem. Wyrzeczenie

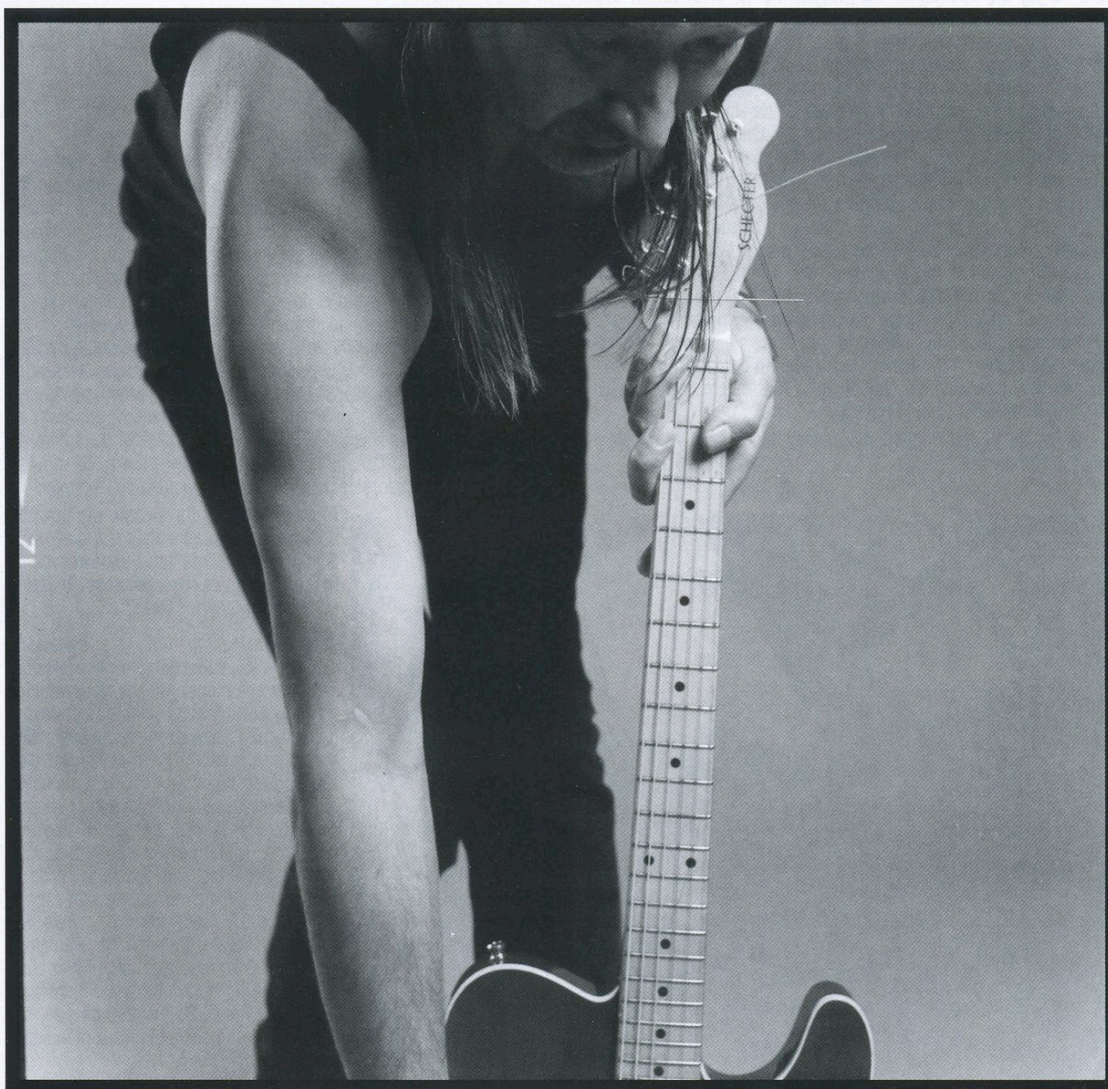
się alkoholu w tym momencie, w którym miałem się go wyrzec, było wyrzeczeniem się samego siebie. Czyli tego, co było napędem naszego życia przy tych olbrzymich zmęczeniach na koncertach, później w wolnych chwilach. Była to rezygnacja z czegoś, co powoduje, że się dobrze czujemy. Oczywiście, następnego dnia (po koncertach) czuliśmy się zawsze fatalnie, gdy się tupało wiatr w plecy. I jak się tego wyrzec? Takiej przyjemności? Było to złamanie samego siebie, i to już nie na zasadzie, że się czegoś tam wyrzekam, tylko musiałem się wyrzec nałogu. Bo to był nałóg. Czyli coś, czego właściwie nie można się pozbyć. Trzeba samego siebie złamać, żeby od tego odejść. Bardzo trudna rzecz, zwłaszcza z alkoholem. Z narkotykami jest jeszcze gorzej...

**Jak długo trwał ten nałóg?**

To trwało ładnych parę lat, właściwie kilkanaście, dziesięć – dwanaście lat. Oczywiście – alkohol wciąga jednych szybciej, drugich wolniej. My byliśmy dość odporni, bo tolerancja naszych organizmów na alkohol była dość duża. Można było dość dużo wypić, zwłaszcza przy takim trybie życia.

**Nieustające trasy, koncerty, często dzień po dniu, i nieustanne duchowe napięcie, no bo w końcu ludzie czekają, liczą na to, że dadcie z siebie wszystko. Każdy koncert was muzyków kosztuje dużo energii, którą człowiek musi w sobie wciążyć znajdować i nią emanować...**

Dobrze by było, żeby - gdy brakuje sił w czasie koncertu, bo jest to już drugi koncert w tym dniu, dziewiąty czy osiemnasty koncert w trasie - mały kieliszek koniaku lub whisky stojący na wzmacniaczu



fol. Andrzej Świątek

wystarczył, pomógł. Przez następne 20 – 30 minut czuje się taki lekki kop i znów wszystko w tym zmęczeniu toczy się dalej. Na tym się jednak oczywiście nie kończyło i w końcu człowiek staje się uzależniony, staje się w ten czy inny sposób narkomanem – czy narkotykowym, czy alkoholowym, czy jakimkolwiek innym, i... trzeba złamać samego siebie, żeby na nowo być człowiekiem.

**U ciebie właśnie coś takiego się dokonało – takie złamanie siebie... Kiedy to było?**

To musiało się dokonać. Dochodzisz do pewnej granicy i masz szczęście, jeśli udało ci się przejść tę granicę żywym. Wielu tego momentu nie przeżyło i wielu tego momentu nie przeżywa codziennie na całym świecie. Dochodzi się tam, gdzie jest nikła szansa na przeżycie. Ja to pamiętam i nie ukrywam tego – w momencie, kiedy wiedziałem, że umieram, modliłem się do Boga, wzywałem Jego imienia na pomoc. I jakimś cudem przeżyłem. Ale wiedziałem, że jest to koniec. Tak jak mówię, wielu ludzi tego nie przeżywa.

**Jak to jest naprawdę z muzykami rockowymi? Czy większość z nich musi mieć kontakt z alkoholem, narkotykami, by móc grać? Trzeba ich szukać, nie da się bez tego przeżyć?**

Maanamu narkotyki jakoś nigdy nie kręciły. Wydaje mi się, że to zmęczenie dawało się lepiej, pozornie oczywiście, niwelować właśnie alkoholem, piwem, szampanem.

**Wielu rockowców jednak to robi, wchodzi w te pułki...**

Niewątpliwie wielu to robi i wielu z nich znamy. Pamiętam Ryszarda Riedla. Nigdy się specjalnie nie przyjaźniliśmy, z zespołem Dżem mieliśmy raczej kontakt przez osoby trzecie. Ich fani przyjeżdżali również do nas i często rozmawialiśmy o zespole Ryszarda Riedla i o nim samym. Wiedziałem, że jest uzależniony. Kiedy już właściwie wyszedłem z nalogu, poznałem w Olsztynie młodego człowieka, który kiedyś produkował narkotyki i sam był narkomanem... zupełna tragedia! Wyszedł z tego jakimś cudem i prowadził terapię w Olsztynie, zajęcia odwykowe dla ludzi uzależnionych od narkotyków. Tacy jak on są najlepsi, bo wiedzą, o co chodzi. Znał Riedla i wiem, że Ryszard w pewnym momencie miał jechać do niego. Kiedy udało mi się wyjść z alkoholu – był to już drugi, trzeci rok trzeźwości, nagle zaczęło mi zależeć, może przez tę olsztyńską znajomość, żeby Ryskowi się udało. Wiedziałem, że ma jechać do Olsztyna i że jest to jakby wyjazd ostatniej szansy. Graliśmy razem koncert w Bielsku Białej, widziałem na próbie Ryszarda, eleganckiego, czysto ubranego, w kapeluszu. Wyglądał z odległości paru metrów dobrze. Pomyślałem sobie, że może się udało? Podchodzę do niego i pytam się: „No, jak?”. On rozumiał o co chodzi, wiedział, o co go pytam. Odpowiedział: „Niedobrze”. I wiedziałem, że to już chyba niestety będzie koniec, że nie dał rady.

Był w Olsztynie, wrócił stamtąd, ale niestety ten ostatni raz też się nie powiodło. Nie wyszło.

**Ty również byłeś w trudnej sytuacji, tyle że alkoholowej... Jak przeżyłeś ten moment śmierci, spotkania się z nią oko w oko, o którym mówites?**

To było po sylwestrze, taka klasyczna czternastodniówka. Wiem, że są ludzie, którzy twierdzą, że u nich to trwa np. pięć lat albo rok, albo pół roku. Takie picie codzienne u mnie, to były całe lata. Natomiast ciąg klasyczny, czyli sen – picie – sen – picie... trwał u mnie 14 dni. W moim przypadku było to wystarczające, żebym stanął oko w oko z... Są ludzie, u których to może trwać dłużej. Jak oni to wytrzymują? Nie wiem. Te kolejne 14 dni doprowadziło mnie do bliskiego spotkania ze śmiercią.

**Co się wtedy czuje? Czy zresztą da się to w ogóle opisać?**

Opisać to słowami jest bardzo trudno, natomiast z całą pewnością mogę powiedzieć, że alkoholik umiera tyle razy, ile razy ma kaca. Umiera tysiące razy, setki razy. Natomiast, gdy przychodzi ten moment, to wie się na pewno, że tym razem umiera się naprawdę. I wydaje mi się, choć jest to tragiczne, że dla wielu alkoholików dopiero ten moment powoduje opamiętanie się i przełamanie. Wiadomo, że następnego razu już się na pewno nie przeżyje.

**Gdzie przeżyłeś taką chwilę?**

To było w Warszawie, na Saskiej Kępie.

**Czy to prawda, że ktoś cię uratował?**

Uratowała mnie Małgosia Geysmerowa, współzałożycielka Monaru.

**W którym to było roku?**

To był 1989 rok. Przyjechała po mnie i zawiozła mnie na odtrucie. Na nią zawsze mogłem liczyć. O dziwo, ja żyję, a ona już nie żyje. Zmarła na serce.

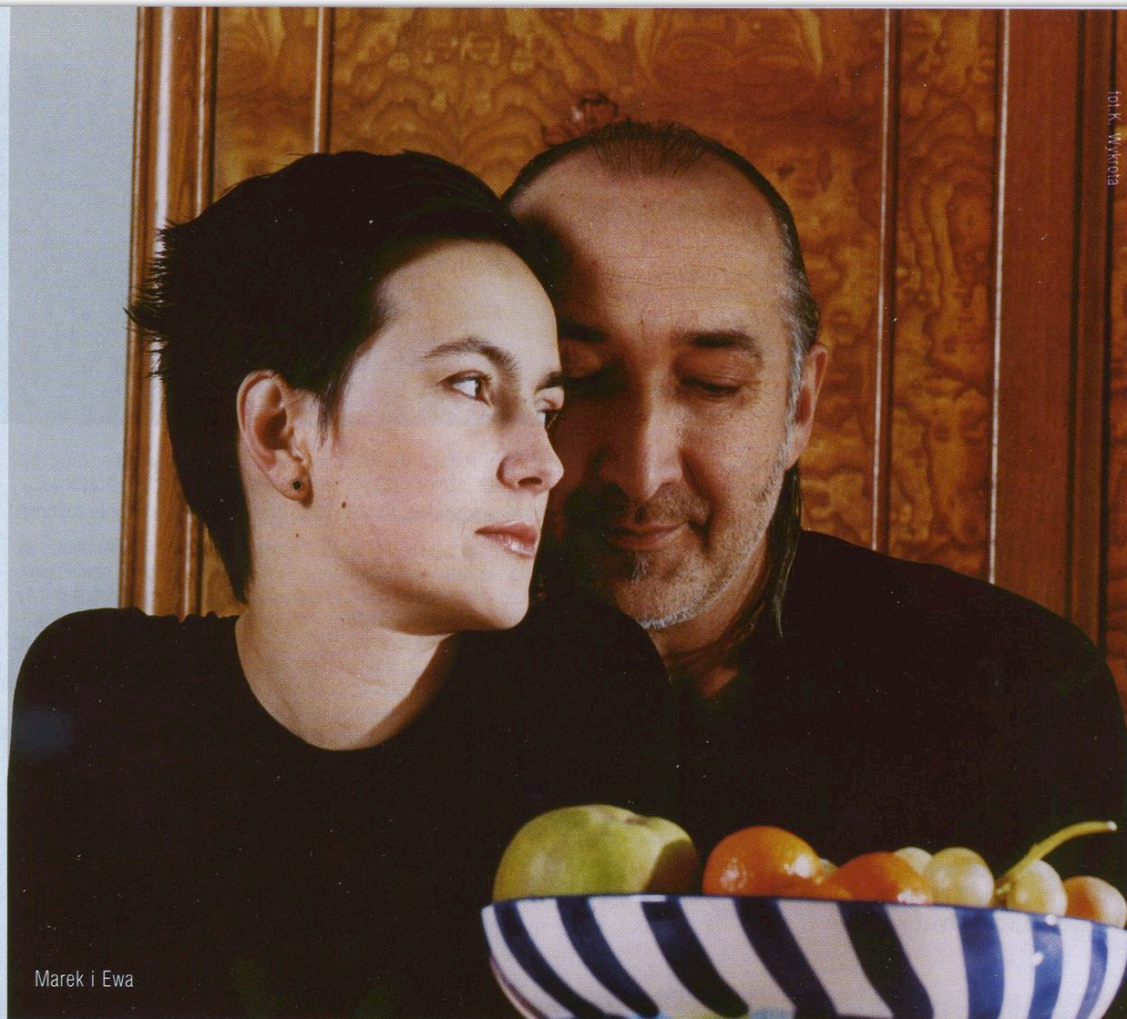
**Czy teraz, patrząc z perspektywy czasu, czujesz, że był w tym palec Boży?**

Coś takiego jest, że ta próba musi się dokonać w ogniu, żeby człowiek zdał sobie z tego sprawę, żeby stał się człowiekiem, żeby zaczął naprawdę żyć. Musi nastąpić takie przełamanie samego siebie i wtedy można powiedzieć, że dotknęło się tego najczulszego miejsca, dotknęło się **samego siebie**. Wydaje mi się, że życie do tego momentu może być miałkie, zawsze się udaje: tutaj cię poklepią po plecach, tutaj ci doleją, podsypią, tu napiszą ci dobrą recenzję. Gdybym nie przeszedł tego okresu i tego strasznego momentu, nigdy bym nie wiedział, co to znaczy być naprawdę człowiekiem, jaka jest głębia człowieka. A wydaje mi się, że w niektórych przypadkach ludzie doznają jeszcze większego odkrycia głębi nędzy ludzkiej. Krótko mówiąc, żarty się w tym momencie kończą. Może dlatego dobrze się czuję w Zakopanem, ponieważ z góralami jest konkretna rozmowa. Bo to są ludzie konkretni. Jak śpiewają to konkretnie, jak biją – to też konkretnie. Jak mówią, to mówią konkretnie. Jak procesują się o miedzę, to robią to przez 30 lat (Śmiech).

**Później twoje życie zaczęło się powoli układać w jakąś logiczną całość. Słyszałem, że znalazłeś dziewczynę i zaczęła się nowa rzeczywistość. To było po wspomnianym fakcie?**

Za każdym razem może się wydawać człowiekowi: jestem dobrym człowiekiem, samemu coś mogę. Ale czy rzeczywiście możemy uczynić sami swój włos czarnym lub białym? Wydawało mi się, że Bóg mnie kocha, jestem człowiekiem wierzącym, ale Pan Bóg jak gdyby mówił: „Sam nie dasz rady. Jeżeli będziesz chciał sam, to Ja ci pokażę, jak to jest samemu. Jesteś wierzący, a wchodzisz np. w układ z kobietą, gdzie jest ślub kościelny. Wiesz, że robisz źle, a nie możesz się sam z tego wyzwolić. Tu jest alkohol, również niedobry! Dawales mi przysięgi, złamales przysięgi. Sam nie dales rady. Masz być uczciwy – nie do końca jesteś uczciwy. Nie dajesz rady”. Bo jest coś takiego, że w pewnym momencie nie masz pieniędzy





Marek i Ewa

i musisz zrobić coś, co jest nie do końca uczciwe, aby te pieniądze zdobyć. Bo jesteś sam, bo chcesz sam. W pewnym momencie mówię: „Dobrze, to ja już nie chcę sam. Panie Boże, prowadź! Jeżeli chodzi o sprawy małżeństwa, czy jakiegoś ustabilizowania swojego życia, to tym razem mówię: Prowadź Ty!”. I myślę, że dobrze zrobiłem.

**Czy przez te lata, kiedy nie miałeś kontaktu z sakramentami, odczuwałeś jakoś ich brak? Było to dla ciebie zupełnie obojętne?**

Wydają mi się, że nie ma wyjścia. Jeżeli wierzysz w Jezusa Chrystusa, idź się wyspowiadaj! Musisz oczyścić siebie, bo to jest dobre dla ciebie, to jest dobre dla mojego kontaktu z Jezusem, z Panem Bogiem. Wydają mi się, że sumienie w człowieku, jeżeli jest, to prędzej czy później doprowadzi do tego, że człowiek musi pójść i wyznać przed Bogiem: „Panie Boże, zgrzeszyłem, chcę mieć przed Tobą czysty rachunek, bez żadnego kombinowania”. Nie możesz się wyspowiadać, jeżeli żyjesz w związku niekościelnym. Na szczęście moja trzecia wybranka okazała się tą prawdziwą! Mogliśmy wziąć ślub kościelny, mogłem pójść się wyspowiadać. Mało tego. Była bardzo przedziwna sprawa, bo nie mogłem dotrzeć do swojego świadectwa chrztu. Dzwoniłem po wszystkich możliwych kościołach w okolicy, w której mieszkalem i do dzisiaj nie wiem, gdzie się ono znajduje. Natomiast znalazłem zdjęcie z Komunii. Wiedziałem, że skoro zostałem dopuszczony do Komunii, to musiało być też gdzieś świadectwo chrztu. Niestety, nie znaleziono go i musiałem przyjąć chrzest po raz drugi, tzw. warunkowy, w Polkowicach.

**Dlaczego akurat tam?**

Tam mieszkała moja późniejsza żona z rodzicami. Urodziła się we Wrocławiu, a tam mieszkała. I tam poznałem moją żonę, na koncercie w Polkowicach. 3 maja – był tam jednocześnie odpust i koncert Maanam. Proboszcz ks. Marian Kopko, który udzielał mi później chrztu w Polkowicach, pamiętał ten koncert. Któregoś dnia mój teść zaproponował mi przejazdkę po okolicy i powiedział, że zobaczę coś,

czego jeszcze nie widziałem. Pojechaliśmy wszyscy. Z kopalni miedzi są wyplukiwane odpady i gromadzone w gigantycznym zbiorniku. Kto nie był i tego nie widział, nie będzie wiedział nawet, o co chodzi. Na olbrzymim obszarze – odpady z kopalni miedzi.

**To jakiś kosmiczny pejzaż?**

Tak, dokładnie! Jakaś magma na przestrzeni wielu kilometrów kwadratowych. Potem pojechaliśmy do miejscowości Wysoka Cerkiew albo Grodowiec – są dwie nazwy. Jest tam kościółek. Miejsce to ma tak niezwykłą aurę, że pojechałem tam następnego dnia i trafiłem na moment, kiedy budynek był otwarty. Jest to przepiękny, barokowy kościół, miejsce pielgrzymek od chyba XI wieku. Jego wystrój jest niezwykły. Musi tam „coś” być, skoro przychodziły do niego pielgrzymki. Jest tam np. figurka Matki Boskiej jako małej dziewczynki – słynąca łaskami i cudami. Powiedziałem sobie, że chciałbym mieć ślub w tym kościele i myślę, że Matka Boska Grodowiecka mnie tam zaprowadziła.

**To jest gdzieś na północny zachód od Wrocławia?**

Jest to między Lubinem a Głogowem.

**Ten pejzaż i nagle kościół, to jakby skrót, symbol twego obecnego życia...**

Często ludzie mi mówią, że nie lubią chodzić do kościoła, że nie rozumieją Mszy, że chodziliby, ale wolą być sami z Panem Bogiem. Zdają sobie sprawę, że nie rozumieją, jakie jest znaczenie Eucharystii. Do kościoła przychodzi się z powodu Eucharystii i tego wszystkiego, co ona sprawia.

**Dla szukania bliskości z Chrystusem, gdy się za Nim tęskni, wierzy w Niego...**

Właśnie to jest jej głównym sensem! Nie to, żeby posiedzieć, pośpiewać – to może być pięknie lub właśnie nudnie i dlatego ludzie nie chodzą do kościoła, tylko modlą się samemu, w ciszy. Ale Jezus mówi: „Jeżeli

nie będziesz spożywał mojego Ciała, pił mojej Krwi, nie wejdiesz do Królestwa Niebieskiego". Czyli bez Eucharystii jest to niemożliwe. Spotkanie z Jezusem nie jest możliwe bez Eucharystii. Chociaż na pewno wysłuchuje On każdej naszej modlitwy.

**A teraz, jak to jest? Gdzie bywasz w kościele? W Krakowie, Warszawie czy w Zakopanem?**

W Zakopanem jest kościółek braci bernardynów na Bystrem, więc to jest takie moje stałe miejsce, moja parafia zakopiańska. W piątek, sobotę, niedzielę z Maanamem zazwyczaj gramy i jestem poza Zakopanem. Ale jeżeli nie siedzimy cały dzień w samochodzie - bo czasami są takie długie przerzuty, po kilkaset kilometrów - to zawsze staram się pójść do kościoła. Nieraz jest to niemożliwe ze względu na jazdę, taki zawód, ale zawsze można pójść w poniedziałek lub wcześniej, przed wyjazdem.

**Albo wysłuchać chociaż Mszy świętej przez radio. Wasze córeczki, bo macie ich podobno trzy, zostały ochrzczone w Zakopanem?**

Ksiądz proboszcz Marian Kopko z Polkowic powiedział, tak trochę żartem, że pierwsze, które nam się urodzi, on chce ochrzcić. No więc z pierwszą córeczką, gdy miała niecały roczek, pojechaliśmy do Polkowic i tam została ochrzczone. Dwie następne zostały ochrzczone już w Zakopanem, właśnie na Bystrem.

**Wypada mi życzyć ci, abyś tę przyjaźń z Bogiem kontynuował i żeby była ona pięknym twoim życiem. Myślę, że małżeństwo też się inaczej przeżywa, jeżeli w sercu jest Bóg, niż kiedy Go nie ma, kiedy człowiek wstydzi się o Nim mówić. Czujesz pewnie tę różnicę między życiem obecnym a tym, które prowadziłeś kiedyś?**

Na pewno. Mam uczucie, że jest to ta druga połowa, która dopiero razem z pierwszą daje całość. I tak, jak wiele osób patrzyło bardzo sceptycznie na nasze małżeństwo, bo jest między nami duża różnica wieku, tak to małżeństwo okazało się najbardziej sensowne, prawdziwe. Moja żona jest wspaniała, naprawdę mi pomaga, podejmuje poważne decyzje; tam, gdzie ja nie mogę, tam ona potrafi.

**Twoi rodzice jeszcze żyją?**



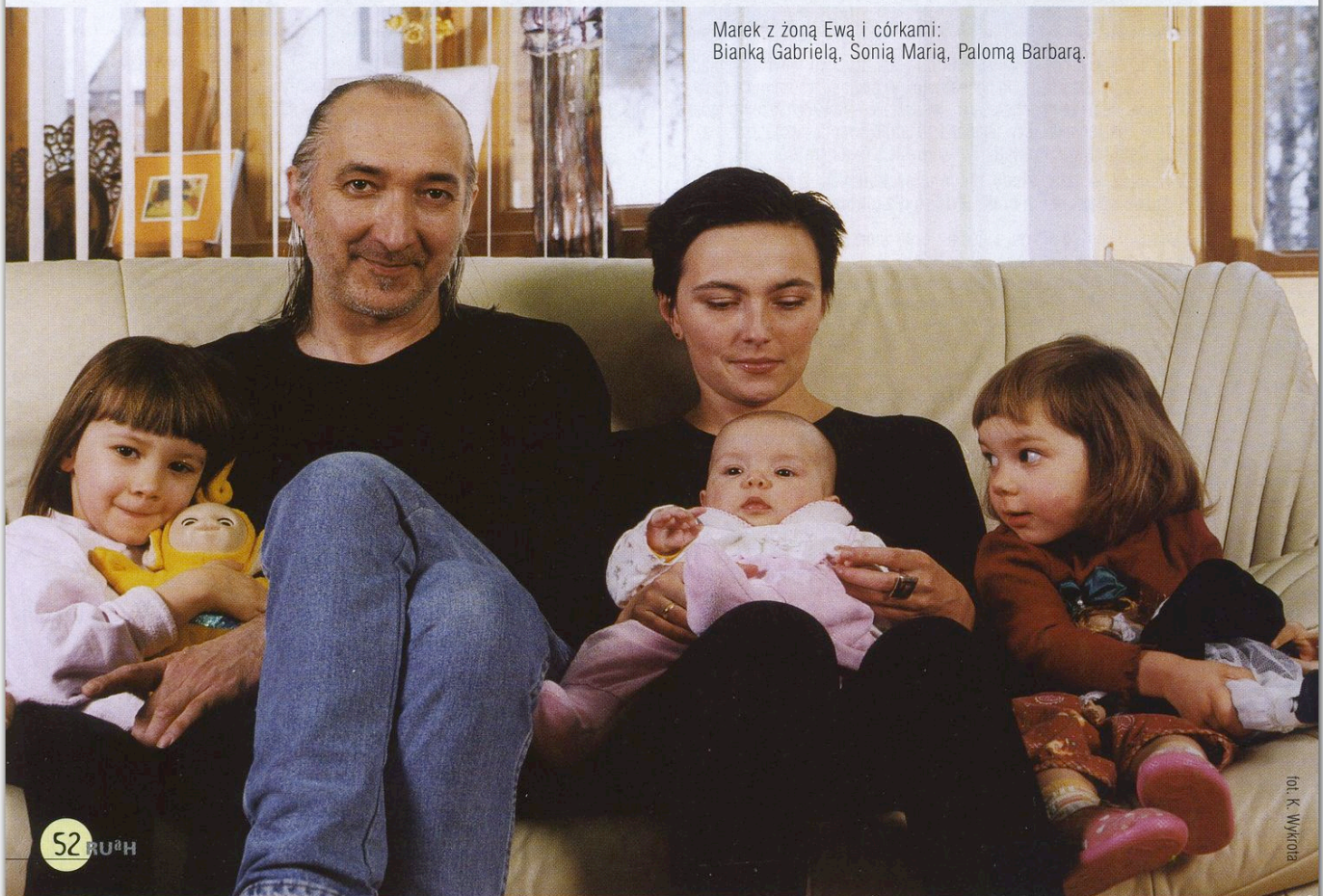
Widok z okna domu w Zakopanem

Nie, moi rodzice już nie żyją, nie znają mojej aktualnej żony, ale myślę, że jeżeli patrzą na nas, skądkolwiek patrzą, są szczęśliwi.

**Dzięki za rozmowę. Chwała Panu Bogu za to czego w tobie dokonał!**

To może na sam koniec: nie chciałbym sprawiać takiego wrażenia, jak to ludzie często określają - nawiedzonego. Ludzie mówią: nawiedzony, nawiedzona. Violetta Villas - nawiedzona, Kora - nawiedzona w inny sposób. Ja mówię konkretnie, jest to konkretna rozmowa i chciałbym, żeby to czytelnik wiedział. Ale też chciałbym powiedzieć, że tak naprawdę pięknie, cudownie, naprawdę wspaniale będzie dopiero wtedy, kiedy wiara będzie poparta ciągłym, mimo upadków, powracaniem do Jezusa, ciągłym powracaniem do Boga. Nawet jak się, nie daj Boże, zdarzy najgorszy upadek. A z drugiej strony najpiękniej i cudownie będzie wtedy, kiedy będziemy zawsze czuwać. Musi być cały czas czuwanie, mimo zmęczenia, mimo upadków i mimo różnych pokus, mimo różnych dziwnych sytuacji w życiu. Bo to nie wszystko się tak prostuje i następują ciągle próby i upadki. Trzeba zawsze jednak zachowywać stan czuwania, stan modlitwy, stan kontaktu. Inaczej zakopemy te talenty, które nam dano i nic z tego nie będzie. I to będzie dopiero klęska!

zdjęcia z archiwum rodzinnego M. Jackowskiego



Marek z żoną Ewą i córkami:  
Bianką Gabrielią, Sanią Marią, Palomą Barbarą.

# Gra komputerowa z muzyką Arki Noego

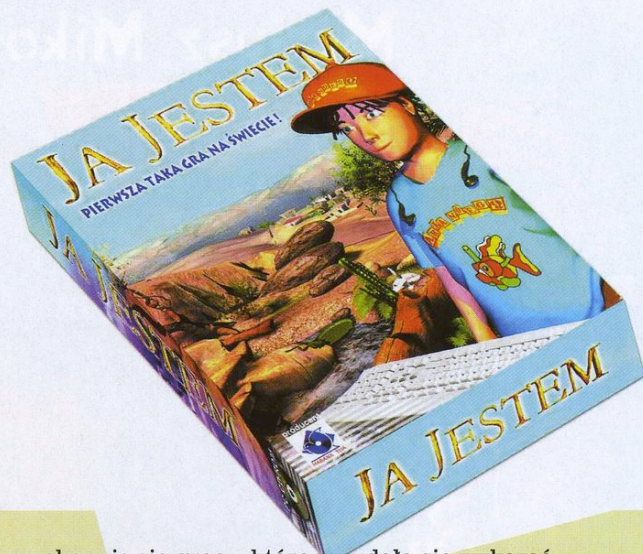
JA JESTEM to jedna z pierwszych w Polsce gier komputerowych, która niesie przesłanie ewangelizacyjne. Powstała w ciągu ostatniego roku w Gdańsku w wydawnictwie i wspólnocie modlitwnej Marana Tha. Jest to pierwszy, choć nie ostatni produkt wydawnictwa, które jako cel przyjęło dotarcie ze słowem Dobrej Nowiny do dzieci, przy użyciu najnowszych technologii multimedialnych.

## Jak powstała gra?

Pomysłodawcą gry, jak zgodnie twierdzą jej autorzy, jest Duch Święty. We wrześniu roku 2000, podczas jazdy samochodem, Jackowi Zdrojewskiemu przyszła do głowy myśl, by stworzyć grę komputerową o Jezusie. Ani on, ani żaden z jego gdańskich przyjaciół, których zachęcił do udziału w projekcie, wcześniej nie robili niczego podobnego. Jednakże wszyscy zgodnie uznali, że wizja jest warta uczynienia „kroku z wiary”. Jak się okazało, był to krok „siedmiomilowy”. Do projektu zaangażowano ok. 30 fachowców grafików i informatyków. Udało się pozyskać również „numer jeden” na polskim rynku chrześcijańskiej muzyki dziecięcej – zespół Arka Noego. „Wchodzę w to” – to słowa Roberta Friedricha, który nie tylko zdecydował się użyć grze materiału muzycznego z dwóch płyt Arki, ale również napisał dla potrzeb przedsięwzięcia dwa utwory. Ważną rolę w podjęciu przez niego tej decyzji odegrał podobno fakt, iż gra miała uzyskać pełną aprobatę Kościoła w postaci imprimatur. Tak też zresztą się stało. Dlaczego wszyscy uznali, że warto zaryzykować? Ireneusz Rogala – członek zespołu twórców – podkreśla, że u podstaw przedsięwzięcia leżała troska o dzieci. Zamiast zabrania dostępu do komputera można dzieciom dać coś, co nie tylko będzie im pochłaniać czas, ale również dostarczy godziwej rozrywki i co najważniejsze – pobudzi wrażliwość religijną i moralną.

## Scenariusz

Bohaterem gry jest kilkunastoletni Filip, który podczas rozmowy z tatą dowiadyuje się, że jego ojciec został cudownie uzdrowiony. Chłopiec chciałby poznać Jezusa, by podziękować mu za ocalenie taty. Udaje się do kościoła, gdzie podczas modlitwy w sposób „nadprzyrodzony” zostaje przeniesiony w czasy biblijne. Jest rok 30 naszej ery. Rozpoczyna się przygoda, w której Filip poszukuje Jezusa. Przechodzi liczne perypetie, spotyka ludzi, którzy udzielają mu informacji o Mistrzu z Nazaretu. Co rusz natyka się na ślady Jego obecności. W drodze towarzyszy mu Anioł Stróż, Biblia oraz... „walkman”, z którego płyną dźwięki jego ukochanego zespołu Arka Noego. Jak wygląda finał gry? O tym



przekonuje się gracz, któremu udało się wykazać odrobiną wiedzy, zręczności i zdolności logicznego myślenia.

## Dla kogo przeznaczona jest gra?

Autorka scenariusza Hanna Szalińska wymyśliła grę dla dzieci w wieku od 7 do 12 lat. Nie jest ona nadmiernie skomplikowana. Zawiera spory ładunek treści dydaktyczno-wychowawczych, jednak przekazywane są one w sposób, który nie powoduje uczucia znudzenia i przesycenia. Przykładowo realizując zadanie osiodłania osła, dziecko dowiadyuje się co nieco o obyczajach na starożytnym Bliskim Wschodzie. Wędrując po Palestynie, poznaje realia, w których żył i dokonywał niezwykłych czynów Jezus Chrystus. Szukając porady, sięga do tekstów biblijnych, które opracowane są w sposób zwarty i przystępny. Wszystko utrzymane jest w konwencji egzotycznej przygody, nie brakuje humoru i dobrej zabawy. To właśnie powoduje, iż odbiorców gry można spodziewać się wśród dzieci o różnym wieku, poziomie inteligencji i wrażliwości emocjonalnej. Są tylko dwa warunki: przyzwoity komputer (producent Andrzej Żeglarski zapewnia, że wystarczy sprzęt na poziomie standardowym) i odrobina czasu.

## Gdzie i kiedy?

Grę można będzie dostać wkrótce - jak wynika z entuzjazmu twórców i zapału menedżerskiego wydawnictwa Marana Tha - praktycznie wszędzie. Zaplanowana jest szeroka kampania reklamowa w mediach. Przygotowywane są tłumaczenia na języki obce. Obok działań typowo marketingowych, twórcy dbają również o wsparcie modlitwne swoich poczyni. Udaje im się angażować „do współpracy” znane sobie wspólnoty zakonne, a także prowadzoną przez profesora biblistę ks. prof. dr. hab. Andrzeja Kowalczyka gdańską wspólnotę modlitewną Marana Tha, której wszyscy są członkami. Kto wie, może właśnie tak rozumiane uwspółcześnienie benedyktyńskiego przysłowia *Ora et labora* przyniesie oczekiwane owoce. Tego wypada autorom i wszystkim przyszłym użytkownikom gry JA JESTEM życzyć.

Opracował Grzegorz Grochowski [artykuł sponsorowany przez Marana Tha]  
PS. Grę można zamówić również u wydawcy RUaH w sklepie internetowym:  
[www.ruah.pl](http://www.ruah.pl)



Ukrzyżowanie 1997

## WEJDŹMY DO MIEJSCA ŚWIĘTEGO

Dariusz Galewski

Takim zaproszeniem do wspólnej kontemplacji i modlitwy można scharakteryzować twórczość Mariusza Mikołajka, artysty, który od kilkunastu lat w swoich wielkoformatowych ekspresyjnych obrazach porusza najistotniejsze problemy ludzkiej egzystencji. Życie i śmierć, radość i smutek, wolność i zniewolenie, wreszcie człowiek i Bóg, to główne uniwersalne tematy, którymi zajmuje się twórca.

Mariusz Mikołajek urodził się w 1958 roku we Wrocławiu, gdzie po ukończeniu Liceum Plastycznego, w latach 1979 – 1984 studiował malarstwo na tamtejszej PWSSP. W 1986 roku przeżył głębokie nawrócenie, dzięki czemu radykalnie zmieniło się jego życie i twórczość. W drugiej połowie lat 80-tych brał udział w licznych wystawach tzw. drugiego obiegu w Polsce, m.in. w kościele Św. Krzyża we Wrocławiu, w kościele przy ul. Żytniej w Warszawie, w Toruniu i na Jasnej Górze. W kolejnej dekadzie prezentował swoje prace w wielu galeriach na terenie naszego kraju, a także w Danii i Niemczech. W latach 1999 – 2000 wraz ze swoim przyjacielem Christosem Mandziosem zrealizował we Wrocławiu cykl zdarzeń artystycznych i happeningów

zatytułowanych *Na Styku*, które miały miejsce w domu dziecka, w więzieniu, na dworcu kolejowym i w kościele. Ich celem było m.in. uwrażliwienie i zaangażowanie widzów w Tajemnicę Śmierci i Zmartwychwstania Chrystusa.

Oprócz tego często spotyka się w szkołach średnich z młodymi ludźmi, którym prezentuje swoje obrazy, opowiada o nich i składa świadectwo swojego życia, naznaczonego głębokim piętnem radykalnej przemiany i nawrócenia.

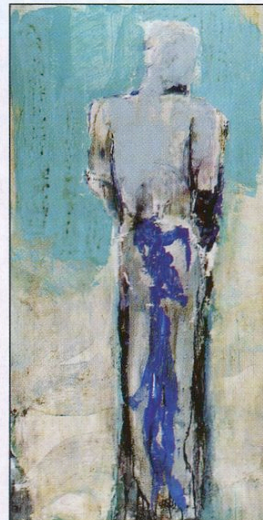
Po obronie dyplomu i nawróceniu następuje przerwa w twórczości artysty, po której powstaje *Cykl obozowy* (1989 r.). Pojawiają się w nim nie tylko reminiscencje wizyty w



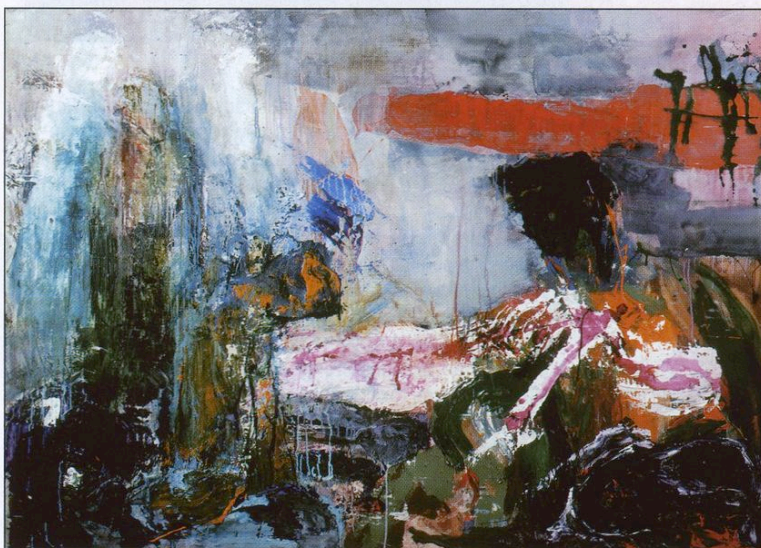
Pieta 1993



Ukrzyżowanie 1995



Ecce Homo 1996/97



Złożenie do grobu 1995

Oświęcimiu i Brzezince, ale również motywy z nie tak odległego stanu wojennego. Artysta skupia się tu na dramacie człowieka uwikłanego w okrutne procesy historyczne, używając bardzo ekspresyjnej formy ukazuje postacie zamknięte w ciemnych ponurych pomieszczeniach.

Jednym z przełomowych jego dzieł jest obraz *Zgromadzenie* (1990), w którym pojawia się wyraźny biały punkt. Dla artysty jest to symbol przychodzącego Boga. W pierwszej połowie lat 90. powstają malowane akrylem płótna z cyklu *Pejzaże* oraz sceny pasyjne: *Ukrzyżowanie*, *Pieta*, *Złożenie do grobu*, *Nazajutrz trzeciego dnia*, *Trzy Marie*. Charakteryzują się niezwykle bogatą fakturą, wielką rozpiętością kolorystyczną i żywotowością przedstawienia, co nasuwa skojarzenia z amerykańskim ekspresjonizmem – *action painting*. Obficie i z rozmachem nakładana farba stanowi w nich podstawowy środek ekspresji podkreślający dramaturgię tematu. Analizując poszczególne prace można zauważyć pełne pasji zmaganie się twórcy z farbą, o której sam mówi, że *stanowi istotę ożywiającą obraz niczym krew*. To przywiązanie do bogatej struktury materialnej nie zniewala go jednak i nie powoduje wejścia w efektowną manierę. *Nie po to*

*maluję, aby cały czas malować to samo!*, twierdzi Mikołajek, czego przykładem są dzieła powstałe w drugiej połowie lat 90. Przełomowym obrazem jest *Komunia* (1995), w której autor zrywa z dotychczasowym sposobem malowania. Pojawiają się szerokie płaszczyzny barwne utrzymane w jasnej pastelowej tonacji, a ponadto kontur i linia. Jednocześnie artysta coraz dalej odchodzi od fabuły i przedstawień figuratywnych, chociaż w dalszym ciągu pojawiają się pewne fragmenty postaci. W tej stylistyce utrzymane są m.in. obrazy zatytułowane *Pejzaż IV*, *Pejzaż V*, *Bez tytułu* czy *Ecce Homo*.

Do obrazów powstałych w ostatnich dwóch latach Mikołajek wprowadza nowy element, którym jest tworzywo sztuczne, przypominające po wyschnięciu wosk lub inną substancję organiczną. W ten sposób w połączeniu z nasyconym kolorem są budowane postacie, a tym samym obraz zyskuje jeszcze bardziej ekspresyjny charakter. Szczególnie silne wrażenie wywołują tematy pasyjne przewijające się przez całą twórczość artysty, takie jak *Odarcie z szat* (2001), gdzie z karminowo-czerwonego tła wylania się stojący wizerunek człowieka, czy *Ukrzyżowanie* (2001), w którym widzimy tylko fragment tułowia nałożony na szare monochromatyczne tło i ujęty kilkoma szeroko położonymi plamami koloru.

Niezależnie od tego, z jakim okresem w twórczości artysty mamy do czynienia, z jego obrazów zawsze przemawia prawda będąca świadectwem jego przeżyć. Podstawą dla sztuki Mikołajka jest, jak mówi, *bycie z sobą i bycie z drugim człowiekiem*. Najważniejszy jest głęboki autentyzm wynikający z doświadczeń własnego życia i może właśnie dlatego bliscy mu są tacy twórcy, jak Magritte, Chirico czy Munch. Na pytanie, jaka jest rola sztuki, artysta odpowiada: *Sztuka jest po to, aby ucztłowieczać. Najpierw życie, potem sztuka. To przyszło jako wynik mojego nawrócenia*.



# A ty stój i patrz...

Zespół **Na Górze**  
wydaje pierwszą płytę.

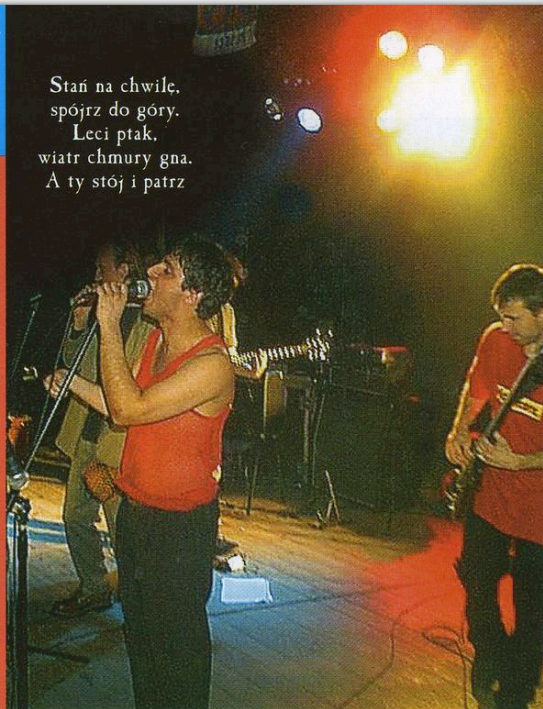
**„Klaszcza z litości, to widać” – denerwowali się kilka lat temu opiekunowie Domu Pomocy Społecznej dla upośledzonych umysłowo, zasztygo gdzieś na krańcu Wielkopolski, gdy ich podopieczni schodzili ze sceny. „Co zrobić, żeby to zmienić?” – myśleli. I wymyśliłi...**

**Powstał zespół Na Górze. Tworzą go pensjonariusze i opiekunowie Domu Pomocy Społecznej w Rządzkowie. To niesamowite: jeden z jego członków, Bartol, nie potrafi poprawnie mówić, a został wokalistą!**

**Nagrali właśnie pierwszą płytę. Niedługo będzie o nich bardzo głośno. Powstał materiał, który powali na kolana wielu topowych wykonawców.**

**Czym? Szczerością, nieklamana pasją, grą emocji...**

Stań na chwilę,  
spójrz do góry.  
Leci ptak,  
wiatr chmury gna.  
A ty stój i patrz



Powtarza się scenariusz sprzed kilku lat. Młody śląski Kabaret Absurdalny miał te same problemy. „Z czym to się je?” – pytali zadziwieni widzowie, oglądając na scenie niepełnosprawne umysłowo osoby i podchodzili do sprawy „z pewną taką nieśmiałością”. Niebawem jednak okazało się, że „Absurdalni” zakasowali wiele pierwszoligowych kabaretów, świętując triumfy na czołowych przeglądach kabaretowych.

Zespół Na Górze zachwyci słuchaczy krótkimi (często zbudowanymi na zasadzie klasycznego haiku) pięknymi tekstami i muzyką będącą tygłem: rocka, reggae i ballady...

Opowiada Wojtek Retz – jeden z animatorów projektu:

Nasze spotkanie nastąpiło dziesięć lat temu. Wtedy byli „oni” i „my”. „Oni” przyszli z innego Domu Pomocy Społecznej, można powiedzieć hurtem sześćdziesięciu chłopców z przepisnymi środkami uspokajającymi (w dawkach zadziwiających). My byliśmy rzekomo tymi, którzy mieli wiedzieć, jak się robi terapię czy rehabilitację, jak wyprowadza się z niepełnosprawności, przywraca społeczeństwu.... (...)

Któryś z chłopaków mruczał czasami pod nosem jakąś melodię, choć w ogóle nie mówił. Inny tukał tyżeczkami w talerze na stołówce i robił to całkiem rytmicznie. Naturalne stało się, iż zaczęliśmy razem tworzyć muzykę (wcale niekoniecznie relaksacyjną, jak wypadaloby w „niepełnosprawnej instytucji”).



Gdy jeździłem na tzw. imprezy integracyjne, zrodził się we mnie bunt. Bo cokolwiek by niepełnosprawni pokazali, czy było to dobre, czy nie, widzowie bili brawo – z litości. Postanowiliśmy więc zrobić z chłopakami coś takiego, by ludzie klaskali, bo im się podoba.

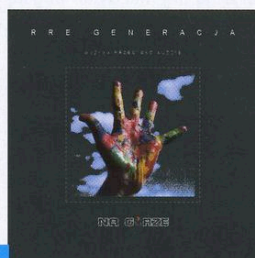
(...) Na pierwszym koncercie Mały grał już pałkami na... kartonowych pudłach, a Bartol odważył się na zaśpiewanie kilku słów. No i porwało nas to bardzo szybko.

Po siedmiu latach spontanicznego muzykowania powstały nagrania, które zapewne mogłyby brzmieć bardziej profesjonalnie (przypuszczamy, że jest kilka tysięcy zespołów grających bardziej równo i śpiewających wyraźniej od nas – choć nie jest to jednak takie pewne). Ale cóż? Chyba nie o to nam tak naprawdę chodzi... Bo co z tego, że wszystko jest równo i wyraźne? Podobno sztuka ma służyć do wyzwalania emocji, a może nawet uczuć. Niech zatem służy. Niech je rre generuje. Najpierw była kasetka „Kolorowomowa”. Wydana przez nas niezależnie w 1997 roku dla naszych przyjaciół.

Dziewięć utworów z niej nagraliśmy ponownie, niektóre w zupełnie innych wersjach. Jeden kawałek postanowiliśmy pozostawić w niezmiennym stanie, aby pokazać fragment tzw. historii – to „Rre generacja”.

Podczas pracy w studiu Mały zaskoczył nas wszystkich, szczególnie w nowych kompozycjach, których nie zdążyliśmy jeszcze wykonać na koncertach. Gdy pożyczaliśmy bębny od Piotra „Stopy” Żyżelewicza, umówiliśmy się, że zagra gościnnie w tych utworach, z którymi Mały sobie nie poradzi. No i po pewnym czasie zawołaliśmy go, aby... odebrał swoją perkusję.

A kto zagrał? W „Rre generacji” słycać klawisze Roberta Piotrowskiego i gitarę Roberta Friedricha (on sam jest wydawcą płyty). Oczywiście najważniejszymi gośćmi w studiu były dzieciaki z „Arki Noego”, które (jak zawsze punkowo) zaśpiewały „Co to jest”.



# Jamaican Tour 2001



MALEO



prosto z Jamajki...

odc.1

- Darek, jedziesz z nami w trasę koncertową po Jamajce?
- Jasne, kiedy mamy samolot, za godzinę?
- Nie. - Głos Davida Pierce'a z grupy No Longer Music brzmiał całkiem serio. - Luty 2001, O.K.?

Pamiętam nasze wszystkie wspólne wyjazdy: Dania, Holandia, Anglia, Indie, 5 wspólnych tras koncertowych po Polsce. Ale trasa po Jamajce? Zawsze marzyłem, aby tam pojechać turystycznie, ale grać reggae w ojczyźnie Marleya? Pan Bóg spełnia marzenia!

Po pierwsze – muzyka, która odmieniła moje życie – REGGAE!

Bob Marley, Peter Tosh, Burning Spear, Black Uhuru i wielu innych. Muzyka duszy pulsująca w rytmie serca, teksty mówiące o Bogu, miłości i odkupieniu, ale też o cierpieniu, bólu, Babilonie. Muzyka, która koi duszę i ożywia ciało. Zakochałem się w niej wiele lat temu i poprzez nią Pan Bóg doprowadził mnie do Siebie. Dlatego zawsze chciałem zobaczyć tę małą wysepkę nazywaną perłą Karaibów.

Reggae narodziła się w Jamajskich gettach wśród rastafarian, ludzi, którzy po wiekach niewoli, poczuli się wolni i dumni ze swego koloru skóry. Kompensacją dawnych krzywd doprowadziła ich do drugiej skrajności – nienawiści do cywilizacji białych ludzi, którzy przed wiekami wywieźli ich z Afryki, oderwali od swoich korzeni i narzucili swoją religię – chrześcijaństwo. Dla nich przyjęcie Jezusa nie było wyborem, tylko przymusem. Rastafarianizm chciał zwrócić Czarnym mieszkańcom wyspy ich tożsamość – afrykańskie korzenie. Wymyślono też pewien

rodzaj mesjanizmu, polegający na twierdzeniu, że czarna rasa jest wybrana na nowego Izraela (400 lat niewoli – to niewola babilońska).

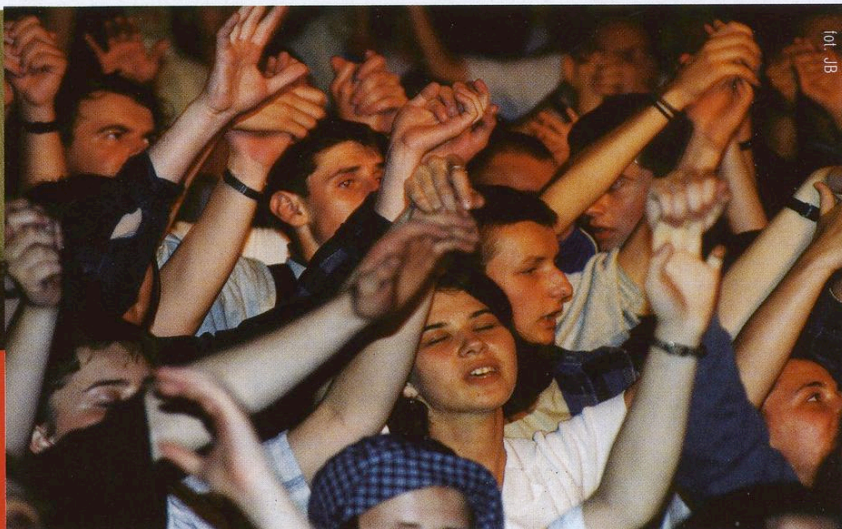
David Pierce poczuł, że Pan Bóg przynagla go, by głosił Chrystusa, kochającego Ojca, ze złamanym sercem. I by tym razem był to prawdziwy, wolny wybór serca. Pan Bóg wszystko przewidział i „Jamaican Tour 2001” stało się rzeczywistością. 18 lutego 2001 razem z moją żoną Elą jechaliśmy na Okęcie z biletami: Warszawa – Londyn – Jamajka.

...Rozpoczęła się przygoda... /cdn/





**Matt  
Redman**



# SERCE UWIELBIENIA

uwagi na temat modlitwy chwały

Kiedy pojawia się temat uwielbienia, szuka się definicji próbujących określić, czym ono jest. Niektóre z nich traktują je bardzo ogólnie, inne z kolei próbują zawęzić uwielbienie do duchowej relacji człowieka z Bogiem. Pewne definicje zupełnie gubią sens tego, czym jest uwielbienie, inne upraszczają. Przez całe życie, będąc podróżnikami, uczymy się uwielbienia, tego, czym ono jest i jak wielki może mieć na nas wpływ, oraz jak Bóg chce, abyśmy je rozumieli. Jako muzycy często zastanawiamy się nad miejscem i sensem muzyki w uwielbieniu. Najważniejsze jest to, abyśmy oddawali cześć Bogu w Duchu i Prawdzie.

Kiedy rozpatrujemy kwestię uwielbienia w Kościele, jego miejsca i znaczenia, pojawiają się pewne problemy.

1/ Czasami odnosimy wrażenie, że uwielbienie przybiera formę koncertu zespołu muzycznego. Czy może tworzyć je przedstawienie lub pokaz umiejętności muzycznych? Bogu zależy na tym, by modlący się znaleźli się w miejscu, które nazwać można „centrum uwielbienia”, „serce uwielbienia”.

Przed powiedzeniem kilku słów na ten temat chciałbym wspomnieć o tym, co zdarzyło się w mojej wspólnotce. Kilka lat temu odkryliśmy w niej brak „serca” do uwielbienia. Brakowało w nim dynamiki i rozwoju. Nasza muzyka nie dawała tej radości i sensu uwielbienia, jaki można było obserwować wcześniej. Straciliśmy właściwą perspektywę. Mówię o naszym „wnętrzu”, gdyż to, co było na zewnątrz, wyglądało super, poziom granej muzyki był wysoki i bardzo „rozwojowy”, ale... Posiadaliśmy wysokiej klasy sprzęt, profesjonalnych muzyków i wyśmienite warunki w postaci pięknego budynku, ale zamiast oddawać chwałę Bogu, staliśmy się - konsumentami. Uwielbienie stało się sposobem relaksu, zabawą, cieszeniem się sobą. Niektórzy z nas zastanawiali się czy uczestniczyć w uwielbieniu wtedy, kiedy grał ten lub inny zespół. Zabawa, a nie oddawanie chwały. Formą przypominało to koncerty, a nie przebywanie przed obliczem Boga. Wtedy Mike, lider wspólnoty, powiedział, że musimy cofnąć się do początku, do stanu, w którym koncentrowaliśmy się na Bogu, a nie na sobie. Jego propozycja dotyczyła wyłączenia zespołu muzycznego. Zaczęliśmy uwielbiać tylko przy gitarze akustycznej, czasami bez akompaniamentu w ogóle. Mike zachęcał nas do pisania własnych pieśni. Ich celem było pokazanie tego, co było w nas, w naszym wnętrzu. Próbowaliśmy oddać Bogu chwałę w inny sposób, niż przy wykorzystaniu muzyki instrumentalnej. Chcieliśmy dać uwielbieniu nowe wartości.

Po pewnym czasie Pan Bóg pozwolił nam wrócić do „serca uwielbienia”.

Mogliśmy oddawać cześć z większą mocą, dając Mu rzeczywistość to, co było w nas. Wylewaliśmy przed Bogiem swoje serca. Sposób, w jaki to robiliśmy, stał się inspiracją... Powstała wtedy pieśń będąca wynikiem przemian, które dokonywały się w naszych sercach.

*„Kiedy zanika muzyka i blednie jej sens,  
przychodzę, Panie, aby dać Tobie to, co mam, to, kim jestem.  
Oddaję to, co najcenniejsze, coś, co będzie błogosławić Twoje serce.*

*Przynoszę więcej niż pieśń, więcej niż słowa,  
oddaję Ci swoje serce...*

*Ty, Panie, patrzysz głębiej i dostrzegasz, co jest dalej.  
To daje mi zachętę i siłę, by bardziej się otworzyć.*

*Ty widzisz moje serce, miejsca, których ja dostrzec nie potrafię,  
moje serce, które pragnie Ciebie uwielbiać”.*

2/ Aby określić cechy „serca uwielbienia”, spójrzmy na słowa z Listu do Efezjan 5,10: *„Badajcie, co jest mile Panu”.*

Skoncentrujmy się na tym, aby oddawać Bogu to, co może Go uwielbić, co „sprawia Mu radość”. Nasze pieśni powinny być tak komponowane, by mogły sprostać Bożym wymaganiom i Jego „standardom”. Ważne jest, by przekazywać Bogu to, co chcemy Mu powiedzieć i pokazać w nas. Podstawą uwielbienia jest odkrycie wielkości Boga i tego, jaki to może mieć wpływ na nasze widzenie siebie. Zadać sobie pytanie - dlaczego warto uwielbiać Boga? Połóż nacisk na ten aspekt, a nie na to, jak na przykład dzisiaj się czujesz, gdyż Bóg jest godziem uwielbienia nie tylko dziś, wczoraj i jutro, ale zawsze, na wieki.

3/ Podczas uwielbienia koncentruj się na Jezusie. Tylko w ten sposób nie będziesz traktował uwielbienia jako koncertu lub „show”, jako miejsca pokazania siebie, lecz Osoby zasługującej na naszą wdzięczność i oddanie jej chwały w 100%. Przed Bogiem nie można zaszpanować, ani pokazać się! Będąc na scenie nie staraj się przyciągać uwagi ludzi np. przez częste przerywanie

modlitw, pieśni lub długie gadanie. Zmień swoje nastawienie, stań się pomocą dla tych, którzy chcą uwielbiać Boga. Jeśli byłeś liderem zespołu, a teraz masz poprowadzić modlitwę uwielbienia, musisz zmienić środek ciężkości usuwając siebie na bok. Nie musisz dużo mówić. Dobrze jeśli uwielbienie stanowi jedną całość, bez dużej ilości przerw. Nie przeszkadzaj ludziom w uwielbianiu Boga! Na scenie nie demonstruj siebie. Staraj się zajmować na niej miejsce jak najmniej widoczne (w przenośni i dosłownie). Księga Przysłów mówi (25,6): „*Nie chejł się przed królem i nie stawaj na miejscu możliwych*”. Werset ten stał się dla mnie podsumowaniem wiedzy o postawie na scenie i szerzej – w całym życiu. Stanie w obecności Boga wymaga pozbycia się pychy i dumy, tu nie ma na to miejsca. Jako prowadzący modlitwę musisz być pokornym sługą. Módl się o pokorę i zdolność skupiania uwagi uczestników na Bogu. „Stań się małym na dnie swojego serca”. Miej postawę uniżenia i niech ona stanie się twoim nawykiem. Najlepiej pokazuje to postawa Jana Chrzciciela, który gdy ludzie mówili, że wzrasta popularność Jezusa i próbowali go zniechęcić, powiedział: „*Potrzeba, aby On wzrastał, a ja się umniejszał*” (J 3,30). Nie wywyższaj siebie przed tronem Boga, ale stań się małym w swoim sercu. Jan potrafił doskonale wyrazić siebie jako pokornego sługę. Wytrzymał presję otoczenia i pokazał właściwe miejsce Jezusa. Ta postawa wyraża jeszcze jedno, a mianowicie podporządkowanie wszystkiego woli Jezusa. Ilu z nas potrafi przyjąć taką postawę? Nasza tożsamość czy samoocena nie może być budowana na tym, co robimy, ale na podstawie tego, kim jesteśmy w Chrystusie. Wszystko, co sprawi, że stawiamy Jezusa na drugim miejscu, powinno być z nas usunięte w bezlitosny sposób! Bóg złożył na nas, prowadzących uwielbienie, bardzo dużą odpowiedzialność. Jeśli nosimy prawdziwe wartości w naszym sercu, Bóg może się nami posługiwać. Uwielbienie Boga wypływa z postawy naszego serca, mamy być sługami, a Pan Bóg jest w centrum uwielbienia.

4/ Wywyższajmy Boga, szanujmy ludzi i chętnie grajmy muzykę, nie zapominając o celu jej wykonywania czy komponowania. Przekazujemy ludziom wartości, którymi Bóg chce się z nimi podzielić. Miej serce dla Boga, dla ludzi, a potem dla muzyki. Bóg, ludzie, muzyka.

„*Sprawdzianem tego, co robimy, nie jest muzyka, jaką gramy, ale pobożność tych, którym pomagamy w uwielbianiu*” (John Wimber, współzałożyciel Ruchu „Vineyard”).

Najczęstszym błędem prowadzących uwielbienie jest brak pokory. Nie można pochylać ich pychy i dumy. Nie noś w sobie syndromu wielkiej gwiazdy! Ludzie muszą widzieć w tobie tego, który wywyższa Chrystusa! Bóg sam uwielbi się w naszej muzyce, jeśli w wywyższaniu Go nie będzie naszej pychy.

5/ Gdy piszesz pieśni, musisz pamiętać o czystym sercu. Módl się o to jak Dawid w Psalmie 139, 23-24: „*Zbadaj mnie, Boże, i poznaj me serce*”.

Najdoskonalszym wśród prowadzących uwielbienie jest sam Duch Święty. Jemu musimy podporządkować nasze dary i talenty. Skoncentruj się na słuchaniu Go. Jego celem i misją jest wywyższenie Jezusa. Nasza zupełna niemoc i zależność jest najlepszą okazją, by Duch Święty działał przez nas, by zmanifestował swoją obecność i moc. Jako prowadzący uwielbienie módl się o to, abyś miał serce pasterza, którego celem jest doprowadzenie jak największej liczby ludzi do tronu Boga.

Jeśli piszesz teksty - szukaj inspiracji u Ducha Świętego, czekaj na Jego dotknięcie i prowadzenie. Komponując muzykę, miej na uwadze możliwość wykonania, zagrania i zaśpiewania danego utworu. Zwróć uwagę na takie szczegóły jak refren, zbyt obszerny tekst, jego złożoność itd. Tematem naszych utworów ma być Pan. W tworzeniu treści, które później stają się piosenkami oddającymi chwałę Bogu, bardzo pomaga studiowanie Biblii. Często wykorzystuję pewne fragmenty Słowa Bożego do napisania utworu. Bądź zawsze gotowy do zapisu słów, które mogą być kolejnym utworem chwającym Pana. Chcę zaznaczyć, że wcale nie musi mieć on wielu słów. W tym, co robimy, nie zapominajmy, że najważniejsze to kochać Boga i skupić się na Nim. Nie możemy pozwolić, aby środek, jakim wyrażamy tę miłość, stał się czymś najważniejszym. Jako wielbiący Pana Jezusa musimy koncentrować się na naszej relacji z Nim, aby była ona bliska i intymna. Naszym celem powinno być poznanie Boga, codzienna z Nim bliskość. Niech On nas w tym prowadzi. Amen.

//tum. XY/



# m UzycZnE Jaja

## O legendarnym Joszce, spirytystycznym Malejonku i trzech siostrach, które są facetami

(zdarzyło się naprawdę!)

1. Siemianowice Śląskie. Kilka lat temu. Za chwilę ma wystąpić Houk i No Longer Music. Pewny siebie konferansjer zapowiada: A teraz wystąpi Darek Malejonek ze swoim **spirytystycznym przesłaniem...**

2. Wypełniony po brzegi katowicki Spodek. Studenci przyszli zabawić się na Juwenaliach. Konferansjer zapowiadając koncert Tymoteusza rzuca ze sceny: Przed wami grupa **Two Tee Em Two Three** (czytaj z angielska). Może koleś myślał, że to skład techno?

3. Kraków. Na ścianie wisi plakat zapowiadający koncert Joszko Brody.

„To on nie jest postacią legendarną? – zastanawia się młoda dziewczyna oglądając afisz. „**To on w ogóle żyje?**” – dorzuca jej koleżanka.

4. Ściana. Gdzieś w Polsce. A na niej plakat zapowiadający występ znanego szczecińskiego chrześcijańskiego chóru **DEnS MEUS**. Dziewczyny opracowały nową choreografię?

5. Kwidzyn - festiwal Kerygmat. Piękną tradycją tej imprezy jest to, że artyści nocują u miejscowych rodzin. Jedną z nich miała przenocować grupę Trzy Siostry. Przygotowali się na wizytę subtelnych dziewcząt. Wyobraźcie sobie ich zdziwienie: dzwonek do drzwi - rodzina otwiera i widzi, że przed mieszkaniem stoją jacyś faceci. „Przepraszamy, my czekamy na trzy siostry”. „Ale przecież **Trzy Siostry to my!**”. Skąd – Bogu ducha winni – mogli wiedzieć, że to męski czadowy zespół rockowy? I że trzy siostry to: wiara, nadzieja i miłość?

PS. Jeśli znacie jakieś zabawne sytuacje, piszcie!



Wojciech Gołaski OP

## TRADYCJE KANTORSKIE W ŚPIEWIE LITURGICZNYM!

**Prąd elektryczny towarzyszy naszej cywilizacji od niespełna stulecia i zadomowił się szybko. Liturgia sięga jednak czasów, gdy owego dobrodziejstwa jeszcze nie było i bez niego kształtowała swoje oblicze. Myśl, że dopiero nasze czasy dzięki swoim wynalazkom nadały właściwy kształt liturgii, wydaje się absurdalna. Przyjrzenie się dawnym tradycjom kantorskim, nie całkiem jeszcze wygasłym w naszym kraju, potwierdza w pełni tę intuicję.**

Na czym polegają tradycje kantorskie? Chodzi o ukształtowane w ciągu wieków sposoby animowania wspólnego śpiewu zgromadzenia liturgicznego lub paraliturgicznego – w kościele lub w domu. Można je nazywać tradycjami, gdyż były i gdzieś tam jeszcze przekazywane z pokolenia na pokolenie. Ich ciągłość oparta jest na relacji mistrz – uczeń. Polegają na inicjowaniu wspólnego śpiewu nabożnego przez kantora.

Jednym z elementów tej tradycji jest miejsce, z którego prowadzony jest śpiew. Wbrew nowszej dacie podziałowi na wykonawców i odbiorców, kantor zajmuje miejsce pośród ludzi<sup>3</sup>. Jest jednym z uczestników, co jasno wyraża miejsce, z którego prowadzi śpiew. Rzecz jasna jest to możliwe, gdy nie korzysta się z elektrycznego nagłośnienia, które nieuchronnie prowadzi do rozluźnienia związku prowadzącego z resztą obecnych.

Owocem takiego umiejscowienia kantora jest jedność zgromadzonych. Śpiew bez przeszkód osiąga swój jednoczący skutek dzięki temu, że prowadzący nie zaznacza dystansu wobec pozostałych uczestników. Wręcz przeciwnie, daje im do zrozumienia, że jest jednym z nich i że oni, jeśli tylko śpiew nie przekracza ich możliwości, są do niego zaproszeni. Podkreślona jest organiczna więź i solidarność kantora z tymi, których w śpiewie prowadzi.

Miejsce kantora gwarantuje jego „zniknięcie”, uczy postawy służby. Będąc przeciwieństwem autoprezentacji, skutecznie chroni przed pułapką gwiazdorstwa.

Organy wbrew pozorom nie są w konflikcie z zadaniem kantora. Miały zawsze swój cel: podkreślenie uroczystego charakteru liturgii. W żadnym razie nie były pomyślane jako podpórka, bez której śpiew nie jest w stanie przetrwać, ani tym bardziej jako plama dźwiękowa, tuszująca fakt, że ludzie śpiewają bez zaangażowania. W świetle dawnych tradycji, gdzie na śpiew i grę przeznaczony są odrębne momenty liturgii, kantor i organista, każdy na swoim polu, mogą owocnie współpracować przy oprawie uroczystych celebracji<sup>4</sup>.

Takie prowadzenie śpiewu wymaga oczywiście innego podejścia do samego sposobu śpiewania niż to, które wystarcza, gdy siłę śpiewu i jego donośność powierza się aparaturze bądź sztuki grę na organach. Wymaga całkowitego zaangażowania. Tylko wówczas możliwe jest pełne otwarcie w śpiewie, czyli danie z siebie wszystkiego, co przejawia się m.in. w użyciu pełnego głosu. To podejście zapewnia nie tylko słyszalność, choć zapewnia ją skutecznie. Jest ponadto samo w sobie nieodzowne na liturgii. Gdzie bardziej się zaangażujemy, jeśli na liturgii jesteśmy „na spocznij”? W jakim innym miejscu jest czymś bardziej odpowiednim danie z siebie wszystkiego? Takiej postawy nie można udawać. Można ją zająć albo nie. Jeśli jednak prowadzący przyjmie postawę pełnego zaangażowania, wolną od oszczędzania się, zostanie to natychmiast zauważone i przyniesie owoc, którym jest większe zaangażowanie obecnych.

Tutaj tkwi sekret śpiewających z całego serca i pełnym głosem wspólnot kościelnych, widok stosunkowo rzadki lub zgola nieobecny w miastach, a spotykany jeszcze na wioskach. Zwyczaj ten nie ma w sobie nic niestosownego lub wstydliwego. Wręcz przeciwnie – dopiero taki śpiew ma moc przybliżyć, w czym mamy udział, gdy uczestniczymy w liturgii, a także czym ma być nasze zaangażowanie, gdy się modlimy. Ks. Edward Staniek w książce „Bogactwo natchnionych ksiąg” pisze: „Gdy w wiejskim kościele tysiąc ludzi śpiewa ten psalm /mowa o psalmie w starym przekładzie, opartym na Kochanowskim – WG./, to ja wiem, że jestem w samym centrum spotkania człowieka z Bogiem”<sup>5</sup>.

Dobrodziejstwa techniki, w tyłu dziedzinach życia przejawiające swoją fascynującą skuteczność, w dziedzinie liturgii w pierwszej kolejności ujawniają swoje ograniczenia. Mikrofon nigdy nie pozwoli w pełni się otworzyć temu, kto z niego korzysta. Uzasadniony lęk przed wyolbrzymieniem rezultatu przez wzmacniacz nie pozwala na otwarcie. Śpiew więc

najczęściej nie jest prowadzony głosem pełnym i dźwięcznym, lecz ściśniętym i przytłumionym. Na to nakłada się nierówność, wprowadzana przez mikrofon między tych, którzy nim dysponują, a pozostałe osoby. Prowadzący zostaje nieuchronnie oddzielony dźwiękowo od reszty zgromadzenia – jego głos jest zawsze ponad głosem ludzi. Jednorodność śpiewu staje się więc w punkcie wyjścia niemożliwa. Ponadto fakt, że uczestnicy słysząc prowadzącego nie słyszą pełnego zaangażowania (bo mikrofon na nie nie pozwala), działa zamykająco. To z kolei powoduje, że prowadzącemu trudniej jest śledzić śpiew ludzi, który zamiast wzrastać staje się wąty i nieprzekonujący. Opisane zjawiska nawzajem się generują i umacniają. Stąd tak częste dziś przyjmowanie przez uczestników liturgii postawy biernych konsumentów – wbrew intencjom reformy liturgicznej – bądź też znudzonych malkontentów. Śpiew zaś, opierając się coraz mocniej na aparaturze, staje się lepszej lub gorszej jakości wytworem, oferowanym przez scholę, bądź parawanem bierności<sup>6</sup>. A ma on być przecież wyrazem celebrowanej Tajemnicy i skutecznym środkiem prowadzenia do niej. Inną cechą śpiewu według tradycji kantorskich jest ciągłość repertuarowa. Tu również można dostrzec zasadę służby i unikania prezentacji siebie. Wycofanie i wyciszenie siebie ma na liturgii zawsze jeden cel – dopuszczenie do głosu Kościoła. Ten zaś wypowiada się najczęściej przez dzieła, które narastały długo i dzięki przekazowi trwają dłużej niż życie jednego pokolenia. Dzięki temu nagromadzone przez wieki zasób pieśni religijnych może jednoczyć ludzi w różnym wieku, wyrażając i umacniając właściwą jedynie Kościołowi więź społeczną, obejmującą także więź młodszych ze starszymi. Wspólnie śpiewana pieśń otwiera na siebie nawzajem tych, którzy ją śpiewają<sup>7</sup>. Ponieważ zaś Kościół ogarnia wiele epok, jedność wyrażana na liturgii obejmuje również tych, którzy nas poprzedzili, zostawiając swoje dziedzictwo. Zatem kantor w doborze pieśni szanuje dorobek poprzednich wieków, wiedząc, że dzieło, które prowadzi, nie zaczęło się od niego. Wiąże się to z zakorzenieniem kantora w wielopokoleniowej wspólnotcie, spajanej relacjami mistrz – uczeń, a także pielęgnowanym przez pokolenia zwyczajem. Nie oznacza to wrogości wobec pieśni nowych. Lecz autentyczne pieśni nowe mogą powstawać tam, gdzie pielęgnuje się religijną pamięć wieków, zapisaną w pieśniach, które są dokumentem pobożności pokoleń, a także znamię i czynnikiem jej tożsamości. W ten sposób można się obronić przed inwazją utworów opartych o sezonowe mody i uchronić liturgię przed dominacją reguł właściwych dla list przebojów. Długotrwała tradycja repertuarowa zespala młodych ze starszymi, a także jest bezcennym świadkiem godności liturgii.

Powstaje pytanie, czy w dzisiejszej kulturze miejskiej, wobec wszystkich dzisiejszych zjawisk kulturowych, możliwe jest jeszcze praktyczne odwołanie się do kościelnych tradycji kantorskich? Otóż problem ten w ogóle nie zostałby postawiony, gdyby nie pewien ciąg wydarzeń, które każą zwrócić się z wzmianką uwagą ku zapomnianym zdawałoby się zwyczajom.

Przy dominikańskim kościele św. Jacka na ul. Freta w Warszawie przez ponad półtora roku odbywały się co tydzień spotkania poświęcone nauce starych pieśni religijnych. Bezpośrednią inspiracją i katalizatorem przedsięwzięcia był festiwal muzyki dawnej „Pieśń naszych korzeni” w Jarosławiu<sup>8</sup>. Śpiewy prowadził Adam Strug, wieloletni uczeń zmarłego przed rokiem śpiewaka z Mątwy pod Łomżą śp. Jana Nasiadko. Fakt, że wiejski śpiewak ma ucznia, który nie pochodzi z wioski i działa w wielkim mieście, wskazał, że tradycje kantorskie nie są bynajmniej skazane na byt jedynie w kulturowych enklawach.

Tym bardziej, że w wymienionym kościele podjęto też służbę liturgiczną. Wspomniane osoby pod przewodnictwem tegoż kantora przez dwa lata z rządu podjęły się prowadzenia śpiewu podczas Gorkich Zali w Wielkim Poście. Dokonano tego kierując się wszystkimi zasadami tradycji kantorów, a więc śpiewając z ławek, bez nagłośnienia, pełnym głosem, stosując znane i zakorzenione lokalnie melodie.

Zrezygnowanie z równoczesnego akompaniamentu pozwoliło na ujawnienie się suwerenności śpiewu. Skutek przeszedł najmielsze oczekiwania. Pełen zaangażowania sposób śpiewania udzielił się innym uczestnikom. Śpiew prowadzących bez najmniejszych przeszkód stopił się w jedno ze śpiewem reszty zgromadzonych. Powstał jeden silny strumień śpiewu, wypełniający kościół i poruszający obecnych. Warto zauważyć, że są to zjawiska niemal już nieistniejące w śpiewie ośrodków wielkomiejskich. Frekwencja po pierwszym nabożeństwie podwoiła się, jakby potwierdzając istnienie w ludziach – także dzisiaj, także w wielkim mieście – potrzeby wyśpiewania całej duszy przed Bogiem.

W pierwszym roku te same osoby animowały też w taki sam sposób i z takim samym skutkiem śpiewy na liturgii wielkopiątkowej – podczas adoracji Krzyża, Komunii św. i procesji. Analogiczne do tych doświadczenia przyniosła w ciągu ostatnich dwóch lat codzienna liturgia Mszy świętej podczas festiwalu w Jarosławiu, a także ubiegłoroczne adwentowe Msze roratnie w kościele św. Wojciecha we Wrocławiu. Zresztą podobne wydarzenia dzieją się na co dzień w niemalym wciąż jeszcze procencie kościołów wiejskich. Doświadczenia te wskazują, że istnieje również dzisiaj możliwość i potrzeba odwołania się do tradycji kantorskich. Posiadamy tę możliwość zwłaszcza w Polsce, gdzie tradycja oddolnych, kościelnych kantorów, będących nierzadko uzdolnionymi śpiewakami, a przy tym często głęboko uświęconymi ludźmi, jest wciąż jeszcze żywa na sporej części obszarów wiejskich. Nie jest ona obecna w świecie mediów, gdyż nie potrzebuje ich do istnienia. Lecz sam fakt, że ich nie potrzebuje, wskazuje na pokrewieństwo tych tradycji z duchem liturgii, która zachowuje pełnię swego znaczenia niezależnie od ewentualnej obecności w mediach i nie czerpie z niej swej wartości.

Skorzystanie z doświadczeń kantorów wymaga powstania sieci nowych kontaktów, nieraz nawiązywanych pod prąd współczesnych trendów. Wymaga zwrócenia się np. miasta ku wsi, a nie odwrotnie. Wydaje się jednak, że sposoby animacji liturgicznej, opierające swoją skuteczność na zdobyczach techniki, i przy tej okazji zwalniające nas z naszego własnego wysiłku i związanej z nim ofiary, właśnie w dziedzinie liturgii najszybciej i najwyraźniej objawiają swoją niewystarczalność. Zwrócenie się do kantorów, ich poszukiwanie i kształcenie nowych, jawi się coraz bardziej jako wyjście niezastąpione. W Polsce odwołanie się do tej tradycji wciąż jeszcze jest możliwe.

Warszawa, wrzesień 2001

1 Artykuł ukazał się równolegle w „Wędrowcu”, czasopiśmie pod patronatem Stowarzyszenia „Dom Tańca”, numer 1 (2001), s. 26.

2 Odwołuje się do nich, posługując się tym określeniem, Marcel Pérès w wywiadzie zamieszczonym w książce „Reconstruire la liturgie” pod red. Claude’a Barthe’a; przedruk wywiadu w tłum. Błażeja Matusiaka OP w czasopiśmie „Canor”, nr 30, s. 13–24.

3 W śpiewie gregoriańskim tradycja wyznacza scholom i kantorom odrębne, właściwe im miejsce w kościele. Nie była to wszakże „prezentacja” w dzisiejszym duchu, lecz śpiewanie „w imieniu” wszystkich wiernych. W niniejszym artykule mowa jest jednak o ludowym śpiewie religijnym, śpiewanym z założenia przez całe zgromadzenie. Por. artykuł Bornusa-Szczycińskiego (zob. przyp. 8).

4 Więcej nt. organów w liturgii – zob. wywiad z Marcelem Pérèsem.

5 E. Staniek: „Bogactwo natchnionych ksiąg. Stary Testament”, Kraków 1997, s. 122.

6 Por. uwagi Marcela Pérèsa nt. użycia mikrofonów w liturgii.

7 Zasadę tę można było dostrzec u śpiewaków z Korsyki. Podziwiane ponad rok temu na festiwalu w Jarosławiu, a potem w Warszawie, Bractwo z Serra, śpiewające tradycyjne liturgiczne śpiewy korsykańskie, złożone było z przedstawicieli wszystkich generacji, od siedemdziesięcioletków do dwudziestolatków. Była to dla nich sytuacja tak naturalna i normalna, że szczególnie ten mógł nawet nie zwrócić uwagi słuchaczy.

8 Jego dyrektor artystyczny, Marcin Bornus-Szczyciński, jest autorem artykułu nt. stanu śpiewu na liturgii pt. „Dlaczego Kościół przestaje śpiewać?”, „Więź” 1999, nr 3, s. 17–35. Poruszając dziś temat śpiewu liturgicznego nie sposób nie odwołać się do tego tekstu. Tamże cenne odwołania do fragmentów soborowej Konstytucji o liturgii świętej „Sacrosanctum concilium”.

# KTO TAK FAJNIE GRA?

z Piotrem Dziemidowiczem, liderem grupy

## Halleluja COUNTRY Band

rozmawia Andrzej Bujnowski OP

**AB.** W naszym magazynie piszemy o różnych gatunkach muzyki, nie pisaliśmy dotąd o zespole z kręgu muzyki country. Czy tak określić można faktycznie waszą muzykę?

**PD:** Muzyka, którą chcemy dzisiaj grać, zbliżona jest do obecnej muzyki nashwillowskiej, a ta z kolei do muzyki rockowej, rock'n'rollowej, popowej. Dziś w Nashville tak się gra i nie jest to już tylko typowe „westernowe” granie, które najczęściej kojarzymy z country. Nasze country, to właściwie rock'n'roll + rock + pop. Myślę, że gdybyśmy posłuchali tego, co dzieje się dziś na listach przebojów, stwierdzilibyśmy, że większość piosenek popowych, pomijając może przeboje dyskotekowe, ma duże domieszki muzyki country, jej riffy i zagrywki gitarowe. Country ma wiele wspólnego z muzyką rockową, bluesową. Brzmienie, ustawienie przystawki... Trzeba byłoby prześledzić kilka szkół muzyki country, by zorientować się, o co w niej chodzi. Nam w Polsce daleko jest do grania amerykańskiego, gramy więc „słowiańskie country”.

**W** naszym kraju działa dość duży rynek takiej muzyki, skutecznie „podkręcany” od wielu już lat przez Korneliusza Pacudę. Są koncerty, audycje radiowe i telewizyjne, festiwale, Piknik Mrągowo, kluby fanów, strony internetowe... Kto u nas jest według ciebie głównym odbiorcą country?

Trzy czwarte Polski, ale może niestuchające jej tak namiętnie... Jest to ta muzyka, która wypełnia większą część programu radiowego. Pojawia się na przykład w czasie jazdy samochodem. Mamy tu do czynienia z tak szeroką gamą dźwięków i aranżacji, że faktycznie większość można byłoby nazwać country. Ja sam czasem jestem zdziwiony tym, co puszcza pan Pacuda jako country.

**Spróbujmy uściślić nieco termin country, sądzisz, że chodzi tu o współczesną amerykańską muzykę ludową, czy szerzej - o muzykę pop, która jest formą współczesnej muzyki ludowej, niezależnie od kraju w którym jest grana?**

Powiem żartobliwie, że nam Polakom na pewno łatwiej zagrać krakowiaka niż bluesa, ale ostatnio trochę się już zaczyna zmieniać. Dla mnie country, to przede wszystkim prostota w przekazie. To bardzo mi odpowiada, mimo że słucham wielu gatunków muzyki, bo jako muzyk muszę to robić. Country ma zasadę – śpiewaj o tym, co dotyczy twojego życia. Jedziesz drogą, podoba ci się asfalt, śpiewaj o asfalcie... (ha ha ha). Tu może upraszczam! Ja śpiewam o Jezusie, bo to dotyczy mojego życia. W moim country widzę połączenie dwóch rzeczy: prostego przekazu słownego i muzycznego z nieskomplikowaną harmonią, z tym, co wychodzi z mojego „ja”. Nie chodzi tu też o to, by na siłę coś upraszczać.

**We Wrocławiu wasz zespół jest dość znany. Kiedy go zakładałeś?**

Cztery lata temu, w 1997 roku, powstał po czymś, co wydarzyło się parę lat wcześniej. Przedtem grałem na gitarze basowej w różnych



kościelnych wspólnotach. Spotkałem się też z muzykami grupy Oweyo, choć w tamtym czasie ten zespół jeszcze nie istniał. Z Jackiem Ratajczykiem i Małgosią Samborską nagraliśmy kasetę „pomarańczową” – „Pieśni Jedności Chrześcijan”. Później długo nic się nie działo, a było we mnie pragnienie grania i przekazywania czegoś „swojego”, poznałem wtedy przecież Jezusa Chrystusa.

**Jakie są twoje korzenie duchowe? Czy miałeś, tak jak wielu muzyków z twojego kręgu, kontakt z Odnową w Duchu Świętym?**

Swoje nawrócenie przeżyłem w grupie modlitwnej Hallelujah we Wrocławiu. Tam świadomie przyjąłem Jezusa do swojego życia, powiedziałem Mu – tak! To było 10 lat temu, krótko przed narodzeniem się mojej pierwszej córki. Podobała mi się też muzyka chrześcijańska. Od tego się właściwie zaczęło. Przyptynęła ze Stanów Zjednoczonych. Pierwsze dźwięki... A co to jest? Kto tak fajnie gra? Pierwsze spotkania grup modlitwnych... Cieszę się, że tak się stało.

**Ktoś cię na nie zaprosił?**

Miałem w nich wielu znajomych z Karlowic (dzielnica Wrocławia – przyp.red.), bo te spotkania tam się odbywały. Uczestniczyłem w nich przez kolegów, którzy wiedząc, że gram, mówili: „Piotrze, pomóż nam!”. Na początku uczestniczyłem w spotkaniach jako człowiek niewtajemniczony, niebędący w grupie. I grałem, grałem te piosenki. Wszystko mi się podobało. Cały czas byłem w Kościele, grałem w chórze na kontrabasie. No i nagle sytuacja bardzo poważna, ktoś mi mówi, że mogę Pana Boga o coś poprosić, a On mi to na pewno da. Tak się stało. Poprosiłem o zdrowie mojej córki i mojej żony, i Pan Bóg mi to dał. Musiałem więc uwierzyć, że mam o co prosić i Kogo prosić. Przyjąłem Jezusa i zaczęło się stopniowe wzrastanie. Tak jest do dziś.

**Czy twoi koledzy z zespołu też wywodzą się ze wspólnot charyzmatycznych?**

Z tym jest różnie. Pierwszy skład Halleluja Country Band nie był związany z grupami modlitwymi. Co mnie cieszy, ci ludzie zaczęli uczestniczyć w zespole i zarazem w spotkaniach. Większość z nich też wkrótce przyjął Jezusa do swojego życia. Wtedy nie stanowiło to jednak dla mnie priorytetu, że tylko człowiek nawrócony może grać w zespole. Tak



naprawdę, do dzisiejszego dnia oddaję wszystkie decyzje dotyczące zespołu Panu Bogu. Po czterech latach widzę tego sens, bo chyba tak miało być.

#### **Kto gra w Halleluja Country Band?**

Śpiewa w nim moja żona Mariola Dziemidowicz, Piotrek Siekanowicz – gra na gitarze, Adam Gawliński – na harmonijce ustnej, Andrzej Rajski – na instrumentach klawiszowych, Artur Fedyk – na perkusji, ja – na gitarze basowej i także śpiewam.

#### **Macie w grupie, o ile wiem, prawdziwego lekarza.**

Tak. Piotrek jest chirurgiem dziecięcym. Jak mówię – najlepszy gitarzysta wśród chirurgów i najlepszy chirurg wśród gitarzystów. Pracuje w jednej z klinik we Wrocławiu.

#### **Jak łączy pracę w tak trudnym, pełnym napięcia i odpowiedzialności zawodzie z graniem w zespole?**

Ja nie wiem. Piotrek też nie wie. Mówi zawsze, że jest to świadectwo, że Bóg istnieje. Trudno to zrozumieć, ale on jest w stanie to wszystko połączyć. Czasem Piotrek schodzi z dyżuru, my po niego podjeżdżamy, jedziemy na koncert, wracamy, idzie się wyspać, później znów do pracy... Nasz zespół jest w ogóle zespołem medycznym, bo Mariola jest pielęgniarką, Andrzej – klawiszowiec – sanitariuszem, a perkusista za rok – będzie stomatologiem. Oferujemy pełne usługi – duchowe i fizyczne! (ha ha ha). Leczymy nie tylko piosenkami!

#### **Macie jakieś stałe miejsce spotkań, prób?**

Spotykamy się u perkusisty, w domu. Mamy dość dobre warunki.

#### **Czy gracie bardziej dla przyjemności, czy traktujecie swą działalność jako ewangelizację?**

Od samego początku, gdy przyjmowałem muzyków, mówiłem im, że pierwszą rzeczą jaką będziemy robić w zespole – będziemy głosić chwałę Jezusa Chrystusa! Odpowiadam za siebie, więc nie mogłem liczyć na jedność. O ich obecności decydowała wtedy chęć zagrania w grupie, jazda po Polsce, kilka koncertów, co się zresztą realizowało. Moim priorytetem było jednak zawsze dzielenie się tym, że uwierzyłem w Jezusa. Mniej – nauczanie, bo nie jestem do tego powołany. Po

W takich chwilach wychodzi właśnie to, po co gramy. Pierwsza rzecz, jaką robimy przed koncertem, to modlitwa za tych, przed którymi staniemy na scenie. Tak było w technikum, tak na Przystanku Woodstock (Przystanku Jezus). Później zaczynam od: „Słuchajcie, będę wam opowiadał o tym, co dotyczy mojego życia, co mnie spotkało. Spotkałem Jezusa Chrystusa!” I na „dzień dobry” ja nikomu nie gwarantuję niczego innego, jak tylko muzykę, którą gramy, i szczerze podzielenie się, Kim jest dla mnie Jezus. Tylko To! W technikum graliśmy dość długo, z pół godziny, i nikt na scenie nie wiedział, co się będzie wkrótce działo. Nie wiedziliśmy, czy już mamy skończyć, czy nie. To był bardzo ciężki czas, ale po pół godzinie powiedziałem: „Stop! Teraz będziemy wielbić Pana Boga!” Zagraliśmy trzy pieśni, którymi sami się modliliśmy, nie patrząc, czy ta setka młodych osób ucieknie, czy nie. Wyszły trzy osoby, bo były może zgorzone lub zmęczone tematem, a jakby jeszcze nic się nie zaczęło. Później spotkanie trwało ponad dwie godziny, z rozmowami z ludźmi z sali i nie na zasadzie: „Ale wy jesteście super gwiazdy muzyki!” Nie! Pojawily się pytania typu: „A jak wy sobie radzicie z tym, a z tamtym? Powiedz jeszcze coś o tym”. I to jest świetnie! Zespół wtedy rozumiał, że chciałby takich koncertów jak najwięcej.

#### **Co byłoby, gdyby reakcja na granie była negatywna?**

Powiem krótko – nie czułbym lęku, i nie dlatego, że jestem jakimś tam gigantem duchowym. Ale dlatego, że wiem jak powstała nazwa Halleluja Country Band. Było to w czasie spaceru z moim dzieckiem, kiedy modliłem się o nią, i wiem, że dał mi ją po prostu Pan Bóg. I tu nie chodzi o lewitację! Wiem, że jestem muzykiem i chcę grać dla ludzi. Czuję pewien niepokój, ale wychodzę i gramy. Moi koledzy tak samo. Czuję, że oni są ze mną, że mnie wspierają i modlą się.

**Bariery między zespołem a publiką łamię też chyba w sytuacjach ekstremalnych sama muzyka, którą gracie, bo jak wiem – jest ona wesoła, melodyjna, pełna słońca. Gracie inaczej niż muzycy rockowi, macie inny image na scenie. Ta jej wesołość łatwo trafia do szerokiego kręgu ludzi. Czy na waszych koncertach spotkałeś się kiedyś z agresją publiki?**



Nie, nigdy nie mieliśmy takich sytuacji. My też kształtowaliśmy się przez te lata w tym co robimy. Tego roku mieliśmy szczególnie dużo grania, małe koncerty akustyczne typu: gitara akustyczna, klawisz. Było sporo takich grań po kościołach, nieraz na Eucharystii, po niej 15-20 - minutowe spotkanie z tymi, którzy chcieli jeszcze chwilę zostać. Od stycznia do marca braliśmy udział w około pięćdziesięciu takich spotkaniach. To jest bardzo dużo. Były też duże koncerty. Krystalizował się na nich skład zespołu. Po ostatnich zmianach personalnych wiem, że zespół ma jedną cechę: dużą radość. Cieszymy się, że gramy, to jest dla nas ważne! Kochamy grać. Mamy radosny przekaz. Doszły nam kapelusze! Wymieniamy się nimi na scenie. Zapraszamy na nią ludzi, mogą z nami pośpiewać. Forma koncertu? Dążymy do szybkiej jedności ze słuchaczami. Nie prowadzimy stricte „uwielbienia” (worshipu), bo to robią lepiej inne grupy.

prostu: „zaśpiewam ci piosenkę, która dotyczy mojego życia”.

Przychodzą więc chwile, że jesteście zapraszani, stajecie przed audytorium, jest nim na przykład młodzież z technikum czy szkoły zawodowej. Stajecie oko w oko z ludźmi młodymi, często zbuntowanymi wobec świata, szkoły, rodziców, religii. Co wtedy czujecie?

#### **Powiedziałeś, że zapraszacie ludzi do wspólnej zabawy.**

Tak. Ostatnio mieliśmy właśnie takie przygody w Górze Klasztornej i Wambierzycach, gdzie wyszło to, czego nie robiliśmy wcześniej – improwizowanie pewnych „gadżetów muzycznych”, quizów między piosenkami. Posunęliśmy się nawet do niekontrolowanych sytuacji typu – „w jakiej tonacji to zagramy?”

Mariola  
Dziemidowicz



**Myślę, że zabawa jest naturalnym elementem pewnego typu koncertów. Chrystus też się jej pewnie nie boi i nie chce byśmy szukali Go, Jego obecności przy nas tylko w chwilach smutku i cierpienia. Przez zabawę i towarzyszącą jej radość też może nam coś przekazać. Zgadzasz się?**

Oczywiście. Tak jak mówię, są zespoły przeznaczone do takiej, a inne do innej usługi. My znaleźliśmy wyznaczone sobie miejsce. Jeśli ktoś chce zaprosić zespół na koncert wyłącznie uwielbienia, to nie może być nim Halleluja Country Band. Dlatego zawsze pytam zapraszających – co to ma być? My nadajemy się na spotkania rodzinne w plenerze, festiwalu...

**Powiedz, o czym śpiewacie?**

Pierwsza płyta to dziewięć piosenek, które mówią o różnych sytuacjach. Jest tu np. przypowieść o siewcy, znana z Biblii, historia Hioba w trzech zwrotkach, oczywiście cała nie mogła być w nich zawarta, ale jej sedno: Hiob był twardy i cały czas szedł za Panem Bogiem, ja też chciałbym tak jak on. Inna piosenka „List

Piotra” dotyczy naszego chodzenia po ziemi. Jesteś dzisiaj smutny. Gdzie twoja radość, gdzie ta Dobra Nowina? Raduj się w Panu! Gdzie wiara w Jezusa? Często łapię na tym, że te piosenki dotyczą tak naprawdę mnie, bo pisałem w nich o tym, co czułem. Kolejna – „Aktor” – to jest historia mojego życia sprzed paru lat, kiedy chciałem na siłę być kimś innym niż jestem. I Pan Bóg mi wyraźnie pokazał: „Ty jesteś Piotr. Takim cię stworzyłem, masz takie, a nie inne predyspozycje. Nie chcesz być inny”. To nie są, moim zdaniem, tematy banalne, delikatnie poruszają słuchacza i budzą, mam nadzieję, jego zastanowienie.

**Wszystkie te problemy pokazane są za pomocą prostych, jak powiedzieliś na początku, melodii. Nie boisz się, że ktoś powie, że gracie „sacro-polo”, czyli takie kościelne disco-polo?**

Jestem daleko od disco-polo czy sacro-polo, choć to określenie padło w recenzji płyty. Powiem szczerze: nie piszę muzyki dla muzyków. Mógłbym to robić, ale wtedy musiałbym połamać trochę harmonie. Na to mnie dzisiaj stać, ale nie chcę tego robić. Padło hasło: muzyka prostacka! I O.K.! Ja na to mówię: dobrze! Prawdę mówiąc, mógłbym dać przykład wielu zespołów ze „świata”, które osiągnęły w Polsce sukces, grających jeszcze prościej. Mnie zresztą nie chodzi o sukces. Chciałbym grać z zespołem jak najwięcej. Takie recenzje były i może będą, że muzyka jest prosta, teksty – banalne, źle napisane, tak czy inaczej... Ja się z tym muszę zgodzić, także z tym, że nie mam zamiaru pisać inaczej. Dlaczego? Bo nie chcę oszukiwać dźwiękami, nie chcę robić rzeczy, których nie czuję, a mógłbym je zrobić szkolnie. Mogę zagrać dziś na kontrabasie Beethowena, ale ja go nie czuję.

Myślę, że jest dużo zespołów, które szukają swoich ambicji i nigdy ich nie zrealizują. A mnie chodzi o to, by na nasz koncert przyszła osoba, która powiedzialaby: „przyszłam jeszcze raz, bo fajnie gracie, w tym się dobrze czuję!”.

**Chcesz zatem trafić do jak najszerzej grupy ludzi, niekoniecznie do intelektualistów?**

Dam przykład. Człowiek jadący ciągnikiem, rolnik, nigdy w życiu nie będzie słuchał jazzu, a przedzej posłucha Halleluja Country Band. Dlatego, że on w danej chwili orze pole i chce słuchać czegoś, co mu nie będzie przeszkadzało. Ta muzyka ma duże grono słuchaczy, od małych dzieci, po starsze osoby. Widzę w tym potęgę muzyki. Jest jej tyle, że każdy słucha tego, co czuje, że jest dla niego!

**Gdzie grywacie oprócz szkół średnich: techników i zawodówek?**

Wszędzie, gdzie nas zaproszą. Poprzez kościoły, tyle, że tam gramy w innej formie, poprzez koncerty na festiwalach typu Przystanek Jezus. Graliśmy trzy razy na święcie winobrania w Zielonej Górze. Wtedy wspólnota wystawiają scenę „Jezus Żyje”. Gramy na niej parę godzin. To wspaniałe, bo my przez to utwierdzamy się w tym, co robimy, mamy możliwość opowiedzenia innym za Kim w życiu idziemy. Sytuacja tam jest taka, że jest to ulica, tu ludzie mniej lub bardziej pijani, tam trzeźwi, ale nie ma znajomych, nie ma większości chrześcijan.

**Jakiś szczególnie koncert, który utwił wam w pamięci...**

My wszystkie koncerty traktujemy bardzo poważnie, ich stronę muzyczną i duchową. Była historia, o której chciałem zapomnieć, ale chyba nie będę mógł. To było w tym roku, tuż po świętach wielkanocnych. Graliśmy niedaleko Wrocławia w małej wiosce obok Dzierżoniowa – Piławie Górnej. Chyba jeden z najpiękniejszych koncertów. Graliśmy długo, przekazaliśmy to, co mieliśmy przekazać. Później dużo rozmów z uczestnikami, zdjęcia, uściski dłoni. Godzinę później wielka tragedia, w płonącym domu ginie trójka dzieci, która była na naszym koncercie. Poparzeni rodzice! Dziś są różne wersje przyczyn pożaru. Jedna z nich mówi, że został podpalony. Wielkie przeżycie dla całej wsi. Dwie godziny po wielkiej radości, po uwielbieniu Jezusa ludzie tracą wszystko. Dom to jeszcze nic, ginie cała rodzina, dzieci na oczach rodziców. Dla mnie osobiście było to przeżycie doświadczenia różnych stron naszego bycia tu na ziemi, w krótkim czasie, poprzez wielką radość – do żałowania. Wspomnienie rodziców, którym zginęły dzieci. Słów, które padały ze sceny, naszych i księdza proboszcza: „nie znamy dnia ani godziny, musimy być gotowi na przyjście Pana”. Nabraly one nowego wyrazu... Pokazała się strona rzeczywistości, która mówi, że szatan jest, że jest i cały czas próbuje zrobić wszystko, byśmy nie mieli zaufania do Pana Boga.

**Jaki wpływ miało to wydarzenie na odbiór was i waszej muzyki przez wieś?**

Dla nas to było żałowanie. Wszyscy stwierdziliśmy, że nie będziemy już dalej grać. Nie dotknęło to mojej trójki dzieci, ale dzieci, które słuchały nas. Ja nie mówię, że Halleluja Country Band jest w taki sposób atakowany, każdy ma jakieś problemy i jest atakowany przez szatana, aby tylko zgrzeszyć. Nasza decyzja była krótka: nie gramy!

**W tej miejscowości, czy w ogóle?**

Tam – to było oczywiste, że nie, ale w ogóle chcieliśmy zawiesić działanie zespołu.

**Dlaczego?**

Bo uważaliśmy, że to dla nas zbyt duże obciążenie po tym, co zobaczyliśmy. To co się wydarzyło było dla nas po prostu szokiem. Dziś widzimy to inaczej, ale wtedy doszły doznania wizualne, emocje... Parę dni nie mogliśmy ze sobą rozmawiać, zwłaszcza na ten temat, nie widywaliśmy się.

**Modliliście się za tych, którzy zginęli?**

To było już na Mszy następnego dnia, na którą przyszła cała miejscowość. Połowa osób nie mogła zrozumieć, co się dzieje. Ksiądz przez 15 minut nie mógł rozpocząć Eucharystii, płakał razem z tymi, którzy wiedzieli, co się wydarzyło. Zapamiętamy te chwile bardzo długo.

**Zespół gra jednak dalej. Powiedz jeszcze kilka słów o waszej płycie.**

Pojawiła się ona jakieś dwa lata temu. Jest to nasza pierwsza i jedyna na razie płyta.

**Gdzie ją można nabyć?**

Do niedawna była dostępna tylko u nas. Sprzedawaliśmy ją najczęściej po koncertach albo w sprzedaży wysyłkowej. Od niedawna sprzedają ją również firma Paganini.

**Czy chcecie wejść szerzej na rynek chrześcijański?**

Mamy plany nagrania drugiej płyty i myślę, że już niebawem uda się to zrealizować. Chcielibyśmy znaleźć osoby czy firmy, które mogłyby nam pomóc. Sami nie ze wszystkim dajemy radę.

**Co szczególnego chciałbyś na koniec przekazać czytelnikom pisma RuAH?**

Życzę im wiele radości w Chrystusie, naszym Panu i proszę o modlitwę za nasz zespół.



# list od czytelnika

Halleluja  
COUNTRY  
Band

koncert  
w szkole

Szkoła, wielki kocioł. Zawodówka, technikum pozawodowe, technikumienne, liceum - w jednym gmachu. Przerwy to walka żywiołów. Niekiedy dosłownie wrze, czasami również i w czasie lekcji. W tej szkole jest wszystko: „spady”, „opady”, „spadochroniarze”, ładne i grzeczne licealistki, ale również wojowniczo wykrzykujący szalikowcy, a nawet zagorzali wyznawcy Hitlera. Młodzież, jak wszędzie, szukająca za wszelką cenę przynależności, tożsamości, grupy.

Zaprosiliśmy tu Piotra wraz z zespołem. Miał im mówić o Jezusie, o miłości Bożej, o tym, dlaczego wierzy. Miał otwarcie wyznać swoją wiarę. Zgodził się przyjechać. Czy spotkanie wypali, czy wszystko raczej nie eksploduje? Prosiłem o modlitwę wielu ludzi, sam modliłem się bardzo dużo. Boże tylko Twoja łaska, tylko Twoja moc może sprawić cud. Mówić publicznie o Bogu do młodzieży - bez żadnych podchodów, bez żadnych podjazdów - to wcale nie takie łatwe. Przecież oni przede wszystkim myślą o rajdach, meczach, seksie, miłości, alkoholu, pieniądzach, tylko trochę o szkole. Tak przynajmniej z zewnątrz - można by ich ocenić. Czy więc przyjmą Ewangelię z ust muzyka, pielęgniarza, lekarza, maturzysty - ich rówieśnika? Warto jednak zaryzykować... Warto również stanąć z boku, by spojrzeć na już za moment mającą się dokonać konfrontację.

Pierwszy kontakt z młodzieżą. „Janusz, to zupełnie nie te klimaty!” - rzucił w moim kierunku Piotr. Może się przestraszył, chciał jechać do domu, zdezerterować? Co mogłem odpowiedzieć?... Powitali ich krzykiem i śmiechem. Niewielu okazywało choćby najmniejsze oznaki zainteresowania. O tak, śpiewać w kościółku podczas mszy, to chyba nie jest trudne. Modlić się śpiewem nawet na dużych koncertach chrześcijańskich, to także pewnie nie najtrudniejsze. Pokaż teraz, co jesteś wart! Tu nie okłamiesz ani siebie, ani ich. Tu masz najlepszą okazję, by sprawdzić, ile warta jest twoja wiara, twoja Ewangelia.

W końcu jednak zaczęło się. Wzajemne „badanie gruntu”, badanie „przeciwnika”. Kim są ci po drugiej stronie? Pierwsze pół godziny to taka przepychanka - odbijanie piłeczki. Jak ich wszystkich ogarnąć, jak trafić do sere? Co zrobić, by się otworzyli? Współ z kolegą - Jarkiem Staszewskim, który przyjechał do szkoły specjalnie na koncert, mogliśmy się jedynie modlić... Boże, spraw cud! Boże, zeslij Twój Duch!

I tak naprawdę się stało. Nie wiem jak, ale stało się. Młodzież wymiękła. Wszyscy byliśmy tego świadkami. Powoli rodziło się wzajemne zaufanie, wzajemna radość. Ludzie wstali z miejsc, już nie po to, aby szydzić, drwić, wyśmiewać, lecz po to, aby wspólnie wielbić Boga. Widziałem poruszone twarze, twarze pełne radości, ale również smutku, może z powodu wcześniejszego życia, wcześniejszej postawy. Może ktoś otwierał się na Bożą łaskę, na Jezusa. Ktoś inny usilnie starał się ukryć swoje wzruszenie i łzy. Byle koledzy nie zauważyli, byle nikt nie spostrzegł! Trzeba grać twardziela do końca.

Jednak spodobała im się Ewangelia, zadziwiła. Piotr mówił im prawdę. Życie nie kończy się piaskiem. Bóg jest. Warto być po Jego stronie, warto się za Nim opowiedzieć.

Nikt nie spodziewał się, że będzie aż tak dobrze. Po koncercie nie chcieli wychodzić. Wielu zostało, by jak najdłużej „zatrzymać czas”, trwać w „klimacie Bożego Ducha”. Zostali, by zadać jak najwięcej pytań członkom zespołu, pytać aż do nasycenia, pytać o Jezusa, o wiarę, o nich samych. Teraz można już bezpośrednio, można „przyjrzeć się z bliska”, „dotknąć”. Kim są? W ich ustach słowo Jezus jest jakies inne, prawdziwe, żywe, czułe, bliskie. Postawili w życiu na Jezusa, zaryzykowali... Oplaciło się. Koncertują nie po to, by robić kasiorę. Twierdzą, że wciąż powstają nowe przestrzenie, puste obszary, które trzeba zapełnić Ewangelią.

Dziamdziaka - Piotra Dziemidowicza - lidera zespołu, wokalistę i gitarzystę

poznałem kilka lat temu. Dał się wówczas pierwszy raz zaprosić wraz z zespołem na taką zabawę dechami wiochę. Zagrali koncert dosłownie dla kilkunastu osób. Przyszło kilka babć, kilku licealistów, kilku dorosłych. Do całej imprezy dokładali swoje złotówki. Bóg im to szczerze wynagrodził. Na festiwalu „Ad Gloriam Dei” w Kielcach zdobyli pierwszą nagrodę! Podobnie we Wrocławiu na „Sacrosongu” i w Górze Klasztornej, podczas „Marii Carmen”... Udział w Festiwalu w Żywcu przyniósł im III nagrodę.

Dziamdziak to taki prawdziwy typowy „dziamdziak”, ale na scenie głosi swoje orędzie z wielką ekspresją: spojrzeniami, tańcem, gestami, słowem - całym sobą. Mariola, żona Piotra, wokalistka zespołu, pracuje jako pielęgniarka. Naprawdę przymiło było słyszeć jak podczas koncertu Piotr wyznawał z autentycznym i szczerym uśmiechem, że „jest to dziewczyna, za którą szaleje od wielu lat”. W zespole jest również drugi Piotr. Piotr Siekanowicz - gitarzysta, z zawodu lekarz, chirurg dziecięcy. Powiedział do młodzieży: „Nie wiem, dlaczego niektóre z operowanych dzieci wracają do zdrowia, inne umierają, wiem natomiast na pewno, że ponad moją ręką i skalpelem jest jeszcze Inna Siła, Inna Ręka, Jest Bóg, który wszystkim kieruje, wszystko prowadzi”. Przesympatyczny Adaś Gowliński - harmonijka ustna, ojciec czworga dzieci. Szczerze przyznaje, że „woli uśmiech od smutnej twarzy”. Trzeci z kolei Piotr, Piotr Madejek - perkusista. Jego największą pasją jest gra na bębnach. Maciej Prokopowicz - instrumenty klawiszowe. Dla jego jednego pieniądze znaczą w życiu najwięcej. Bowiem tym, co kocha najgoręcej, to „posiadanie kilku niezłych samochodów”, z tym że wielkości... maksymalnie 2 cm.

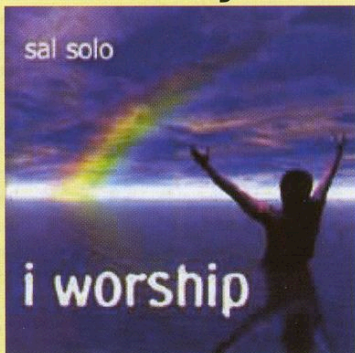
Zespół Halleluja Country Band założyli w czerwcu 1997. Grali już po kilku miesiącach wspólnych prób. Na koncertach wykonują znane i lubiane pieśni uwielbienia, a także kompozycje własne, których stylistyka nawiązuje do tradycji country, rocka i rock&rolla. Grają w kościołach, na spotkaniach młodzieżowych, koncertach ewangelizacyjnych, ewangelizacjach ulicznych, rekolekcjach adwentowych i wielkopostnych. Istnienie zespołu Halleluja Country Band to wyraz ich głębokiej wiary i potrzeby dzielenia się własnym, osobistym doświadczeniem Boga. „Wiemy i czujemy” - mówią sami o sobie - „muzyka pomaga w nawiązywaniu kontaktów, pogłębia siłę przebiccia, pozwala na szczególne przeżywanie głoszonej idei. Dlatego właśnie modlimy się śpiewając i grając na chwałę Pana, nieustannie odnajdując w dźwiękach nowe sposoby wyrażania miłości do Jezusa Chrystusa. Świadomość duchowej jedności między odbiorcami naszej muzyki miłość tę jeszcze dopełnia, dając poczucie szczęścia. Gramy więc jak najczęściej i jak najlepiej”.

Niech Jezus będzie uwielbiony!

Janusz Woroniecki



# recenzje



**SAL SOLO**  
"I worship"

płyta / Misja 3:16 2001

Pamiętam, jechałem kiedyś tramwajem i słuchałem (po raz pierwszy) remiksów Tymoteusza. Gdy przez słuchawki sączyły się słowa „Baruch ata, Adonai”, nagle poczułem, że z oczu płyną mi łzy. Głupia sytuacja, odwróciłem się zawstydzony do szyby. Słowa chwały poruszyły mnie do głębi, a tramwaj stał się Namiotem Spotkania, w którym Bóg otwierał me serce na swą bliskość.

Podobny efekt wywołała tytułowa piosenka Sala Solo z płyty „I worship”. Dotknęła mnie i sprawiła, że znów mimowolnie zacząłem całym sercem wielbić Jedyne Boga... A o to przecież chodziło artyście! Chyba nieprzypadkowo stałym elementem jego okładek są wzniezione dłonie! Bo to esencja uwielbienia.

„I worship” to pierwszy „amerykański” album Sala (pierwszy od czasu gdy muzyk osiadł w Stanach). Jest to także jego pierwszy album, który wypełniony jest w całości pieśniami wielbienia. Niektóre świetnie znane są Polakom. „Pan wywyższony” czy „Chcę wywyższać Imię Twe” (skąd ja to znam?) to stały repertuar grup modlitewnych między Odrą a Bugiem.

Płyta zawiera zarówno głębokie, subtelne piosenki jak i utwory głośnie i pełne ostrych brzmień (drapieżne riffy gitarowe). To nowa szata muzyki uwielbienia początku III Tysiąclecia. Jest wiele elektroniki. I mocny (a czasem niezwykle subtelny) głos wokalisty śp. Classix Nouveaux. Na płycie znajdują się także polskie akcenty. Sal Solo śpiewa angielsko-polską wersję utworu „Glorify the Lord” w duecie z Grzegorzem Kopałą (ex Just 5), a krążek kończy remix przygotowany przez 3miela.

Piękna płyta! Szczególnie zachwycił mnie tytułowy „I worship”. To pełen oddechu utwór, w którym język ludzi miesza się z językiem aniołów. „Každy język odda Tobie chwałę” – delikatnie śpiewa towarzyszący Salowi chórek, a pieśń kończy pełna harmonii glosolalia.

Nigdy nie zatrzymywałem się przy takiej muzyce. Pełen pychy śmiałem się: „papak, pop, Klimaty UB 40, new romantic”. Nową płytę Sala też ocenilem na podstawie okładki: zbyt nachalnie widać ingerencję komputera. „Taka będzie płyta – pomyślałem – sztuczna, elektroniczna, z komputera”. O, jak bardzo się pomyliłem! Jest inaczej: album jest piękny, skromny, zaaranżowany bez przepychu. Przepetniony uwielbieniem. Teraz widzę, że Bóg potrafi przemienić na swą chwałę wszystko (nawet moje muzyczne gusta). Nie ma dla mnie znaczenia, że Sal to „stawny facet”, przy którego piosenkach bawiłem się w podstawówce. Ważne jest to, co robi teraz. A robi piękne rzeczy. PS. Płyta kosztuje niecałe 30 zł. To również ukłonił się Sala w kierunku słuchaczy mieszkających w „kraju pięknym, żyznym, a już nie bogatym...”

(jakimowicz solo)



**ETNA**  
„Na Syjon”

płyta, kaseła / Etna 2001

Reggae pulsuje pod krzyżackim zamkiem... Takie wieści nadchodzą z Malborka. Wszystko za przyczyną młodej rockowej grupy Etna. Właśnie nagrała swój debiutancki album „Na Syjon”. Wiele ludzi zajmujących się krajowym rynkiem muzyki chrześcijańskiej okrzyknęło ten album nadzieją nowego roku!

To solidne, korzenne, pulsujące reggae. Zresztą wiele mówi sama okładka: tuż po tytule umieszczono słowną kompilację: Anti Babilon Ska Roots Reggae Music. Po co pisać więcej?

Znajdziemy tu echa Izraela, a nawet rewelacyjnego gliwickiego R.A.P. - u. To nie tylko odkrycie rynku muzyki chrześcijańskiej, ale i krajowej sceny „regalowej”! Czytelnicy RUaH już dwukrotnie mieli okazję poznać kapelę: na jednej z dołączonych do kwartalnika płyt znalazła się piosenka „Na Syjon” (zagrana na żywo!), na innej - utwór „Prawda”.

Teksty śpiewane po polsku i po angielsku kurczowo trzymają się Pisma Świętego. Ich autor - Jahrek Pacanek wyznaje: „Bo kiedy trzymam się Twojej dłoni, czuję się bezpiecznie; kiedy trzymam się Twoich oczu, wiem już, że nie zbłądzą”.

Zastanawia symbolika okładki. Na pierwszy rzut oka: tradycyjne rastamańskie znaki, wizerunki, kolory. A jednak... Wizerunek lwa nie symbolizuje już Haile Selassie I, ale „Lwa z pokolenia Judy”...

W maju 2000 roku zespół otrzymał główną nagrodę Grand Prix festiwalu „Kerygmat” w Kwidzynie, a miesiąc później takie same wyróżnienie przyznało jej jury gdańskiego festiwalu „Młodzi i Miłość”. To bardzo pomogło młodziutkiej grupie. Wystąpiła niebawem na największym festiwalu chrześcijańskim w Europie środkowowschodniej, na toruńskim Song of Songs. Została tam ciepło przyjęta, a tłum ludzi długo kotłował się przy dźwiękach Etny.

(jak)



**OLA MAURER**

„Stóp paryskich 669”

płyta / KIM 2001

Jeśli ma się tak piękny i subtelny głos jak Ola Maurer, grzechem byłoby nie nagrywać płyt... Do Piwnicy pod Baranami zaprosił ją 30 lat temu Zygmunt Konieczny i Piotr Skrzynecki. Spotkali się w Salle de Lecture Francaise przy ul. Sw. Jana w Krakowie na balu studentów romanistyki UJ. Podczas balu Aleksandra Maurer zaśpiewała tak pięknie w języku Francois Villona, że piwniczny Maestro nie omieszkiał zapytać jej o miejsce pochodzenia. Potem już zawsze śmiał się, że w Starym Sączu, skąd pochodzi artystka, wszyscy mówią po francusku.

„Aleksandra Maurer, od poniedziałku do piątku - filolog romański, tłumacz, lektor i guwernantka języka francuskiego, w sobotę i od święta - pieśniarka, artystka kabaretowa” - dopowiadają piwniczni przyjaciele. Występowała z Markiem Grechutą i zespołem Anawa, nagrywała muzykę filmową skomponowaną przez Zygmunta Koniecznego, Jana Kantego Pawłuskiewicza i Jacka Ostaszewskiego.

Właśnie ukazała się jej pierwsza solowa płyta „Stóp paryskich 669 - w hołdzie Miastu K”. To wybór kilkunastu pieśni z jej bogatego repertuaru. Album rozpoczyna historyczny opis Krakowa Ambrożego Grabowskiego (z 1865 roku!). Ten wzruszający utwór nagrał nieżyjący już Krzysztof Litwin. W tle słychać bijące stare serce dzwonu Zygmunta. Obowiązkowa lektura dla wszystkich Krakusów! „Miasto Kraków nad poziom morza wznieśli stóp paryskich 669...”

A dalej? Jest pięknie wyszeptana piosenka „Nie ma nas”, piwnicznego barda Leszka Długosza. Długosz zaśpiewał ją kilkanaście lat temu cichutko, delikatnie i subtelnie, ale to, co z tą piosenką zrobiła Maurer jest prawdziwym mistrzostwem świata! To jeden z niewielu przypadków, kiedy piosenka zaśpiewana jest piękniej od oryginalnego wykonania. Czapki z głów...

Jest też piosenka „Takiej miłości” z płyty „Krajobraz pełen nadziei” krakowianina (a jakże!) Marka Grechuty. I piosenki, które „przyłgnęły” do repertuaru Oli Maurer na stałe: „Szewczyk” do słów Leśmiana oraz „Matka Boska Częstochowska” Lechonia, także „Pieśń kochanków” Stanisława Balińskiego ze znakomitą muzyką Stanisława Radwana.

(jak)

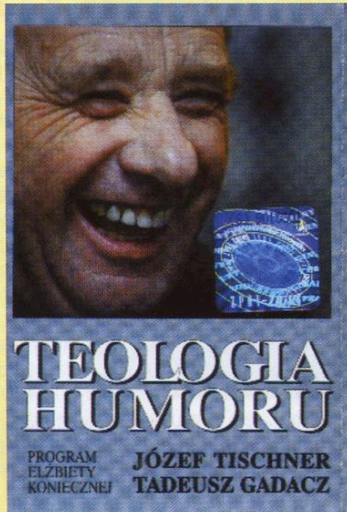


**MICHAEL**  
„Aniele mój”

płyta, kaseeta / Michael 2001

Michael, czyli „Któż jak Bóg”, to imię Księcia Archaniołów i... nazwa zespołu muzycznego Wyższego Seminarium Duchownego Księży Michalitów w Krakowie. Zespół kleryków wraz z chórem Voce Dei składa muzyczne świadectwo osobistego obcowania z Aniołami, dziękczynienie niebieskim duchom za ich nieustanną opiekę i modlitwę. Materiał muzyczny jest dosyć monotony i jednorodny – solistom i chórowi towarzyszy zespół instrumentalny złożony z gitar, basu, klawiszów, perkusji (tutaj słynny „pałkarz” – Jan Budziaszek). Piosenki Michaela są bardzo pogodne i proste, wpadające w ucho, czyli idealne dla wszystkich, którzy lubią śpiewać na chwałę Bożą, a nie zostali obdarzeni wybitnymi zdolnościami muzycznymi. Oprócz autorskich piosenek płyta zawiera również takie wspólnotowe przeboje jak „Tobie chór Aniołów”, „Święte imię Jezus” czy „Odpocznienie”. Niestety, aranżacje nie wprowadzają żadnych innowacji. Jedyne kompozycje, które mnie zainteresowały, to otwierający płytę „Święty Michale Archaniele”, „Ziarno gorczycy” z hiszpańskimi rytmami i uroczą parafrazą modlitwy Aniele Boży pt. „Do Anioła Stróża”, gdzie soliście akompaniuje fortepian i cichutko wtóruje chór. Właściwie materiał ten nie różni się zbytnio od innych płyt z muzyką religijną, miejscami linie melodyczne zahaczają o banał i zbliżają się, niestety, do nurtu „sacro-polo”. Jednak wszyscy wielbiciele tradycyjnej piosenki oazowej z pewnością zachwycą się produkcją, gdyż nie brakuje jej zaangażowania emocjonalnego wokalistów, których ciepłe, delikatne głosy są niewątpliwą ozdobą utworów. „Aniele mój” to świetny materiał dla animatorów muzycznych różnych grup parafialnych, którzy poszukują nowych pieśni uwielbienia; dla wszystkich, dla których muzyka to jeden ze sposobów wielbienia Pana.

Magda Kremiec

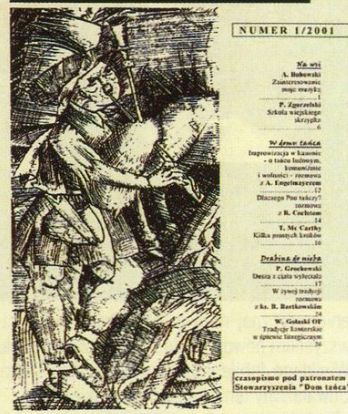


**KS. JÓZEF TISCHNER**  
**TADEUSZ GADACZ**  
„Teologia humoru”

kaseeta / Polskie Radio Kraków 2001

Czy Pan Bóg ma poczucie humoru? Jasne, że tak! – zapewniają autorzy materiału. Był upalny wieczór 28 czerwca, dokładnie sześć lat przed datą śmierci ks. Józefa Tischnera. Krakowska „Piwnica pod Ogródkiem” nie była w stanie pomieścić gości, którzy szczerze wypełnili każdy wolny kąt i stali przyklejeni do ścian. Upał był nieznośny, ale nikt nie wychodził. Niekończące się wybuchy śmiechu rozsadzały ściany. Dlaczego? Bo w środku trwała debata o... humorze w teologii. Przeważnie anegdoty (najczęściej z własnego życia!) opowiadali ks. Józef Tischner i Tadeusz Gadacz. Zapis tego niecodziennego, prowadzonego przez Elżbietę Konieczną, spotkania ukazał się właśnie na kasecie „Teologia humoru”. Program z miejsca stał się bestsellerem, a tysiące ludzi zaczęło słuchać o tym, że Pan Bóg ma poczucie humoru. Audycja się nie zestarzała. Po siedmiu latach doskonale słucha się błyskotliwych odpowiedzi ks. Tischnera – wybitnego filozofa, człowieka obdarzonego przez Boga ścią boskim poczuciem humoru, lotnym dowcipem i zdolnością natychmiastowej celnej riposty. (jak)

## wędrowiec



Z dużą satysfakcją pragnę donieść, że ukazał się pierwszy numer pisma „Wędrowiec”. Każdy, kto interesuje się w Polsce folkiem czuł brak pisma, które pokazywałoby korzenie dawnych melodii, pieśni, instrumentów. Które mówiłyby o ludziach grających jeszcze tę dawną muzykę, a także o tych, którzy tradycję odczytują dzisiaj dla siebie, z całym jednak dla niej szacunkiem. Obok „Gadek z Chatki”, „Folk Zinu” czy monograficznych numerów „Czasu Kultury” jest to więc kolejny, bardzo potrzebny głos w sprawie muzyki wyrastającej z kultury polskiej wsi. Jest to jednak pismo inne od pozostałych: wydawane pod patronatem Stowarzyszenia „Dom Tańca” z Warszawy wyróżnia się całościowym podejściem do tradycji. Jest ona bowiem nośnikiem wielu żywotnych treści. Jakich? – przekonać się można czytając pismo. Znajdziemy tu opowieści wiejskiego skrzypka i szkic dotyczący muzyki skrzypcowej na wsi. Kilka wypowiedzi dotyczących tańca tradycyjnego na Węgrzech, we Francji i Irlandii. Znajdziemy również esej o ludowej wizji życia po śmierci. Dwa teksty poświęcone są muzyce religijnej. Redakcja „Wędrowca” zdecydowała się na przedruk z „Brulionu” wielce interesującego wywiadu ze zmarłym w 1998 roku ks. Bolesławem Bartkowskim, głównym specjalistą od tradycyjnego śpiewu ludowego w polskim kościele. Natomiast o. Wojciech Gołaski OP opisuje dawną rolę kantora w śpiewie liturgicznym. Jak na pierwszy numer zawartość to wielce obiecująca! A króciutki wstępniak, który przytoczę poniżej w całości, idealnie odzwierciedla intencje redakcji, która poruszając tematy wielce ważne, stroni od nadmiernej powagi i patosu: *Wszelki duch Pana Boga chwali!* Wędrowiec to jeszcze dziecko. Jeśli Ci drogie Czytelniku tematy pierwszego numeru, zapraszamy do wspólnej zabawy i pracy, tak by wychować razem czasopismo mądre, ciekawe świata, czasopismo, które pyta o rzeczy istotne, a pytać znaczy: szukać, doświadczać, stać o coś i odpowiadać, bo „oczy Pana zawsze na ubogiego patrz; powieki oczu Jego pytają synów ludzkich.”

Jakub Żmudziński



Na początku był Chama!... Znany w śląskim świecie muzycznym chorowski zespół, w którym pierwsze skrzypce grali: Agnieszka Sławińska i jej brat Dominik. To ciekawostka, bo w rzeczywistości nie grali na żadnych skrzypcach! Agnieszka śpiewała piosenki wychwalające Pana, a towarzyszył jej pulsujący bas Dominika, wówczas studenta katowickiej Akademii Muzycznej (tak, tak, tej słynnej, którą pokonczyli Pospieszalscy, Szczeciński, Sojki i inne Tie Breaki). Potem zespół „przeorganizował” się i stał się grupą Damps (od angielskiego: *tłumiki*). Niewiele osób poznało to, jakby trochę przytłumione, nowe muzyczne zdarzenie. Za to trzecią odsłonę grupy – zarejestrowaną na płycie „Jest nadzieja” – poznało o wiele więcej słuchaczy. Wydał ją zespół o

enigmatycznej nazwie: KKO Project. Album był urodzinowym darem Ruchu Światło-Życie dla Ojca Świętego. Na krążek złożyły się przede wszystkim nowoczesne i bogato zaaranżowane „piosenki przewodnie” ostatnich dziesięciu lat przygotowań Ruchu Światło-Życie do obchodów Wielkiego Jubileuszu Roku 2000. „Przy takim jazuującym wykonaniu nawet dziwaczna melodia piosenki *W Świętych znakach* potrafi rozkołysać”. Chwaliliśmy ten projekt przed rokiem.

„Do czterech razy sztuka!” – jak mawiają starożytni Indianie... Nadszedł czas na J.E.G.O. Band. Zespół powstał jesienią 2000 roku. Co łączy go z pozostałymi projektami? Sławińscy! To rozmaite wynurzenia artystyczne tej samej rodziny! I choć niektórzy zmienili przez lata stan cywilny i podpisują się innym nazwiskiem, to jednak jest to cały czas ta sama muzykująca rodzina. Dominik czynnie uczestniczy w pracy diecezjalnej diakonii ewangelizacji. Raz na jakiś czas ich szef – ks. Adam Pradela – porwuje ich na różnorakie akcje i rekolacje. Grają wtedy dla Pana, śpiewają pieśni chwały i opowiadają o tym, jak Jezus zmienia ich życie. Nawet kiedy rozmawialiśmy ostatnio, Dominik spieszył się, by głosić Ewangelię dla kandydatów do bierzmowania w Katowicach. Zresztą głoszenie Dobrej Nowiny jest wpisane w nazwę zespołu. To nie tylko JEGO (Boga!) Band, to również skrót. „Wymyśliła go nasza mama – z błyskiem w oku opowiada rodzeństwo – a rozszyfrowany tytuł znaczy: Jego Ewangelię Głosić Obiecujemy”. To zobowiązująca dewiza. Zespół przekonuje się o tym na każdym kroku. „Już zaczynają się schodki...” – śmieje się Agnieszka. To prawdziwie rodzinna grupa. Śpiewa Agnieszka Rusinowska (kiedyś Sławińska), na instrumentach klawiszowych gra jej mąż Marek Rusinowski (przed kilku laty mocno związany z gliwickim zespołem Oremus), na basie – Dominik Sławiński, na instrumentach perkusyjnych – jego brat Patryk, a za perkusją siadł Witek Wilk. Anna Noworzyn, która śpiewa w chórkach, nie należy na razie do rodziny. Piszę na razie, bo – tu wyjaśniam sekret – to narzeczona Dominika i w przyszłym roku sprawi, że nazwisko „Sławińscy” pojawi się po raz kolejny w „spisie lokatorów” grupy.

Co można napisać o muzyce zespołu? Przede wszystkim to, że piosenki zahaczają o amerykańskie soulowe granie, nie stronią od jazzujących klimatów (świetny muzyczny warsztat!) i – jak mawia Agnieszka – „porządnego”, opartego na podkładzie klawiszy, popu. Zresztą posłuchajcie sami. Ich wpadająca w ucho piosenka „Niespokojne jest serce człowieka” dołączona jest do RUaH-owej płyty.

(jak)

## „Ten, który został na roli” – pisane w Dzień Zaduszny 2001



★ ZAPISNIK ★  
Tośki Krzysztoń

Nie zapomnę Jasia.

Mieszkał w małej wiosce. Gdy go poznałam miał chyba 15 lat.

Mała góralska osada – pięć chałup na krzyż i kapliczka położona na niewielkiej polanie. Dookoła tylko lasy – stare, wielkie drzewa. Sarny i dziki pochodziły pod domy. – Jedno z bardziej niezwykłych miejsc, do którego, z różnych względów, trudno mi powrócić.

W wiosce trzech młodzieńców, duże panny, trochę drobnych dzieci. Reszta – rodzice, dziadkowie, ciotki, wujkowie.

Na zimówki i wakacje przyjeżdżali ludzie z wielkiego miasta. Jakiś lekarz, profesor, studenci - niewielka grupa.

Jaś – bystrzak, chłonny wiedzy, otwarty, usłużny, ładny.

Wszyscy Go lubili – taki z przyjaznym błyskiem w oczach.

Przyjeźdni przywozili Mu książki, a nawet w ciągu roku przysyłali opasłe tomy, które Jaś podobno polykał błyskawicznie.

Czuło się, że w Jego sercu rośnie wielka tęsknota za światem. Był jednak jedynym synem, i tym, który miał zostać na roli. Gdy po raz kolejny odwiedziłam te strony, zauważyłam zmianę – spochmurniał. Przestał czytać.

Za to całymi dniami jeździł jak wariat na motorze, który dostał od rodziców.

Pewnego dnia z jednej strony wioski wyruszył chłopak na motorze. Z drugiej wyjechał Jaś.

Wpadli na siebie w środku osady.

Jaś zginął na miejscu.

PS. Skąd tak naprawdę mogę wiedzieć, dlaczego zniknęło światło z oczu Jasia.

Niedawno spotkałam starego znajomego. Mówił długo o swojej idei pomocy dzieciom ze wsi.

I wtedy zobaczyłam Jasia jak patrzył spod swojej jasnej grzywki.

Pozdrawiam Was serdecznie.

To, co piszę, jest oczywiście tylko jakąś cząstką tego, co stało się naprawdę.

Tośka

fol. Kuba



40+30/70  
**GOOD RELIGION**  
 DOROTA MIELCAREK  
 & HABARI NJEMA  
**NOWE JERUSALEM**  
 J.E.G.O. BAND  
 SAL SOLO & GRZEGORZ KOPALA  
 NOVA GAUDIA Leopold Twardowski  
 & Julia Rosińska-Kopala  
**EWA URYGA**  
**AMENBEND**  
**DEUS MEUS**  
**ZUZIA IWANŃKA**  
**MAGDA ANIOŁ**  
**CHILI MY**  
**HALLELUJA COUNTRY BAND**  
**BONUS: NA GÓRZE**

ściezka CDrom:  
 Prezentacja gry komputerowej  
 „Ja jestem” z muzyką  
 Roberta Friedricha  
 w wykonaniu zespołu  
**ARKA NOEGO** ....

Płyta dołączona do 17 numeru kwartalnika RUaH (17/2001)

## wypłyn na głębie

1. 40+30/70 - „Śpiewajcie Nową Pieśń” /2:59
2. GOOD RELIGION - „Obudź mnie” /4:17
3. DOROTA MIELCAREK & HABARI NJEMA - „Habari Njema” /3:42
4. NOWE JERUSALEM - „E.T.” /5:56
5. J.E.G.O. BAND - „Niespokojne jest serce człowieka” /5:14
6. SAL SOLO & GRZEGORZ KOPALA - „Glorify the Lord” /4:44
7. NOVA GAUDIA Leopold Twardowski & Julia Rosińska-Kopala - „Wypłyn na głębie” /3:56
8. EWA URYGA - „Miłością jest Jezus Pan” /4:12
9. AMENBEND - „Psalm 100” /3:21
10. DEUS MEUS - „A Słowo Ciałem stało się” /4:11
11. ZUZIA IWANŃKA - „Znów nadchodzą Święta” /3:25
12. MAGDA ANIOŁ - „Aniele Boży, Stróżu mój” /3:08
13. CHILI MY - „Niedzielny przelot” /3:41
14. HALLELUJA COUNTRY BAND - „Siewca” /3:07
15. BONUS: NA GÓRZE - „Re generacja” /3:25
16. Prezentacja gry komputerowej „Ja jestem” z muzyką Roberta Friedricha w wykonaniu zespołu ARKA NOEGO /12:00



Wydawca płyty:  
**paganini** s.c.  
 31-135 Kraków, ul. Batorego 25/11  
 tel./fax: 012-623 71 81  
 e-mail: firma@paganini.com.pl  
[www.ruah.pl](http://www.ruah.pl)

**lista**  
**ruah.pl**

Głosuj na piosenki z naszej listy!  
 Głosowanie odbywa się w internecie oraz na kuponach dołączonych do RUaH, miesięcznika LIST oraz dwutygodnika NIEDZIELA MŁODYCH.

Projekt graficzny: Grzegorz Kaczmarek

## wypłyn na głębie

1. 40+30/70 - „Śpiewajcie Nową Piosn' /2:59
2. GOOD RELIGION - „Obudz mnie' /4:17
3. DOROTA MIELCAREK & HABARI NIEMA - „Habari Njema' /3:42
4. NOWE JERUSALEM - „E.T.' /5:56
5. J.E.G.O. BAND - „Niespokojne jest serce czlowieka' /5:14
6. BAL SOLO & GRZEGORZ KOPALA - „Glorify the Lord' /4:44
7. ROMA GAUDIA Leopold Twardowski & Julia Rosinska-Kopala - „Wypłyn na głębie' /3:56
8. EWA OSTYA - „Miłoscia jest Jezus Pan' /4:12
9. AMENBERG - „Psalm 100' /3:21



paganini  
**RUaH**  
CD 017

[www.ruah.pl](http://www.ruah.pl)

10. DEUS MEUS - „A Słowo Ciałem stało się' /4:11
11. ZUZIA IWANURA - „Znow nadechdzą Święta' /3:25
12. MASHA WUDE - „Aniele Boży, Strozu mój' /3:08
13. GORE MY - „Niedzielną przelot' /3:41
14. BELLESIJA COUNTRY BAND - „Siewca' /3:07
15. BONUS: NA GORZE - „Re generacja' /3:25
16. Prezentacja gry komputerowej „Ja jestem'  
z muzyką Roberta Friedricha w wykonaniu zespołu ARKA NOEGO /12:00

## wypłyn na głębie

ISSN 1428-5983

WYDAWCA: WYDZIAŁ PRAWA ZASTRZEŻONE ZAKRES/BIEM